



HISTORYA
O PRA-PRA-PRA.... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA.... DZIADKU.

HISTORIA

WYDZIAŁ HISTORII

UNIWERSYTET W BIAŁYMOSTCE

HISTORIA
O PRA-PRA-PRA... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA... DZIADKU.

P O W I E Ś Ć
we Dwóch Częściach

PRZEZ
Teod. Tom. Jeża.

CZĘŚĆ DRUGA.

PRA-PRA-PRA... DZIADEK.

Tom I.



W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1864.



Za pozwoleniem Cenzury, 11 Września 1862 roku.
Wilno.

W S T Ę P.

PIERWSZĄ część niniejszej powieści napisałem bez wstępu. W drugiej uważam wstęp za konieczny— a dla czego konieczny?— o tém przekona się czytelnik, jeżeli zechce go odczytać.

Koniec pierwszej części nie jest zakończeniem takim, jakie się zwykle powieściom daje. Bohater jój ani z życiem ani z właściwościami życia się rozstał, ani się ożenił, ani do klasztoru wstąpił. Wsiadł na koń i pojechał w świat. W świecie przeto on żyje, i życie jego możnaby w tysiączne powieściowe awantury rozwinać. Opowiadania więc o nim nie skończyłem, ale urwa-

łem, a urwałem w najinteresowniejszym może miejscu.

Dla czegoż tak zrobiłem?

— Oto dla tego ; że Jan Jeź przedstawia swoją osobą tę zbiorową postać ukształconej części naszego społeczeństwa, która nie zbałamucona fałszywymi lub połowicznymi wyobrażeniami o obywatelskich obowiązkach, nie ukołysana, nie uśpio-
na czułościowością, działa. Jak ona działa?— to się pokaże może później, jeżeli mi starczy czasu do pisania. Obecnie chodzi mi nie o to, jak ona działa, ale o to, z kąd się ona wzięła?

Czy postać Jana Jeża jest zmyślnym, fantastycznym utworem, rzuconym na felietonowy łazanek, dla ubawienia łaskawych czytelników i napędzenia honorarium do kieszeni autora?— Bynajmniej... To «bynajmniej» mówię śmiało i sumiennie. Postać Jana Jeża jest rzeczywistą, jest naszą, do tego stopnia naszą, że służy za wychodni punkt życia dla każdego z nas.

Z tego punktu nie każdy zachodzi tam gdzie Jan, i dla tego Jan, (na pozór, wydaje się wyjątkiem. Wyjątkiem on jest pod względem wytrwałości,

Jan Jeź jest szlachcicem. Jest przeto spadkobiercą tego posłannictwa, jakie szlachectwo dokonać powinno.

W wewnętrznym ustroju każdego społeczeństwa musi być pewna pomiędzy składowemi onego częściami równowaga, będąca koniecznym warunkiem życia i rozwoju— życia po ludzku a zarazem po bożemu, rozwoju ku dobremu a coraz lepszemu. Równowagę tę— jest ktoś co ją w ręku trzyma, ktoś od kogo obrócenie jój na dobre, na pożytek, na szczęście ogółu zależy, ktoś taki co ją może zepsuć, a zepsuwszy naprawić. Któż jest ten »ktoś«?— Fataliści, różnego kroju moralisci i czułościowcy, rozmaitego kalibru łoszafarze twierdzą, że Bóg. Ja twierdzę, że nie Bóg, ale ludzie, a twierdzenie to moje opieram na wyobrażeniu o wszechmądrości, wszechpotędze i wszechmiłosierdziu boskiem. Wszechmądry, wszechpotężny i wszechmiłosierny Bóg psuć ani ludziom szkodzić nie może, a zatem i naprawiać nie potrzebuje. Nie on przeto dzierży równowagę społeczną w ręku, ale ludzie; za psucie jój nie on, ale ludzie są odpowiedzialni; do naprawy jój nie on, ale ludzie są obowiązani.

Wygodnie jest— nie przeczę— jeżeli się co pomiędzy nami zepsuje, uznać to za karę boską, zawinąć się jak jedwabnik we włókna, w rezygnację, zwiesić uszy i oczekiwać beczynnie, aż miara kary się wypełni. Takie oczekiwanie do niczego nie obowiązuje, na żadne niebezpieczeństwa nie naraża, a co najlepiej, toruje— jak powiadają— prostą drogę do nieba. Lecz przy całej swojej wygodności jest ono żartowaniem z Boga, którego wszelkimi sposobami skruchy, modlitwy, ócz zawracania, rąk składania, wzdychania, płakania, prawdziwemi czy udanemi łzami usiłujemy podmówić, aby nam służył, aby robił za nas to, co do nas samych wyłącznie należy. Pochodzi to z fałszywego wyobrażenia, tak o Bogu, jak o społecznych naszych prawach i obowiązkach.

O prawach pisać nie będę, które— a to przecie każdemu chrześcianinowi wiadomém być winno— opierają się na zaleconej przez Chrystusa miłości bliźniego, równiej i jednakiój dla wszystkich i względem wszystkich bez wyjątku. Pisać będę o obowiązkach, odnosząc je do równowagi społecznej.

Owoż ta równowaga spoczywa całkowicie w rękach ludzi. Układa się czy ustawia ona stosownie

do zasad, na których społeczność się sformowała, na zasadzie, niby na środku ciężkości się opierając, i nią, niby ręką dokładającą lub ujmującą ciężaru, się kierując. Gdzie zasadą był monarchizm, tam dzierżenie równowagi było w rękach monarchy, gdzie możnowładztwo, tam w rękach uprzywilejowanej klasy, gdzie gminowładztwo, tam w rękach wszystkich.

Nasza społeczność na tej ostatniej sformowała się zasadzie. Przez nadużycie, dające się zresztą zbiegiem okoliczności wytłómaczyć i w części usprawiedliwić, wyrobił się w niej gmin szlachecki. Nie powstał on, jak arystokracja, z feudalizmu nadającego pierwój prawa a potóm obowiązki, ale z wewnętrznej potrzeby społeczeństwa wydelegowania kogoś z łona własnego ku własnej obronie, z potrzeby wkładającój naprzód obowiązki, a potóm pozwalającój na prawa, na pewne przywileje i dogodności społeczne. Lecz obowiązki te tego były rodzaju, że pełniącym je dawały możność orzekania dowolnie o prawach swoich i przywilejach. Były one bowiem dobrowolne, i tym charakterem dobrowolnie imponowały moralnie ogółowi; a przytém były orężne, więc imponowały mu

i materyalnie. Dobrowolność ich i orężność stworzyły stan rycerski, szlachtę gminnego pochodzenia, która sobie dowolnie rozszerzała prawa, nadawała przywileje, i w końcu dla siebie zagarnęła wszystko i swoją ręką ujęła kierunek równowagą społeczną, za którą—zawsze dobrowolnie a orężnie—przed Bogiem, światem i własnym sumieniem stała się odpowiedzialną.

Jak ona nią pokierowała?—na to odpowiadają dzieje, które na każdej karcie, ognistemi, paląciami zgłoskami, wypisały jeden i ciągle do samego ostatka powtarzający się wyraz: swawola.

Wczytując się w historję naszą, zdaje się, jakobyśmy ciągle byli w obec rozswawolonych, dla tego tylko, że nie boją się różgi. A panoszą się, jakby ich był świat cały. A samochwałą się, jakby żaden z sąsiadów nie mógł dostrzedz źdźbła w ich oku.

„Gdzie pędzi ta trzoda?“ pytasz się mimowolnie za każdym sejmu zerwaniem, za każdym odmówieniem posłuszeństwa przez wojska. Gdzie?—A ot, dopędziła i stanęła u kresu: rozbiła nawet którejś sterowała. I ta trzoda—o tém nie zapominajmy—zobowiązała się dobrowolnie czuwać

nad całością, pomyślnością i bezpieczeństwem publiczném.

Żaden naród dziejami swojemi nie przedstawia większej i dziwniejszej niekonsekwentności przyczyny ze skutkiem. Ten ostatni wypłynął z czystego jak łąź źródła, a rozplynął się w męty. Źródłem mu było zaufanie, cienia podejrzliwości, ani niedowiarstwa, ani utajonej jakiegóś myśli w sobie nie chowające. Gmina wezwała ochotników, okryła ich, na drogę opatrzyła, ustroiła i na rycerzy pasowała. I mówiła do nich:

— Idźcie w imie Boże, wy bozi wojownicy, i nie troszczcie się ani o rodziny wasze, ani o dom, ani o rolę, ani o dobytek... Będzie nad tém wszystkiém czuwało oko moje, troskliwe jak matczyne... Z waszego nic wam nie ubędzie, a z mojego przysporzę wam tyle, aby wam starczyło na wczas po znojach i trudach.

Czy mogło być co piękniejszego, co bardziej sprawiedliwego, nad taki układ wzajemnej pomocy, czyniący rycerzy opatrnością rycerzy! Lecz nie przetrwał on czasow zamierzchłej przeszłości. Zaledwie zachwycić go, na przelotne nań spójrzenie, możemy z epoki pierwotnej, generyjnej orga-

nizacyi naszego społeczeństwa. Zawiązał go nasz duch narodowy; rozwiązała obczyzna.

Rycerstwo nasze zetknęło się, bo zetknąć się musiało, z feudalizmem zachodnim i nim się zaraziło. Olśniły je pańskość i przepych. Demowe, wiecowego pochodzenia passowanie na rycerzy wydało się mu jakimś prostaczem, trywialnym, za mało odznaczającym. Zachciało się mu odznaczenia— herbów, wstęg, pióropuszków, giermków, paziów, turniejów. Zachciało się mu pasowania formalnego, z wkładaniem złotego łańcucha i z przypinaniem złotych ostróg. Na to wszystko chudo-ba domowa ani składowe zaopatrywanie przez gminę nie wystarczały. Na to trzeba było być panem gminy, panem w swojej własnej i w całego swego potomstwa osobie.

Łatwo przyszło orężnemu rycerstwu opanować bezbronną gminę.

I dziwnie to rycerstwo zmniejszało obczyznę. Wzięło od niej formę bez treści: formą cudzą oblepiło narodową treść, nie rozpadło się na królików, książąt, grafów, baronów, ale upoddaniło sobie gminę sławiańską, a samo pomiędzy sobą na gminnej uorganizowało się zasadzie. A i z form

nie wszystkie przejęło; odrzuciło np. tytuły a wzięło herby, które wszystkie niemal, co dawniejsze, sprowadzonymi są z zagranicy, z Niemiec, z Włoch lub z Węgier 1). Z tego oczewiście wyrodzić się musiał dziwoląg. Lepiej bowiem było wprowadzić żywcem monarchizm i dać mu rozwijać się, jak się rozwijał na Zachodzie, otoczyć go wassalami, tym przeciwpostawić miasta niż, niby kota z psem, sprzedaż gminowładztwo z arystokracją i według prawideł naciąganej analogii, tworzyć wewnętrzny ustrój społeczny.

Lecz, że analogia z Zachodem była niemożliwą, więc szukano jęj dalej, rzucano się w przeszłość i znaleziono w Rzymie. Szlachcie podobał się rzymski patrycyat i do tego stopnia się podobał, że wielu szlachciców od patrycyuszów rody swoje wyprowadzało. Znów forma obca a z nią nowę bałamuctwo, które, zamiast postępowego rozwoju, krzywiło, psuło, cofało.

— «Pawiem narodów byłaś i papuga!» — powiedział do Polski wieszcz naszej przyszłości, i powiedział prawdę. Nikt lepiej ani dobitniej nie zcharakteryzował, w historycznym sensie, działa-

1) Zobacz Paprockiego.

nia szlachty. Pawiła się ona, w cudze pióra ubrana, bo nawet strój— żupany i kontusze z wyłotami— przejmowała z zagranicy, i jak papuga wyuczone od obcych powtarzała rzeczy. A u siebie chciała być wszystkiem. Ona była rolnikiem, chociaż osobiście za pługiem nie chodziła, ale przez pewien rodzaj prokuracyi ten zaszczyt chłopu zostawiała; ona była klasą średnią, chociaż się kramarstwem brzydziła i pozwalała się w tém, ze szkoda bogactw narodowych, byle komu wyręczać: ona była duchowieństwem, ona wojskiem, ona arystokracją, ona— wszystkiem i odpowiedzialność za wszystko na siebie *dobrowolnie* wzięła.

Owoż, owa to odpowiedzialność ciąży na nięj po dziś dzień, bo jeżeli kto ją zdjął, to pewno nie własne sumienie, nakazujące dzieciom błędy rodziców naprawiać i wyrządzone przez nich szkody i krzywdy wynadgradzać. Ową to odpowiedzialność rozumieli: Ksawery Jez i syn jego Jan. Ojciec powiedział o nięj synowi, a sam musiał się zkądś dowiedzieć. Zkąd-że?

Jest jasna nitka, przewijająca się od początku do końca przez cały ciąg dziejów naszych. Nitką to jest: zrozumienie odpowiedzialności i dążność do

naprawy złego. Nikła ona, niewyraźna, często się gubiąca wśród łachmanów nierozumu, brudów prywaty i gnojów obzarstwa i opilstwa; ale rozgrzebując to pilnie, można ją wysledzić, odkryć, a jej blaskiem i piękną nie można dość się nalubować. Tę nitkę żywymi oczami widzieli Jegomość i jego syn i jej się trzymali. To usiłowałem wykazać w pierwszej części niniejszej powieści, w współczesnej nam epoce.

Czy i jak tego dopiąłem?— o tém nie do mnie sąd należy.

W drugiej części, też samą jasną, piękną, mnie raz do łez, znowu do najwyższych uniesień ducha zachwycającą nitkę ukazę w przeszłości. Może tam ona wyraźniej wystąpi.

Przed zakończeniem wstępu, muszę jeszcze na jeden uczyniony mi zarzut odpowiedzieć. Uczynionym on mi jest życzliwie a po przyjacielsku: dla tego odpowiadam.

Wielu, ustnie i pisemnie, pośpieszyło do mnie z ostrzeżeniem, że w powieściach moich znajdują się sceny nieprzyzwoite.

Przyznałbym się do winy publicznie i bez wahań, gdyby w wytaczaniu na jaw tych nieprzy-

zwoitości nie chodziło mi o dwie rzeczy: 1mo o to, aby w malowaniu domowych, wewnętrznych naszych stosunków i obyczajów być o' ile możności prawdziwym; 2do o to, aby natrafiwszy na nieprzyzwoitość, przedstawić ją taką jaką ona jest i skarcić. Przecież żadnej nieprzyzwoitości nie pominąłem bez skarcenia... To powinnyby mnie usprawiedliwić i z zarzutu oczyścić. Sądzę bowiem, że hipokryzya nawet (może najbardziej) autorowi powieści, mających moralno-społeczny cel na widoku, nie uchodzi. A byłbym hipokrytą, gdybym przemilczał złe, dla tego tylko, że nieprzyzwoite. Nie prawdaż! A zresztą owe nieprzyzwoitości są częściami scenami, wplecionymi w całość. Mam nadzieję, że jeżeli kto mnie będzie sądził, będzie mnie sądził z całości nie z pojedynczych scen. Z tém wszystkiém jednakże, za życzliwe moich znanych mi i nieznanym przyjaciół przestrogi serdeczne im składam dzięki i przyrzekam, że korzystać z nich będę.



I.

Jak to dobrze, że na początku powieści nie mam potrzeby wołać jak Byron:

—*«I want a hero: an uncommon want.»*

Bo mój *hero* już gotów; czeka na mnie od roku i jest zaiste *uncommon*.

Gdybym był salonowym, gładkim pisarzem, strojącym frazesy w ezubki a treścią rzeczy usiłującym sprawiać czytelnikom umysłowo-fantastyczną ślizgawkę, za żadne skarby świata nie ośmieliłbym się przedstawiać czytającej publiczności takiego bohatera. Jest to bowiem prosty, najprostszy, jak sobie tylko wyobrazić można, chłop, cham, mud', śmierdzący dziegiem, z powodu butów, które sobie dziegiem smaruje, śmierdzący czostkiem, z powodu połudenków, które sobie czostkiem przyprawia, obcierający nos palcami a lzy kułakiem, drapiący się w łeb, je-

żeli mu co nie po myśli, rozdziawiający gębę ze zdziwienia, uśmiechający się głupawo, jeżeli co wypadaloby a nie można zganić i roziskrzający wzrok płomieniem zapału, jeżeli go co zachwyci. Nazywa się on Kuźma. O tém sobie czytelnicy przypominają, a również i o tém zapewne, że Kuźma jest Jana a zatém i moim pra-pra-pra... dziadem, bo Jan jest mi, jak wiadomo, stryjeczno-rodzonym bratem.

— Bez tych szczegółów możnaby się obejść... — powiecie.

Zapewne: bo nawet jest to pewnym rodzajem deprecyacji siebie samego, w oczach umiejących czytać ludzi tak wręcz podawać się za chłopskiego potomka. Cóż robić, jeżeli tak jest!... a bardziej: cóż robić, jeżeli my wszyscy szlachcice, co do jednego, bez najmniejszego nacyją korzyść wyjątku, rody nasze od chłopów wyprawdzamy!... Mówi się tu— rozumie się— o szlachcicach polskich z rodu. Bo są i inni, których pochodzenia rozmaite: niemieckie, węgierskie, tatarskie włoskie etc. Ci stanowią osobną kategorię, niemającą jednakże osobnego głosu, a to dla tego, że oni, nie z obywatelstwem, ale do obywatelstwa przyszli i zrównawszy się w prawach, zrównali się z rodowitemi szlachcicami i w obowiązkach.

Chłop tedy jest przodkiem Jana, moim — naszym.... Niech nikogo jednakże nie trwoży ani gryzie to «naszym», bo pomiędzy przodkami naszymi są i tacy, których się nie tylko nie wstydić, ale nawet naśladowaćby ich wypa-

dało. Jako jednego z takich— o to gotówbym się założyć— sami uznacie Kuźmę.

Kuźma był rodem z Hrynenek, z tych samych Hrynenek, w których widzieliśmy gospodarczego Jegomościa.

Hrynenki w owych czasach tak samo prawie jak w naszych wyglądały, szczególnie pod względem bytu chłopskiego. Pomiędzy chłopami bowiem nie ma takich zmian, jak pomiędzy nami. Oni nie kierują się według mody: mieszkają tak, jak ich ojcowie i praojcowie mieszkali, jedzą to, co ich ojcowie i praojcowie jadali; ubierają się tak, jak ich ojcowie i praojcowie się ubierali. Życie ich głównie pracy poświęcone, nie odrywa się uwagą do zewnętrznych niby-warunków życia, do tych fatalaszek, do których wyższe i więcej próżnujące klasy społeczeństwa ogromną wagę przywiązują. Warunki te dla nich, niegdyś, w czasach odległej przeszłości, ułożyły się same przez się, ot tak, jakos niechcący, i oni przyjmują je w spadkobierstwie z pokolenia w pokolenie, i niby szanując drogą po ojcach spuściznę, nie nadwerężają ich ani częściowemi dodatkami i ujmowaniami, ani całkowitemi zmianami. Toż chłopscy dziadowie, gdyby zmartwychpowstali, poznaliby swoich wnuków od razu. Szlacheccy zaś— wyobrażam sobie, w jakim znaleźliby się ambarasie, gdyby przed którym z nich postawić szeregiem, tak naprzykład, Francuza, Niemca, Anglika, Włocha, Hiszpana i rodzzonego jego wnuka, i powiedzieć mu:

— Zgaduj, który z tych twoim jest wnukiem...

Pewnieby nie zgadł, chyba przypadkiem, jak w żmur-

kach przypadkiem złapać można tę właśnie osobę, którą chcemy, aby z zawiązanemi po izbie pokręciła się oczami. Chłop zaś, nie zgadłby, ale na pewniakaby poznał, i to nie, gdyby mu swoich z cudzoziemcami, ale swoich ze swojemi, z różnych pochodzącemi okolic, w szeregu ustawić. Ujrzawszy potomka swego ze swojej okolicy, zawołałby:

— To mój!...

Czy zawołałby tak samo szlachcie? — o tém wolno wątpić. Ale dajmy temu pokój, a raczej rozpatrzmy się w Hrynenkach.

— Hrynenki— mówiliśmy— wyglądały prawie tak samo. Wglądnąwszy jednakże bliżej, można w nich było dostrzedz różnicy, odnoszącej się do wewnętrznego wsi rozkładu. Staw był trochę mniejszy i grobla insza. Grobla znajdowała się wyżej nieco od późniejszej i była zbudowaną z chrustu, gnoju i ziemi, które zsiadłszy się od wpływu czasu i wzmocniwszy wierzbami, nie mogły jednakże całej wagi wody na sobie utrzymać, a to dla tego, że usypanemi były w nietrafnie wybranem miejscu. Co wiosna prawie zrywała woda groblę i co wiosna łataną ją, ale zawsze chrustem, gnojem i ziemią. Gdy się po niej jechało, to wóz szedł uginając grunt pod sobą, jakby po nowoczesnej kanapie na sprężynach. Mostek dla upustu wody był bardzo do grobli podobny: po nim jechało się jak po klawiszach—belki pomostu to podnosiły się, to opadały, skrzypiały to stukwały, a mostek trząsł się, drżał niby z febrы, niby z zimna, a woda pod nim

sunęła na koła młyńskie i spadając na nie, szumiała, pieniała się, ciskała na wsze strony bryzgi i z kół spływała w potok, który z razu wydymał się i pieniał, ale potem ścisnął się w łożysku i płynął wśród wysterczających kamieni i płaczących wierzb i wymykał się na łąki, gdzie z pomiędzy traw i osoki, wijąc się niby wąż, połyskiwał tu i ówdzie metalicznym blaskiem.

Nad stawem rozłożyła się wioska. Była ona rzeczywiście *rozłożona*, tak wyglądała rokosznie z pośród sadów i ogrodów. Sady gęsto zarosły drzewami i łączyły się jedne z drugimi w owocowy las, upiękuszony drzew różnaitością. W lesie tym, po nad inne drzewa wyskakiwały czereśnie, a tych było kilkanaście gatunków: białe, różowe i czarne, duże i drobne, słodkie i gorzkie, tak zwane czerechy, będące specyalem nad specyały dla niewybrednych pod względem podniebieniowego smaku wieśniaków i proste czereśnie. Po czereśniach, co do wielkości drzew, szły jabłonie i grusze. Te także gatunkami wielce się różniły. Nie skoneczyłbym, gdybym je wszystkie wyliczał, gdybym zechciał opisywać jak wyglądały owoce, zestrojone w liście i strojące gałęzie, jak czerwieniały cyganki, zieleniały sabłuki, jak od żywej zieloności odbijały blade oblicza papierówek i blado-żółtawe cytrynówek, jak gronami uginając gałęzie, zwisały małgorzatki lub tykwiate, duże a twarde zimowe gruszki. Wspominam więc o nich pobieżnie, równie jak o śliwach i wiśniach. Tego jednakże nie mogę pominąć, że śliwy w każdym sadzie osobne zajmowały miejsce. Nie chciały się

łączyć z innymi drzewami, usychały, jeżeli przypadkiem która pomiędzy jabłoniami, gruszami, lub wiśniami urosła, wyodrębniały się z ogółu— arystokratki!— bez względu na to, że pomiędzy niemi były bardzo podłe gatunki: bo pomijając węgierki i kobylochy, wszystkie zresztą były to po największej części drobne kulki, przezwane przez lud takim wyrazem, którego przez wzgląd na przyzwoitość nie śmiem napisać. Ale nie było z niemi rady: chciały rosnać osobno, więc rosły. Wiedzieć bowiem należy, że hryneńscy mieszkańcy, pomimo że posiadali niezemnie ograniczone nad sadami swojemi prawa, praw tych jednakże tak łagodnie używali, że drzewa cieszyły się zupełną, naturalną wolnością. Rosły, jak i gdzie same chciały, albo raczej jak i gdzie natura im rość pozwoliła. Mieszkańcy chronili je tylko od zdziczenia, a zresztą, ani to nadrzynali, ani zrazami okładali, ani forsowali, dla nadania im sztucznych kształtów, konarów i gałęzi. To też od pniów głównych konary jak się im spodobało wystrzelały, bądź wprost do góry, bądź z ukosa, bądź horyzontalnie, a były i takie, które pochylając się ku ziemi, formowały naturalnie, gęsto liśćmi okryte altany. Takich było w Hynenkach kilkanaście. Z tych kilka służyło, a pod temi trawa była zmiętą, bo na nich odbywały się walne narady dziewicze i spoczynki starszych. Parobcy do tych narad i spoczynków nie należeli. Oni, gdy spoczywali, to w trawie pomiędzy krzakami, nie przebierając w miejscach— gdzie wypadło: w cieniu— to w cieniu, na słońcu— to na słońcu, pod drzewem, pod krzakiem, pod

łopuchem — wszystko im było jedno. A jeżeli któremu z nich o narady dziewicze chodziło, to postępował — niegodziwiec! — wedle słów Konrada Walenroda:

— «Straszliwa żmija wkradła się do sadu.»

Wkradał się i pełzał pomiędzy trawy i krzaki, czołgał się jak gadzina, ukrywając się po za pnie i tając dech w sobie, i przyczołgiwał się niepodśluchany ani postrzeżony, nastawiał ucho, podnosił łeb — słyszał i widział wszystko. Nie raz, gdy przedmiot narady był najinteressowniejszym, a zatem najtajemniejszym (bo u dziewcząt interes i tajemnica nigdy się z sobą nie rozłączają), raptem rozlegał się tuż przy nich śmiech. Można wyobrazić sobie, jaki ten śmiech wywierał skutek. Strzelenie piorunu w biały dzień, bez deszczu ni chmury, nie byłoby tak przeraźliwem. Na dziewczęta napadały kolejno a szybko: na-przód osłupienie, potem przestrasz, które sprawiały ucieczkę na osłep, rozpierzchnięcie się we wszystkie świata strony. Nie jedna, chcąc co prędzej i jak najlepiej się ukryć, wpadała na przyczajonego parobka i wywracała się.

Takie dziewczętom figle płatał najczęściej mój pra-pra...dziadek. Ale, zanim o nim pomówię, muszę piérwój dokładnie zapoznać czytelnika z owoczesnemi Hrynenkami. Interesująca to bowiem rzecz, gdyż i w owym czasie Hrynenki wyszczególniały się.

Więc — jakem mówił — sady łączyły się ze sobą, ale łączyły się w wielce nieregularną i niesymetryczną całość. Jeden był wyżej, drugi niżej, jeden całą stroną, drugi kątem tylko dotykał sąsiada, jeden był kwadratowy, drugi

podłużny, trzeci okrągły lub w podkowę wygięty, inny wielokątny o wyskakujących i wklęsniętych bokach, ten ciągnął się jakoś bokiem, ów z ukosa. Zdjęcie z nich planu przedstawiłoby porządek w karykaturze, a jednakże na gruncie był tam porządek; bo najprzód, każdy sad odgraniczonym był jeden od drugiego malutkim płotkiem, grodzonym nie w celu obrony, ale tylko na znak; powtóre, każdy, w całym następujących wyrazów znaczeniu, służył ku pożytkowi i wygodzie. A w wiejskim bycie, jeżeli dwóm tym warunkom— pożytkowi i wygodzie— zadośćuczynionem jest, to o resztę— o estetyczność form— mniejsza.

A nawet w tym nieładzie bryneńskiego rozłożenia się była estetyczność:— dyszała tam pełnemi piersiami wiejskość rokoszna, niczem nie krępowana, wybujała, a przytém prosta i skromna i czysta. Przeglądała ona szczególnie z bielonych chat w sady powsuwanych. Wszystkie śnieżyście białały a wiele z nich podstawiło słomiane strzechy pod jabłoni albo grusz konary, które po nad nie opiekuńczo wyciągały ramiona, i drżały, niby w troskliwej pieczołowistości, i pochylały się, niby błogosławieństwem. Wewnątrz chat było czysto, a od czystości brała się jakaś jasność, której nie dawały malutkie okienka, po większej części pęczkiem pozalepiane. Szkło było podówczas drogiem, należało do zbytków i wieśniacy nie mogli sobie na zbytki pozwalać. Ale czystość zbytkiem nie była, więc jaśniała w całej wsi, w każdej chałupie zewnątrz i wewnątrz, podtrzymywana i podsycana spółubieganiem się gospodyni.

— U sąsiady czysto... Otżeż ja jěj pokażę, że u mnie będzie jeszcze czysciěj...

I bieleły baby, myły, szorowały, smarowały, prały, a kaźdęj o to szczególnie chodziło, aby u niěj wszędzie, tak w jěj pomieszkaniu, jak na niěj samej, i na jěj mężu, dzieciach, rodzicach było najczysciěj.

Staranie o czystość całkowiec w ręku kobiet spoczywało, staranie zaś o byt w ręku męczyzn. Tamtych jedno a tych drugie głównem było życia niejako zadaniem, zadaniem na które nawijały się wszystkie wiejskie zatrudnienia, rozłączając się i łącząc stosownie do tego, o ile jedna płeć mogła obejść się bez drugiej, albo też o ile jedna potrzebowała pomocy drugiej. Za pługiem np., z cepem i z kosą, z siekierą, z podwodą sami męczyzni występowali, z sierpem, grabiami, ryśkałem męczyzni i kobiety, z pranikiem zaś, nieckami, szczotką, przy piecu etc. etc. same kobiety. Tym sposobem praca była rozebraną i naturalnie podzieloną wedle fizycznych i moralnych sił i zdolności. Tak ona dzieli się i dziś, i zawsze, i do skończenia świata dzielić się będzie, a zawsze panującym nad nią kierownikiem jest albo dobra wola, albo przymus. W pierwszym razie praca pięknieje, nabiera jakiegoś niewymownego pociągu, wypełnia sobą uroczo czas, a kaźde przyłożenie ręki albo głowy przybiera znaczenie spełnienia dobrego uczynku. Uczynki te wiążą się, splatają w szereg, w łańcuch nieprzerwany, i tak sobą życie człowieka zapełniają, że on nie jest złym, dla tego po pro-

stu, że nie ma czasu być nim. Pracuje, spożywa owoce, znów pracuje, i z większém ciepłem w duszy zwraca się ku Bogu, ku temu źródłu wszechmoralności, bo mniej Go o co prosić, a więcej za co Mu dziękować ma: bo sama przez się praca jest modlitwą prosby, modlitwą czynu, skuteczniejszą u Boga i łatwiej do niego przystępną od modlitwy słów, od gołosłownych prośb, któremi oblegają Go próżniacy. Ale potrzeba pracować, a, by mózdz pracować, do tego potrzeba dobrej woli. Przymusowa praca, jakby jej nie przyprawiać i rozmaitemi urojonemi i nie urojonemi koniecznościami nie usprawiedliwiać, zawsze obrzyda i najfatalniej na moralność wpływa.

— Dla czego tak wpływa?— spytacie.

— Dla tego, że człowieka od Boga odrywa.

— Za co ja mam dziękować Bogu, który mnie w przymusowej pracy stanie stworzył!...— Oto punkt wychodni modlitwy tego, któremu nad karkiem stoją.

Daremnie mu tłumaczą: że tak być musi, bo tak go Pan Bóg stworzył, więc i za to powinien Bogu dziękować. On dziękuje, ale tak samo jak pracuje— nie dobrowolnie. Pozostaje prośba. O! on ma o co i o dużo prosić, ale tylko słowami: bo prośba czynu, modlitwa pracy jest mu z góry odmówioną. Pracuje, lecz nie widzi błogosławieństwa Boskiego, bo pracuje niechętnie i niedbale; prosi, lecz prośba bez skutku pozostaje. Więc odrywa się od Boga; zrywa z moralnością, tłumi w sobie człowieczeńskość i staje się bydlęciem, czarnym wo-

łem, chodzącym w jarzmie dla tego tylko i jedynie, że go zaprzęgają i popędzają.

Naszkicowałem ze strony tylko moralnej, (gdyż mają one bardzo ważną i stronę ekonomiczną) dwa te rodzaje pracy, dla tego, żeby powiedzieć, iż w Hrynenkach tak było ładnie, rozkosznie, dobrze i czysto, w Hrynenkach bowiem praca była dobrowolną. Hrynenki były wsią złożoną z futorów.

Dawnemi czasy, a nawet nie tak dawno, bo za naszej już pamięci, po Ukrainie i Podolu pełno było rozsianych pojedynczo tu i ówdzie, tak zwanych futorów. Gdzieś w lesie, pomiędzy krzakami, w jarze, lub wśród stepowych burzanów, a zawsze na odludziu, stała chata obszerna, zwiastująca zamożność, nie należąca do żadnej wsi ani miasta, nie szlachecka ale własnością zamieszkałego w niej chłopca będąca. Chata taka nazywała się w ogólności futorem, a w szczególności dodawano do niej jakiś przymiotnik lub rzeczownik, najczęściej nazwisko właściciela, podług którego oznaczano i uroczysko w którym ona leżała. Od takich futorów ponazywały się lasy i jary jako też rozmaite przykmety. Właściciele tych futorów potracili je, a raczej potracili do nich prawa, których nie mieli czem usprawiedliwić. Posiadali je— to był fakt, nie wsparty niczem co się czarnem na białem nazywa, fakt goły, broniony jednym tylko wyrazem *»bat'kiwscyna«* (ojcowizna), który nigdzie nie zapisany, nigdzie nie zaoblatowany, żadnego też w obec prawa nie miał znaczenia.

Z powodu tego braku prawnego znaczenia, futory w naszych czasach upadły. A szkoda: bo miały one w sobie coś dziwnie uroczego. Zwykle przemieszkiwał tam dziad, co stare, bardzo stare czasy pamiętał. Niegdyś, za młodu, albo »kozakuwaw« albo »hajdamakuwaw«, i umiał o tém opowiadać tak jakoś żywo a zajmująco, że raz zawiesiwszy słuch na jego ustach nie można go było od nich oderwać. Pamiętam taki futor i takiego dziada w okolicach Rybek na Pobereżu. Jeździłem tam z matką na orzechy, jabłka i miód. Dziad nas gościł, a kiedyśmy, pod jego gościnności opieką usiadali na przyzbie, to i on przy nas usiadał i rozpowiadał. Rozpowiadania zaczynał od »héj!« i od westchnienia za minionemi czasami. Jakże to dawno! a jak ja tego dziada pamiętam!... i jego samego, i jego chałupę, i ogród, i pasiekę, i gdzie stały stępa, w których proso na pszono utłukano, i gdzie leżał ul duży, w którym jego *newistka* bieliznę zoliła, i gdzie stała ławica, na której dziad obręcze strugał. Mógłbym to wszystko odmalować, i dziada samego, którego w rękę całowałem i którego, o! pocałowałbym dziś także, gdybym się z nim albo z jemu podobnym na drodze mego żywota spotkał. Ale nie ma już ani takich dziadów, ani futorów;— a chociaż i znaleźliby się starce, to już nie tacy— skurczeni pod ciężarem przymusowej robocizny i zahukani dozorem.

Za mego jednakże pra-pra-pra...dziadka czasów, futorów strach co było po Ukrainie, Podolu i Pobereżu. Na

stepach kwitły one jak bukiety, po lasach odkrywały się raptem jak niespodzianki, po jarach wyglądały niby pustelnicze przytułki. Przemieszkiwali po nich weterani, otoczeni dwóma, niekiedy trzema potomków pokoleniami. Działwy, wnuków, prawnuków było w nich jak mrowia, a kiedy zaczynało być tego za dużo, to syn budował chałupę opodal, jeżeli był drugi syn, to gdzieś z boku albo z tyłu stawała druga chałupa, a zięciowa trochę dalej, a tam i wnuk się ożenił lub wnuczka za męża wyszła, to i znów chałupa. I tak się gromadziło—futor urastał na wioskę, wioska rozrastała się na wieś,—spólnymi siłami mieszkańcy wznosili dom chwały bożej,—odludzie stawało się ludnem,—drogi ku niemu torowały się przez pola,—i nie rzadko, jeżeli ku takiej osadzie zważył się większy jaki trakt, wieś rozrastała się na miasteczko, a dalej na miasto i zasłynęła w okolicy. Jeżeli zaś, co się zwykle zdarzało, wieś taka znajdowała się w obrębie starostwa lub szlacheckiego majątku, to prędko traciła swój futorowy charakter. Podstarościowie rozciągali nad nią opiekę swoją i zaciągali do rubryki takich, które intraty niosły.

Hrynenki nasze były futurowego pochodzenia,—urośli na wioskę,—ale tak jakoś szczęśliwie leżała, że wszystkich starostw okolicznych i majątków szlacheckich grunta na ich granicznym obrębie się kończyły. Nie było sposobu zgwałcić im granicę, bo ta była naturalną. Formowały ją dwa przytoki, do téj rzeczulki, na której był staw, wpadające i ochwytyjące prawie w koło spory kil-

kusetmorgowy szmat gruntu, do którego nikt ze stanu panującego nie mógł mieć pretensyi. Była to gmina starosławiańska, która przypadkiem się ostała, oazis na pustyni zawianej piaskiem szlachezczyzny. »Przypadkiem się ostała«— powiadam, bo nigdzie, w żadnym grodzie, w żadnym archiwum, nie było dokumentnie napisano, że Hrynenki do nikogo nie należą; ale też nie było napisano, że należą. Z powodu więc tego braku takiego lub owakiego napisania, wieś została należącą sama do siebie i Hrynenczanie, pod opieką owoczesnych Rzeczypospolitej Polskiej praw, które sąsiedzi ich szanowali, żyli sobie, jak u Pana Boga za drzwiami. Starsi rządili, młodszy słuchali, rada gromadzka w trudnych razach rozstrzygała; spory jakie wynikały, a jakie pomiędzy ludźmi koniecznie być muszą, załatwiały się w domu; choroby, na jakie hryneńska społeczność niekiedy cierpiała, a na jakie każda wielka czy mała społeczność cierpieć musi, domowemi leczyły się środkami. Cały wewnętrzny porządek tej zakonserwowanej gminy, był czysto patryarchalnym— poważnym a ojcowskim, sprawowanym przez siwobrodych starców, a przytém takim, że nie tylko w niczem nie nadwierał ogólnego państwowego porządku, ale mu owszem potężnie dopomagał. Bo wszystkie ciężary i powinności publiczne łatwiej znoszonymi i prędzej załatwianymi były przez Hrynenczan, jak przez kogokolwiek bądź. Hrynenczanie bowiem mieli i siły zbiorowe większe jak gdzieindziej, i większe sił tych poczucie. Jeżeli się przeto przyszło coś dla ogółu zro-

bić, to za nim się gdzieindziej zebrali. w Hrynenkach już zrobili.

To bardzo prostym i naturalnym działa się sposobem. W szlacheckich majątkach i starostwach, szlachcie i starosta o każdy grosz, o każde ziarno targał się z państwem, a to dla tego, że, uważając siebie jako państwo szczególne, rywalizował z ogólnem i drżał nad uszczupleniem własnych dochodów, potrzebnych mu do utrzymania się na stopie państwa. Tego względu na państwo szczególne w Hrynenkach nie było, ale za to było oś co:

— Mamy nad sobą opiekę praw, powinniśmy przeto te prawa całemi podtrzymywać siłami.

Ot jak rozmowali Hrynenczanie i na wyścigi śpieszyli z ofiarami: z zsykami, podwodami, podatkami. Jednego podatku nie płacili, a to— podatku krwi. W o-nych bowiem czasach rekrutacyi nie znano; szlachta sama wyłącznie pełniła rycerskie rzemiosło, używając chłopów jedynie na ciurów obozowych; ciurów zaś nabierała z własnych majątków;— a że Hrynenczanie nie byli ani szlachcicami ani szlacheckim majątkiem, przeto ani jako rycerze, ani jako ciury na pole chwały nie występowali. Jaki taki wprawdzie wymykał się w świat i szedł na Zaporozże. To jednakże było z dobrej i nieprzymuszonej woli, z tej tęsknicy do świata, do szerokiego przestworu, do pohulania na szerokiem, do skąpania się w tajemniczej poetyczności niebezpieczeństw,

z tój tęsknicy, która minuje duszę każdego niemal Rusina. Hrynenczanie nie wzbraniali młodym zadość czynić temu pociągowi, w przekonaniu, że oni tym sposobem i ten ostatni, nie żądany od nich— podatek krwi— ogółowi spłacają.

— Idź synu— mówili, z chlebem i solą wyprawiając parobka na Zaporozie— idź, a służ wiernie Chrześcijaństwu i Rzeczypospolitej...

Rzadko który wracał, bo to wówczas służba na Zaporozu była ciężką. Trzeba było niemal dzień w dzień wzrok i ucho na czatach wyęzwać, na słotach lata i zimy przepędzać, uganiać się za Tatarami i często głową nałożyć. A jeżeli który wracał, to po to tylko, aby takim szumem opowiadań głowy młodych napełnić, że ci sobie rady dać nie mogli.

— Héj, tatu! w świat...— ojców się prosili.

— Nie pierz mi już, mamó, hołubko, koszuli, ja sobie sam w dziegciu wypiorę...— do matek przemawiali.

— I-hi!.. na ciębie...— wołała matka strwożona.— Ot-że mu się już Zaporozża zachciewa... Nie siedziałbyś lepiej w domu...

A ojciec w łeb się skrobał, nic nie odpowiadał i czekał, aż synowi tak serce nabierze, że już mu żadne odradzanie nie pomoże. Wówczas szedł do starców i przekładał im swoją zgrzyotę.

— Zacheiało się chłopcu w świat... Ojcowska strawa mu naskuczyła.... Co robić?..

Starzy kiwali głowami, głaskali brody, chrząkali i dawali taką radę, która zwykle obie strony zadowolniła.

Tym sposobem i mój pra-pra-pra...dziadek wyprawił się w świat.

Było z nim zachodów nie mało, bo był on jedynakiem, a do tego mielnika synem. Mielnik zaś we wsi, to figura nie mała. Liczy się do intelligencyi wiejskiej, tak on sam jak jego potomstwo, a to z tej przyczyny, że posiadając tajemnicę prowadzenia młyna, tajemnicy tej najłatwiej mu udzielić tym, którzy są najbliżsi. Jeszczeż, jeżeli mielnikowi da Pan Bóg kilku synów..... ale jeżeli tylko jednego, jak Kuźmy ojcu, to syn ten interesuje całą gromadę. To też, kiedy Kuźma powiedział ojcu:

— Mnieby już czas w świat!...

Ten mu wręcz a krótko odpalił:

— Dureńś!.... a kto się we młyńsie zostaniel..

A zachciało się Kuźmie w świat tak koniecznie, że ani przypuszczał, aby mu ojciec nie pozwolił; a jeżeli by mu ojciec nie pozwolił, to nie miał jeszcze nic na ten wypadek ułożonego, ale — kto wie — możeby się zbuntował przeciwko ojcowskiej woli. Dla młodego świat, to jak dla dziewczyny kochanek. Jak się rozkocha, to nie odradzisz, nie wyperswadujesz, choćbyś miał Demostenesa albo Cyncerona wymowę.

Nie na rękę było Kuźmie to, że był bardzo młody; liczył bowiem zaledwie dwadzieścia parę lat wieku. Wo-

wych zaś czasach, dwódziestoletni mężczyzna był po prostu jako jeszcze dzieciuch, jako smarkacz uważany. I mielnik nie sądził nawet potrzebném udawać się do starszych po radę. Sam zdecydował:

— Zostaniesz...

A mielnikowa dodała:

— Ot, czego jeszcze nie stało!..... Mleko ma jeszcze pod nosem, a już zachciewa się na Zaporozże...

— Nie na Zaporozże, mamó...— odparł Kuźma zasępiony.

Rzeczywiście. Zachciało się Kuźmie w świat, ale nie na Zaporozże, a to dla tego zapewne, że nie powracający z nad Dniepru rozbudzili w nim tęsknicę do tajemniczej niebezpieczeństw poetyczności, ale pewien szlachcie przejeżdżający przez Hrynenki.

Działo się to w zimie, na początku siedmnastego wieku, a dokładniej oznaczając datę (chęć bowiem być w zupełnej z chronologią zgodzie), w styczniu czy lutym 1600 roku. Lecz, że ten wypadek, w cichój zdarzony wiosce, połączonym jest z obchodzącemi cały ówczesny ogół wypadkami, nie od rzeczy przeto będzie o powiedzieć ówczasowe nastawienie się polityki.

Uwaga Rzeczypospolitej zwróconą była ku południowi a mianowicie na Mołdowołoskie księstwa. Zaprzętały ją zamieszki, które w tych księstwach miały miejsce, zamieszki tém ważniejsze, że na hospodarskim Wołoszy tronie zasiadał człowiek przedsiębiorczy i wojowniczy, narodu swego bohater, w kronikach rumuńskich

znany pod nazwiskiem Michała Walecznego (*Michaj czel witiáz*). Gospodar ten pierwszy objawił polityczną dążność, która po nim upadła, i nie prędzej aż w półtrzecia wieku, w naszych dopiero czasach, powtórnie wystąpiła. Dążnością tą było: połączenie w jedną całość wszystkich rumuńskich księstw, to jest Multan, Wołoszy i Siedmiogrodu i utworzenie przez te samoistnego nad brzegami Dunaju państwa. Panowanie Michała przedstawia sobą szereg usiłowań, w celu urzeczywistnienia tej dążności. Dla niej toczył on wojny i zawierał przymerza. W wojnach był szczęśliwy; gromił Turków z jednej, Węgrów z drugiej strony. Nad Ottomańskimi wojskami odniósł znakomite pod Kalaranem zwycięstwo, po którym, jak ludowe głosi podanie, kazał czterdziestu tysiącom Turków łby uciąć i wbić wzdłuż Dunaju czterdzieści tysięcy palów i na każdym palu zatknąć po jednym łbie tureckim, na znak, że się Wołosza na wieki od Ottomańskiego państwa odgradziła. Głównie jednakże uwaga jego zwróconą była na Multany, znajdujące się pod bezpośrednią opieką Polski. Multany bowiem, jako gorzej przez naturę i przez niedoleźnych a często zmieniających się gospodarów bronione, łatwiejszymi były do zdobycia, a przytém zdobycie Multan ułatwiało zagarnięcie w państwową całość Siedmiogrodu, który przez zdobycie owo znalazłby się we środku Michałowych posiadłości i byłby w końcu zmuszonym zaookrąglić je sobą. W tym celu sprzymierzał się on z dawnymi wrogami swojemi, a sprzymierzał przeciwko Pol-

see, którą, gdyby udało mu się pokonać, Multany same w ręce mu wpadały. A nie tylko przymierzami przeciwko multańskiej opiekunce się uzbrajał: sięgał on do jej wnętrza, porozumiewał się z malkontentami na Ukrainie, pomiędzy którymi kludy się już przyszłe a takie fatalne wojny kozackie, przyrzekał im spóldziałanie i pomoc, podburzał, przekupywał. Był więc bardzo dla Polski niebezpiecznym.

Polska, wespół z Turcyą i Węgrami, opiekowała się Multanami i Wołoszą. «Gdzie dużo gospodyń — powiadają — tam izba nie wymieciona.» Gdzie dużo opiekunów, tam jeszcze gorzej. Multany i Wołosza wychodziły na tej skomplikowanej opiece bardzo, pod wszelakim względem, źle. Trony hospodarskie były przedmiotem spółubiegania się wszystkich mołdowołoskich ambicij i pretensyj, a pretendenci mogli zawsze liczyć na pomoc jednego z opiekunów. Ztąd stan wewnętrzny krajów tych był stanem ciągłego niepokoju i ciągłych zamieszek. W nim nie mógł się naród ani materialnie rozwinąć, ani moralnie ukształcić. Jedna i druga strona — materialna i moralna — były nieustannie podkopywane i psute. Naród był pomiatany, wyciągan na częste sprzeniewierzenia się, zdrady, fałszywe i krzywe przysięgi. To odbiło się na jego charakterze, któremu i dziś nawet nie można przyznać prawości, nieskazitelności i bezinteresowności.

Interesem Polski, pojętym według dzisiejszego sposobu zapatrywania się na interesa narodowe, było wzma-

eniać o ile możności Mołdowołoszczyznę, a zatem sprzyjać widokom Michała. Lecz my, wyjąwszy jednego może Bolesława Chrobrego, nie posiadaliśmy mężów stanu, przewidujących przyszłość. Polityka nasza kierowała się wrażeniami i potrzebami momentu. A że wrażenia te i potrzeby kazały utrzymywać podział pomiędzy Multanami i Wołoszą, więc podział ten był utrzymywanym, z całym uporem opiekunów, spółubiegających się o wpływy z innymi opiekunami.

Rzeczpospolita, na gospodarstwo multańskie wprowadziła Jeremiasza Mohyłę. Jeremiasz nie mógł się sam utrzymać; więc dała mu cztery tysiące wojska, pod wodzą Jana Potockiego. Wojsko to trzymało go pomy, póki Michał Waleczny nie wkroczył z przeważnymi siłami i pobiwszy polsko-mołdawskie zastępy, nie zagarnął całej Mołdawii. Polskie wojsko cofnęło się za Dniestr a Mohyła zamknął się w Chocimiu, ostatniej twierdzy, która mu z całego jego władania pozostała.

Tak stały rzeczy na początku 1600 roku. Rząd Polski czuł się w obowiązku ratować sprzymierzeńca; lecz sejm w marcu zwołany nie podzielał tego uczucia i, pomimo, że mu sprawa ta i jako użyteczna i jako honorowa była przedstawioną, odmówił wołoskiej wojnie spółdziałania ze strony kraju. Sprawa ta jednakże interesowała niektórych panów, a mianowicie Zamojskiego, który osobiście Jeremiasza na tron wprowadził; a panowie posiadali w swoim rozporządzeniu dostateczne środki, do tego, aby obejść się bez spółdziałania krajowego.

Zamojski, jako Hetman, rozporządzał kwarcianém wojskiem; kozacy gotowi byli na każde wojenne wezwanie; panowie, jak Gabriel i Andrzej Tęczyńscy, Adam Sieniawski Cześnik Koronny, Krzysztof Książę Zbarawski, Konstanty Książę Wiśniowiecki, dwóch Daniłowiczów, Jan Potocki, Starosta Kamieniecki, Zygmunt Kazanowski, Mikołaj Struś, Jan Drohojowski Referendarz Koronny, Stanisław Żółkiewski, Hetman Polny Koronny, Aleksander i Jan Karol Chodkiewicz, ofiarowali swoje nadworne chorągwie; a przytém, za zleceniem królewskiem, za pieniądze na imię Rzeczypospolitéj pożyczone, ściąganiem byli ochotnicy na całej powierzchni Polski. Werbownicy rozbiegli się po miastach i miasteczkach i wabili lud, a wabili go tak pod Rzeczypospolitéj, jak pod panów chorągwie. Często po kilku zjeżdżało się w jedném miasteczku i każdy ciągnął do siebie, złote góry obiecując.

Owóz, w takim to czasie i śród takich okoliczności, zjechał do Hrynenek nieznamy jakiś szlachcic. Jechał sam przodem a za nim pacholek, obydwaj konno i orężnie, nie tak jednakże orężnie, jakby wypadało ciągnącym na wojnę rycerzom, ale tak, jak w owych czasach szlachta zwykle podróżowała. Z powodu przenikliwego zimna, mieli obydwaj na sobie futra— pacholek baranie, szlachcic wilcze, u pierwszego pokryte burą świtą z samodziiałowego sukna, u drugiego obszerną kosmatą burką, wywróconą włosem na zewnątrz i spiętą pod szyją mosiężną kłamrą. Pierwszy baranią, drugi lisią miał na głowie czapkę, a na nogach duże juchtowe

buty. U jednego i drugiego wyglądały z pod futer końce pałaszy, brzękające pochwami o strzemiona, a przy siodłach przytwierdzone były obu chy, topory i zwinięte misternie a związane smycze. Uzbrojeniu temu brakowało jeszcze kopii, łuka z kołczanem i koncerza, ale— jak powiadam — nie było ono wojenném, tylko podróżném.

Konie pod jeźdźcami nie były nader piękne, ale dobre, pół-tatarskiej, pół-polskiej porody, garbonose, długogrzywe, o wyniosłych karkach a podkasale. Szły różnym stępem, po którym sądzić było można o ich gorącości, powodującej się jeźdźcom, lecz gotowej na ich zażądanie, rzucić się w nieprześcigniony cwał. Składy ich kości i muszkułów znamionowały siłę i gibkość. Szły parszając, bo dochodziły do wsi, w której jeźdźce zatrzymać się mieli, a koń instynktem czuje żłób i parska do spoczynku i obroku.

— Będą nam radzi.....— zauważał pacholek.

Szlacheic nie na to nie odpowiedział.

Obydwa jeźdźce pokryci byli mroźnym szronem. Zwierzchnia ich odzież bielła się. Pacholekowi wąsy przedłużyły się lodowemi soplami, które mu aż na piersi spadały; szlacheicowi zaś puchem osiadł śnieg pod nosem, a to dla tego, że szlacheic zamiast wąsów, miał tylko kilka rzadkich i krótkich kosmyków, kępkami nad zwierzchnią wargą mu wyrastających.

— Co to za wieś?.....— zapytał szlacheic, wjeżdżając w kołowrot na rozcież otwarty.

— A Bóg-że to wie...—odparł pacholek.

Szlachcic rozglądnał się po wsi i jechał dalej, i po ujechaniu kilkudziesięciu kroków znów się rozglądnał, jakby oczyma szukając. Śnieg okrywał Hrynenki, drzewa w sadach sterczały niby białe kościotrupy, chaty były pozamykane, i gdyby nie to, że się z każdego komina kurzyło, możnaby pomyśleć, że Hrynenki raptem obezłudniały.

Szlachcic niechętnie mruknął coś pod nosem, a na mruknięcie jego obydwie konie odpowiedziały parsknięciem, była to już bowiem nadwieczorna pora i koniom chciało się stajni. Psy we wsi zaczęły naszczekiwać. Te, które najbliżej przy drodze położonych pilnowały zagród, najpierwsze poczuły obecność obcych ludzi i ogłosiły ją;— za nimi odezwały się inne i wkrótce cała wieś napełniła się hałaśliwem szczekaniem. W jakiej takiej chacie wyjrzano na podwórze, lecz nie widząc tam żadnej zmiany, chowano się napowrót.

Na drogę nikt nie wyglądał, i podróżni przejechaliby wieś całą niespotkawszy nikogo, gdyby, niedaleko już od grobli, nie przeszła im przez drogę mołodyca, dźwigająca koromysło na ramieniu a na koromysle wiadra napełnione.

Szlachcic zatrzymał konia.

— Dziękuję wam, mołodyco, za dobre spotkanie...— odezwał się.—Z pełnemi podróżnym drogę przechodziecie... Bodaj-że ci za to czarne brwi jeszcze lepiej poczerniały.

Mołodyca zarumienione mrozem policzki rozjaśniła uśmiechem wewnętrznego zadowolenia, zerknęła z ukosa

na szlacheica — i idąc powoli z uginającymi się jak na sprężynie a poskrzypującymi się wiadrami, odpowiedziała:

— E! niech już one zostaną takimi, jak je Pan Bóg stworzył...

— To niech zostaną, jeżeli się tak tobie spodoba, barna mołodyco... — odrzekł szlachcic. Ale przytęm nie zaszkoździ, jeżeli ci powiem: *Pomahaj Bih.* (1)

— *Daj Boże zdrowla...*—odparła mołodyca, i szła dalej.

— Stój! poczekaj! nie uciekaj!... — zawołał szlachcic. — Jeden interes z tobą skończyłem, a teraz drugi... Pozdrowiłem cię i pochwaliłem twoje czarne jak dereń brwi, a teraz mam się ciebie rozpytać o drogę.

Kobieta się zatrzymała, obróciła się ku szlachcicowi i znów uśmiechem zadowolenia oblała swoją twarz.

— Pytajcie...—rzekła.

— Powiedz mi najprzód, sliczna mołodyco...—mówił szlachcic, mocny przycisk na wyrazie «sliczna» kładąc— jak się wasza wieś nazywa?..

— Ta-że Hrynenki... A jakżeby się miała nazywać... — odrzuciła kobieta z akcentem lekkiego zdziwienia.

— To dobrze, ale powiem ci jedną tajemnicę, o której ty może i nie wiedziała...—ciągnął szlachcic.—W waszych Hrynenkach wszystko widać jak na dłoni, wszyst-

(1) «Niech Bóg pomaga:» zwykłe pozdrowienie, używane na Rusi.

kie chaty, co do jednej, możnaby porachować, a tylko dwór gdzieś się tak skrył, że go ani dojrzyć...

Mołodyca odpowiedziała z uśmiechem:

— Bo u nas dworu nie ma...

— To chata podstarościego?.....—spytał szlacheic.

— A kiedyż i podstarościego nie ma...

— Nikogo?...

— Jakto, nikogo!... — podchwyciła mołodyca. — Pełne sioło ludzi....

Wiemy, co szlacheic pod tym wyrazem «nikogo» rozumiał. Czy domyśliła się tego mołodyca?—na to nie umiem odpowiedzieć. Wiem tylko, że nie ruszyła się, patrzyła szlacheicowi prosto w oczy i czekała na dalsze jego zapytania, na które nasz podróżny jakoś nie od razu mógł się zebrać.

— Bo to widzisz, harna mołodyczko...—rzekł po chwili—ja i mój pacholek zdrożeni jesteśmy i strudzeni; konie nasze także zdrożone i strudzone... Chcieliśmy sami wypocząć i koniom dać wytechnąć... To ja dla tego pytał się ciebie o dwór albo podstarościego...

— Dla podróżnego to i nasza chata otworem...—podchwyciła kobieta, nie dając szlacheicowi kończyć.—Jeżeli wielmożnego pana łaska, to proszę za mną...

To wyrzekłszy, odwróciła się i ruszyła, dźwigając chwiejące się wiadra i skrzypiąc butami po śniegu. Za nią pojechał szlacheic, za szlacheicem pacholek. Konie mocno parskwały i żując wędzidła wyciągały szyje.

— O! będą nam bardzo radzi!... — odezwał się pół-

głosem pacholek, tonem takim, jakby sam przed sobą usprawiedliwiał własne przeczucie.

Jakoż przeczucie pachółka, oparte na prognostyku z parskania koni wyciągniętym, usprawiedliwiło się co do joty.

Zagroda wieśniacza otworzyła się przed podróżnymi, a otworzyła się jak przed pożądanymi i z utęsknieniem wyglądaniem gości. Wszystko co w chacie było, ich otoczyło im się na usługi wylało.

— Ot, niechże błogosławioną będzie ta godzina, w której się Handziu zebrała z wiadrami i po wodę poszła... —mówił stary dziad, gdy mu młodyca spotkanie ze szlachcicem opowiedziała. — Że też to człowiek ani wie, ani się spodziewa, kiedy mu Pan Bóg wielką radość zesze!..

Staruszka baba, której kądziel z za pasa sterczała, serdecznym uśmiechem potwierdzała dziadowskie wyrazy. Mężczyzna średnich lat, włożywszy rękę za pazuchę, stanął na środku izby, a mina jego wyrażała oczekiwanie, nastrojone do spełnienia wszelkiego zlecenia; młode dziewczę, zdziwionem, szeroko otwartem okiem spoglądało ku gościom od przypiecka, a kilkoro dzieci ścisnęło się w kupkę około niej, chowało się za nią, i z po za niej, to jedno to drugie wystawiało główkę. Były to trzy pokolenia, w obrębie jednej mieszkające izby. Pokolenie schodzące przedstawiali sobą dziad i baba. Młodyca, którąśmy z pełnemi wiadrami widzieli, była ich córką, wydaną za człowieka na środku izby stojącego: oni przedstawiali pokolenie dojrzałe. A gromadka dziatwy, z dziew-

czyną na czele, była t \acute{e} m co wschodziło, była t \acute{a} trawk \acute{a} delikatn \acute{a} , co kiedyś dopiero ma si \acute{e} wykł \acute{o} sic i owoce wydać. Na podw \acute{o} rzu chł \acute{o} piec-wyrostek, b \acute{e} d \acute{a} cy jeszcze w pogoniczowskiej \acute{z} ycia epoce, oprowadz \acute{a} ł konie; — ten tak \acute{z} e do tego ostatniego liczył si \acute{e} pokolenia.

Szlachcic, wszedłszy i powitawszy gospodarzy, odpro-
wadzony został na poczesne miejsce, w k \acute{a} t pod obrazy. Zrzucił z siebie burk \acute{e} i futro i pozostał w łosiowym kaftanie, na którym g \acute{e} sto znać było ślady \acute{z} elaznych k \acute{o} łek, jakby kaftan ten był raz koło razu, zachodzącemi jedne na drugie k \acute{o} łkami pieczętowany. Kto nie wiedział, dziwiłby si \acute{e} zk \acute{a} d si \acute{e} te znakiabrały; kto zaś wiedział, temu z ł \acute{a} twośc \acute{a} było si \acute{e} domysleć, \acute{z} e powierz \acute{e} ch kaftana tego nie futro, ale koleczuga zwykle przychodziła i ona to wypiętnowała znaki, od których łosiowa sk \acute{o} ra zmoregowaciała. Kaftan spięty był szerokim sk \acute{o} rzanym pasem, a z pod pasa, z pod lewego biodra, wypływały dwa mocne rzemienie, na których wisiała karabela, nie bogata, nie w jaszczur oprawna ani drogiemi kamieniami osypana, ale długa, szeroka i ci \acute{e} żka. Snad \acute{z} r \acute{e} ka, kt \acute{o} ra ni \acute{a} władała, musiała być siln \acute{a} .

Rzeczywiście: nie po karabeli, ale po spojrzeniu na postać s \acute{a} dz \acute{a} c, r \acute{e} ka szlachcica obiecywała sił \acute{e} niepospolit \acute{a} . Postać to bowiem była sucha, koścista a muskularna, nie wyniosła wzrostem, a jednak \acute{z} e taka, kt \acute{o} ra, zdawało si \acute{e} , i z bajecznym olbrzymem mogłaby iść w zapasy. Ruchy jej oznaczały jak \acute{a} s pewn \acute{a} siebie potęg \acute{e} . \acute{Z} yły po r \acute{e} kach i po ciele jak powrozy si \acute{e} wiły. Oblicze

poznaczoneń było gęsto śladami ospy, które istotny wyraz jego niby siatką pokrywały. Brwi nasuwały mu się na oczy i chmurzyły spojrzenie, a oczy miał siwe, nieco w piwne wpadające i na świat boży nieulekłe a rozumnie patrzące. Ogólny wyraz całej jego postaci wzbudzał zaufanie, które zwykle do siły i rozumu się garnie.

Rozpiął pas od kaftana, odwiązał karabellę, usiadł i przemówił:

— Siadajcież, panowie gospodarze.... Nie stojcie przedemną... Gość ma swoje prawa, a gospodarz swoje, i nie powinny jedne drugim na przekór stawać...

— Wielmożny pan taką nam radość sprawił... — odparł dziad.

— I mnie radość, panie ojczy... — przerwał gość. — Strudzonemu, zziębniętemu, dostać się do ciepłej izby, do uprzejmych gospodarzy, to radość nie mała...

— Ta-że to ono tak... — odrzekł dziad. — Ale taki nam większa... Bo chociaż to kiedy i trafi się do nas gość, ta nie do naszej chaty: zabierze go do siebie albo wójt, albo mielnik, albo dobrodziej, a ot i teraz, gdyby nie córka moja, co z wiadrami poszła, to wielmożny pan nie zawitałby pod naszą strzechę.

— To już tak było sądzono... — odezwała się baba.

— Kot mył się od samego rana... — rzekła młodyca, która zabrała się do krzątania około pieca.

— A sroka na płocie do samego południa siedziała ta skrzeczała... — szepnęła dziewczyna babce do ucha, ale

takim donośnym półgłosem, że ją szlachec usłyszał i odpowiedział jej:

— To, moje dziecko, dla ciebie sroka skrzeczała... Ten, kogo ona zapowiadała, jeszcze nie przyjechał, ale przyjedzie...

W tém drzwi rypnęły i wszedł do izby młody, przystojny parobek.

— A oto... — rzekł gość ukazując na nowo-przybyłego — jeżeli to nie twój brat ani krewniak, to tego ci sroka wywróżyła...

Starzy się głośno zaśmieli, dziewcze pokraśniało jak kalina, parobczak się skłonił, obejrzał po izbie i stanął z boku, nie opodal od dziewczyny, która na niego z pod oka poglądała.

— Co, czy nie zgadłem?... — zapytał szlachec.

— Ta-że to... niby to... ono... tak... — odparł dziad. — Ale, gdyby sroce zachciało się go zapowiadać, toby się chyba na śmierć zaskrzeczała...

— Często przychodzi, tém lepiej... — podchwycił szlachec — ale czasem darmo, ot tak sobie, aby-to tylko przyjść; a czasem nie darmo, ... żeby coś powiedzieć, coś takiego, co to milsze od najmilszego gościa...

Dziewczyna oblała się pąsem, spuściła oczy, a uśmiech błędził jej po ustach.

Szlachec przez chwilę milczał. Potém raptem spytał:

— Czy Hrynenki, to starościńskie dobra?...

— Nie, wielmożny panie, to futory, słoboda... — odpo-

wiedział dziad — to ojcowizna nasza po dziadach, po pradziadach...

— Bez pana?...

— Bez...

Szlachcic się zamyślił i w zamyśleniu wlepił wzrok w parobka, wzrok, którym on tego ostatniego jakby na wskroś przenikał. Oglądał go od stóp do głowy i patrzył mu prosto w oczy. W oczach szlachcica było coś niby wyzywającego, niby pytającego, a zarazem coś dziwnie ujmującego—dziwnie, powiadam, bo nie czule, serdeczną sympatją, ale jakimś niepowszednim szacunkiem, opartym na następującym pewniku: «ten, co obieca, dotrzyma.»

Parobek odważnie i trochę nawet zuchwale wytrzymał ciężar jego wzroku. Nie spuścił oczów, nie zmieszał się,—stał spokojnie i spoglądał na szlachcica, próbując się z nim niejako na wzroki.

Krótką to była walka, a wypadek jej był taki, że w oczach szlachcica zajaśniał wyraz zadowolenia, wyraz który mówił: «jesteśmy sobie równi,» a który z tej samej moralnej wypływał pobudki, która Stefanowi Batoremu kazała do uczącego się powiedzieć chłopca: «*disce puer, faciam te mościpanie.*»

Po tej krótkiej a niemiej dwóch nierównych sobie ani wiekiem, ani socyjalném położeniem, ani wykształceniem, ani powołaniem, ludzi rozmowie, szlachcic zwrócił się do dziada, który tymczasem usiadł na ławie.

— To w Hrynenkach wy sami rządzicie się i prowadzicie?...

— Sami, wielmożny panie...

— I dobrze wam idzie?...

— A dobrze, Bogu chwała...

Chciał dziad coś dalej mówić—może swoje «a dobrze» upowodować—lecz wstrzymał się w ten sposób, który popolicie oznaczają przysłowiem: «za język się ukąślił.»

— I siedzicie sobie, jak u Pana Boga za drzwiami?...
—pytał znowu szlachcic.

— Jak u Pana Boga za drzwiami... — odpowiedział dziad z uśmiechem.

— To znaczy, jak szlachta...—zauważał szlachcic.

Dziad nic na to nie odpowiedział, tylko głową pokiwał, jakby chciał i potwierdzić i zaprzeczyć, a raczej ani potwierdzać, ani zaprzeczać.

— A nawet, lepiej jak szlachta—ciągnął szlachcic powoli—bo szlachta ponosi ciężary, których wy nie macie, płaci krwią, a wy nie tylko sami nie płaciecie, ale jój do płacenia nie dopomagacie...

Dziad kiwał ciągle głową z wyrazem bez znaczenia, jakby nie rozumiał albo nie chciał rozumieć, o jakim to płaceniu gość mówi. Parobkowi oczy się zaiskrzyły.

— Ot...—odezwał się—alboż to na Zaporozie od nas nie idą!...

Szlachcic bystro spojrział na niego,—dziad chrząknął.

— Zaporozie nie na dobrej teraz drodze... — przemówił szlachcic, niby do siebie. — Już tam pryskają iskry, które, daj Boże! aby wielkiego nie wznieciły pożaru...

Po tém powiedzeniu kilka westchnień rozległo się po izbie. Nastąpiła cisza, którą przerwał dziad.

— Oto...—rzekł do gościa—rozpowiedźcie nam, wielmożny panie, co teraz słyhać na świecie... Ludzie gadają, że się gotuje wojna na Wołoszyna... Ale, czy to wszystko prawda, co ludzie gadają...

— Prawda...—odparł szlachcic— z wiosną pójdziemy na Multany...

— Hej—hej!...—pochwyił dziad.—Na Multany!... A gdzie to moje młode lata, w których i ja tam zachodził!...

Snadź miłe jakieś wspomnienie duszę wstrząsuęło, bo się wyprostował a stara twarz jego zajaśniała, jak młoda.

— To tam, słyszałem, i kwarciane się zbiera i panowie chorągwie rychtują?... —dodał po chwili tonem zapytania.

— Pójdzie wszystko...—odrzekł gość—pociągną wszyscy, u których serca nie na to tylko siedzą pod żebrami, aby nadaremnie stukały...

— I król? i może pospolite ruszenie, jak było, lat temu?... o!... o!...

I począł dziad myśleć i coś sobie przypominać:—jąkał się i coś na palcach rachował.

Szlachcic machnął ręką z gestem niechęci.

— Król!... — odezwał się—pospolite ruszenie!... Do tego z pewnością nie przyjdzie, a nawet spodziewać się można, że sejm nie uchwali wojny... Ale to wszystko jedno... Uchwali czy nie uchwali, wojna będzie, bo być mu-

si... Bo trzeba zmusić Wołochów do szanowania polskiego oręża...

— Z Wołoszynem nie trudna sprawa...—rzekł dziad. — On stawi się ostro, ale tylko zrazu, a nacisnąć na niego, to się kładzie u nóg, jak ten pies, i tylko o życie prosi...

— Jeżeli mu jaka baba, jakimi zwykle ich hetmani bywają, przewodzi...—przerwał szlachcic.—Ale teraz mają Wołosy hospodara, który hetmańską buławą tak włada, jak, nie przymierzając, który najlepszy z naszych hetmanów... A przytém chytry i podstępny: umie takie węzły kluczyć, do rozwiązania których nie lada trzeba głowy... O! teraz z Wołoszynem sprawa nie łatwa...

I powoli, od słowa do słowa, zawiązała się rozmowa politycznej treści. Szlachcic malował położenie Multan i Wołosy z taką dokładną znajomością rzeczy, jakby tam był i na wszystko własnymi patrzył oczami. Dziad mu dopomagał, przytaczając wspomnienia dawniejszych czasów, które z obecnymi, jak przyczyna ze skutkiem, się wiązały. Rozumie się, że obydwa oni po ówczesnemu na rzeczy się zapatrywali i zgadzali się na to, na co my w późniejszym, jakie powyżej zamięściliśmy, naszkicowaniu wypadków, nie zgodziliśmy się, to jest: że Rzeczpospolita słuszne miała i sprawiedliwe powody zbroić się przeciwko Michałowi.

Szlachcic mówił z ogniem. Wychodzące z ust jego wyrazy szykowały się według prawideł tego prostego, wiejskiego krasomostwa, którego ludzie nie nabywają lecz

z niem się rodzą. Właściwie mówiąc, nie ma ono prawideł, pomimo to jednakże zawiera w sobie taką siłę przekonania, tyle pociągu, że mu się oprzeć nie podobna. Logiczne rozsnucie myśli zastępuje obrazowaniem, pociągającym ku sobie proste szczególnie umysły.

Szlachcic opowiadał o świeżo w upłynionym roku odbytej na Multanach wojnie, w której garstka Polaków, pod wodzą starosty Kamienieckiego, zmuszoną została ustąpić przed przeważnemi Michała siłami. Opowiadał o tém, jako o zniewadze orężowi polskiemu wyrządzonej i z ust jego wystąpiła zniewaga, takimi ukolorowana barwami, że pomszczenie jej wynikało jako konieczność naturalna, jako przytém coś takiego, co i całą Rzeczpospolitą w ogólności i każdego jej mieszkańca w szczególności, osobiście obchodziło. Poczul się znieważonym i dziad, i zięć jego, i młody parobek, poczuła się znieważoną i baba, i jej córka, czarnobrewa młodycza i stojąca przy przypiecku dziewczyna. Działwa nawet coś zrozumiała, bo dziewczynki i chłopczyki pootwieraly szeroko oczęta i nieruchomie a z przerażeniem wsłuchiwały się w opowiadanie szlachcica.

— To już, kiedy tak, to na *bezhołowie* się nam przyszło...—odezwał się dziad.—Gdzieżto, żeby Wołoszyn tak sobie pozwalał...—Tażęto cała nasza ziemia powinna pójść na niego... Hej! gdyby mnie nie lata, ta nie to że człowiek odwykł, to i jabym ze spisą wysunął... A to nawet nie ma się człowiek kim wyręczyć. Syna mi Pan Bóg nie dał, wnuki jeszcze małe, zięć nie do szabli,

a choćby i zdał się, to nie jemuż porzucac drobne dzieci, kiedy ja jedną nogą w grobie... Hej! nie ma komu ująć się za naszą zniewagę...

— Albożto nie ma młodych!...—rzucił półgłosem parobek.

Na te słowa, w oczy parobkowi spojrzano na raz dwie osoby: przyjezdny szlachcic i dziewczyna.

W szlachcica wzroku było potwierdzenie i zachęta.

Dziewczyna popatrzyła trwożliwie, jakby się raptem czego przelękała i powoli wyraz trwogi ustąpił wyrazowi niespokojnego błagania, który mówił, że ona gotowa przed nim na kolana się rzucić i o coś go prosić i o coś się do niego modlić.

Parobek nie zważał na dziewczynę. Rzucił na nią wprawdzie okiem, ale przelotnie, i zawiesił wzrok na szlachcicu, który go dziwnie jakoś pociągał ku sobie, jakby postać jego wywierała na niego wpływ magnetyczny.

Jest to tajemnica sympatyj najpierwszego wrażenia, jakiego przy pierwszym z nieznajomą nam przedtem osobą spotkaniu doznajemy. Nie można sobie zdać sprawy dla czego ta osoba podoba się, albo dla czego jest wstrętną. Podoba się albo nie podoba: oto cała racya, całe usprawiedliwienie sympatyj lub antypatyj, które głęboko w duszy tajnikach spoczywać muszą. Mnie się zdaje, że pomiędzy duszami być musi jakowaś siostrzaność, zbliżająca do siebie pokrewne a rozłączająca obce.

Pokrewnymi musiały być dusze szlachcica i parobka, bo dwaj ci ludzie porozumieli się ze sobą — że tak po-

wiem—na migi. Szlachcic, nie znając go, ani nigdy przedtem nie widząc, za ledwie mruknął ku parobkowi, już ten wiedział o co chodzi; już wiedział, że im dwom trzeba żyć a w potrzebie i umierać razem—nie razem cieleśnie, ale razem duchowo, w braterstwie jednej myśli-matki, w dziecięctwie jednego celu-ojca.

Różni byli wiekiem. Na szlachcicu lat nie było znać. Z postaci wszystko inne raczej dałoby się wyczytać, tylko nie lata. Wydawał się bowiem i stary i młody, szczególnie kiedy mówił. Gdy rozważnie snuł i zestawiał myśli dziwnem się zdawało, dla czego nie ma on siwej pas brody i białych jak mleko włosów: taka dojrzałość w myślach, taka wytrawność w wyrazach się przebijała. Gdy opowiadane malował obrazy, lub o strunę uczucia potrącał, to znów dziwnem się zdawało dla czego mu młodość na policzkach nie kwitnie, jedwabny wąsik nie puszy się na wargach, tyle ognia i zapału było w jego mowie. W samą rzecz jednakże był on bardziej młody, jak stary,—nie tak wszakże młody, aby parobkowi za równownika mógł służyć, ten bowiem ostatni nie doliczał się trzydziestu lat wieku, a szlachcic miał z górą trzydzieści.

Zasłuchanie w izbie stawało się chwilami powszechnem, szczególnie gdy wieczorem zeszło się kilku co przedniejszych gospodarzy, którzy, usłyszawszy o przybyciu do wsi gościa, przyszedli go powitać. Sędziwy wójt pospieszył najpierwszy.

— O! mości szlachcicu...— rzekł, wchodząc rubasznie i sposobem mówienia swego okazując otarcie się z rycer-

skim Rzeczypospolitej stanem — tak się nie godziło ani godzi, omijać mnie, naczelnika gromady, którego obowiązkiem jest gościć przejezdnych w imieniu całych Hrynerek...

Szlachcie się wymawiał spotkaniem z młodycą.

— Ej, ty, Handiu czarnobrewa!... — zawołał wójt, grożąc młodycy palcem. — Alboż ty nie wiedziała, że trzeba było jegomości do mojej chałupy drogę pokazać!... Toż za to, ja was teraz, mości szlacheciu, ze sobą zabiorę... Zbierajcie się, panie, droga nie daleka, a mróz tęgi, to kłusem przebiegniemy i zimno nam nie będzie; a choćby nam trochę i zimno się zrobiło, to tam już moja baba grzeje krupniczek...

Szlachcie ruszył się, niby do wstawania, lecz natychmiast pomiędzy nim a wójtem stanął dziad-gospodarz i prawą ręką przytrzymując pierwszego na ławie, lewą wyciągnął do wójta i mówił:

— Już też co na to, to nie pozwolę.. Mnie gość trafił się, jak ślepej kurze ziarno, a wy zaraz chcecie go zabierać....

A zwracając się do szlacheca:

— Wielmożny panie... — błagającym przemawiał tonem. — Nie róbcieź mi tej krzywdy... Będziemy was gościć wszystkiem, na co nas stać... I krupniczku wam nie pożałujemy, który już moja doczka od ognia odstawiła... Tylkoż zostańcie u nas choć przez jedną noc, a jutro nie będę was już zatrzymywał, choćbyście nie tylko do

wójta, ale do sąsiedniej odemnie chcieli przenieść się chaty...

Do prośb dziada przyłączyła się baba i zięć ich i córka. Szlachcic nie opierał się im, nie chciał ich chaty opuszczać, grał rolę bierną. Gospodarze mieli do czynienia z wójtem, który poczytywał sobie za wielkie ubliżenie, że gość był we wsi, a nie w jego chacie. Spór trwał długo, aż oddanym został pod sąd gościa.

— Oto tak, mości dobrodzieju— rzekł do niego wójt, który, jakieśmy mówili, coś szlacheckiego, albo przynajmniej coś od szlachty przejętego miał w sobie— albo jegomość u mnie jutro zanocujesz, albo, jeżeli wielmożnemu panu spieszno, i przez jutro w Hrynenkach zabawić nie możesz, przeniesiesz się do mnie dziś, natychmiast... Oto wóz i przewóz, dla mnie, starego Semena i dla jegomości dobrodzieja...

Szlachcic spojrział na gospodarzów i żał się mu snać zrobiło, tak miuy ich były błagające i aż modlące się.

No, jeżeli tak...— powiedział— to, aby nikomu krzywdy nie było, a najmniej mnie, co z dalekich jadę stron, do was, panie wójcie, przeniosę się jutro...

Bez przymusu to szlachcic zrobił, bo jak szczeremi były prośby, tak serdeczną okazała się radość poczciwych wieśniaków.

— *Stawa Bohu!*...— zawołali chórem i poczeli dziękować, a dzieci w kącie śmiały się i skakały.

— No, Handziu czarnobrewa!...— krzyknął wójt— goście nas, bo i ja się do was w gości zapraszam...

I zasiadł obok szlacheica, dalej usiadł dziad o którym już wiemy, że się nazywał Semen, za dziadem jego zięć, a tam kolejno przysiadali przychodzący po jednemu gospodarze. Zaglądały i baby, ale te nie zostawały. Przychodziły niby za interesem do Handzi, i postawszy przez chwilę, a przypatrzywszy się pilnie przyjezdnemu, odchodziły, oglądając się jeszcze raz ostatni w progę.

Ogień w piecu, paląc się żywym i jasnym płomieniem, rozlewał po izbie światło, które było dodatkowem do tego, jakie od kaganka i łuczywa pochodziło, a jednakże kaganki i łuczywo blade przy niem i stawały się zbyteczne. Gościnną wszakże gosposia chciała, żeby w jej izbie było jasno jak w dzień a ciepło jak w lecie, i dla tego świeciła i łuczycem i kagankiem i dokładała a dokładała świeżych drew do pieca. I dopięła swego; pomimo że izba była obszerną, pomimo że na dworze była noc i mróz, w izbie było jasno i ciepło.

Goście baraszkowali. Wójt-bywalec trzymał prym, żartował, sypał jak z rękawa przypowieści i przysłowia i nieraz całe towarzystwo do chóralnego przyprowadzał śmiechu. Szlacheic dotrzymywał mu sprawy. Rozmowa plotła się i wiązała rozmaicie, jak ten wianek przez dziewczęta wiejskie z polnych kwiatów wity, w którym obok róży przychodzi bodiak, po bodiaku fiołek, a tam dalej jakiś chwast lub mizerne jakieś ziołko.

— Wasza wielmożność spadł do nas, niby żaba z deszczem... — mówił wójt — ani spodziewany, ani wyglądany;

ale zdaje się że i waszmość nie spodziewał się spotkać na swojej drodze Hrynenki...

— Nigdy w życiu o Hrynenkach ani słyszałem...— odparł szlachcic. — Ale nie żałuję tego, że je spotkał na drodze....

— Dla czego, jeżeli wolno zapytać?...— zagadnął wójt.

— Dla tego, że poznał tu chłopską szlachtę, o której domyślałem się, że gdzieś musi być na świecie.

— My nie szlachta...— odparł wójt, kładąc na «nie» mocny przecisk.

— I nie chłopci...— podchwycił szlachcic.— Jesteście tém, czém byliby chłopci, gdyby ich wszystkich w czambuł uszlachcić, to jest, jesteście chłopską szlachtą i z tego powodu wieleście dla mnie ciekawi... chłopska szlachta X

Może z przyczyny tej ciekawości, podróżny tak łatwo przystał na pozostanie przez jutro w Hrynenkach.

— Hm! hm!— chrząkał wójt, namyślając się nad odpowiedzią. Aż nachrzakawszy się, rzekł:

— Ot, my sobie ni to ni owo, ni baran, ni koza....

—O!...— odrzekł szlachcic, ale nie odpowiedział. Rozpiął kaftan, bo mu się zrobiło gorąco. Z pod kaftana wyjrzała w dziegiu wyprana z grubego płótna koszula, oznaczająca, że gość taki pędzi żywot, w którym nie wiele ma czasu o zmienianiu bielizny myśleć. Chodzi więc w dziegiowej koszuli, w której robactwo się nie mnoży i która, obok własności odpędzania zarazy, posiada jeszcze i tę, że ją można przez rok i dłużej póki się nie podrze

nosić. Pędzi zatem żywot twardy, nieznający wygod i pieszczona ciała.

To zastanowiło Hrynenczan, którzy, jako chłopci, mieli szacunek dla takich, co pracą ich prześcigali.

Bo na świecie tak: pracowity przed pracowitym chyli czoło, urodzony przed urodzeńszym. Praca kłaniająca się urodzeniu nie oznacza szacunku. Tego rodzaju stosunek i takie pokłony wyradza niewola, która przewraca sprawiedliwość na odwrót: bo sprawiedliwość wymaga, aby urodzenie pracy się kłaniało. Mówimy tu bezwzględnie pracy i urodzeniu, nie mówiąc o jakości jednej ani drugiego. Ale jeżeli urodzenie służy na to, aby podnieść pracę, spotęgować ją przez przeniesienie jej w sfery moralne, uznać przez podawanie pomocnej ręki braciom w pocie czoła pracującym, to takiemu pracowitemu urodzeniu należy się cześć od *nieurodzonej pracy*.

Takie pracowite urodzenie podejrzeli hryneńscy chłopci w przybytku i istotny szacunek poczuli dla szlacheica. Wójt odchrząknął mocno i powiedział do gościa:

— Wasza wielmożność z dalekich zdaje się stron przybywa.

— Z dalekich...— odparł szlacheic krótko.

Po mowie miarkując, to ani z Mazowsza, ani z Czerwonéj Rusi...

— Poznacież po mowie, kto jestem?...— zapytał szlacheic z lekkim uśmiechem.

— Czemu nie!...— odrzekł wójt.— Bywało się po świe-

cie, to się widziało i słyszało nie jedno... Wasza wielmożność jesteście z Litwy... A co, czy nie zgadłem?...

Szlachcic kiwnął głową, na znak potwierdzenia.

— Coż słyhać na Litwie?... — zapytał wójt. — A może byliście i w Koronie?... Coś zabiera się niby na burzę...

I znów wszczęła się rozmowa polityczna. Gospodarze ścisnęli się i nastawili uszu. Rozmowa potoczyła się żywa, zajmująca. Szlachcic stał się gazetą, porządkującą wieści, stawiającą wnioski i skierowującą ku jednemu jakiemś ogólnej doniosłości przedmiotowi umysły.

II.

W dawnych czasach było w Hrynenkach nie to, co dziś. Ludzie mniej byli apatyczni, a przytęm wielkie jedno złe nurtowało społeczeństwo, mianowicie sprawy publiczne prowadzili próżniacy, pracowici zaś byli od nich zupełnie odsunięci. Interesa próżniaków miały przedstawiciele swoich i obrońców i rzeczników; interesa zaś pracowitych były pierwszym na pastwę wydane. Złe to, gdy do wysokiej podniosło się potęgi, wydało wojny kozackie, najstraszniejsze, najokropniejsze i najokrutniejsze, jakie pomiędzy wojnami świata znaleźć można.

W epoce, w której powieść nasza się toczy, przygotowywały się dla nich żywioły. O przygotowaniach tych powszechnie nie wiedziano. Byli jednakże przewidujący nieszczęścia i usiłujący je odwrócić. Byli tacy, co o nich pisali, co wytaczali je na obradach sejmowych, co o nich

z ambon kazali, co usiłowali do rozumu i serca powszechności przemówić, byli znów inni, co działali.

Bo zawsze, ilekroć w łonie społeczności wielkie jakieś przyspasabiają się wypadki, społeczność z góry je przeczuwa, i jeżeli te wypadki grożą nieszczęściem, stara się je odwrócić. Wówczas pojawiają się ludzie przez Opatrzność powołani. Spółcześni pytają:

— Co im do tego?... czego oni chcą?..

Oni odpowiadają czego chcą, ale pytający nie chcą ich rozumieć. Wiedzieć bowiem należy, że oni przez Opatrzność powołani, zajmują zwykle stanowisko pośrednie pomiędzy dwoma żywiołami, pomiędzy którymi nastąpić ma starcie.

Takim powołanym był, zdaje się, nasz szlachcic podróżny. Miarkuję o tém z tego, że go mocno zainteresowały Hrynenki, w których nie dwie ale sześć nocy spędził, przenosząc się z chaty do chaty i rad goszcząc to u tego, to u owego gospodarza, a zarazem pilnie badając wewnętrzne gromady urządzenie i stosunek jej do tej wielkiej gromady, która się podówczas Rzeczpospolitą Polską nazywała.

— Wasze Hrynenki bardzo mi się podobają...— rzekł razu pewnego do wójta, mielnika, proboszcza i kilku jeszcze innych gospodarzy.

— Ot...— odrzekł wójt— staramy się żyć i prowadzić się tak, aby była z nas i Bogu chwała i ludziom jaki taki pożytek...

— Gdyby tylko— ciągnął szlachcic— te wasze Hrynenki zrobić można głośniejszemi i widniejszemi...

— A to na co!...— zawołał mielnik.— Dziękujemy Bogu, że nikt o nas nie wie, to nikt nas nie zaczepia...

— Dobrze to, ani słowa...— odparł szlachcic— a przede wszystkim wygodnie dla was... Nie zawsze to jednakże godzi się ludziom mieć głównie na widoku wygodę...

Nikt nie szlachcicowi na tę sentencję nie odpowiedział, a on jęj nie rozwijał. Rzucił ją i na tem poprzestał. Może uważał, że rozwijanie jęj na nicby się nie zdało, może myślał, że szczepienie jęj w umysłach Hrynenczan było przedwczesnem, albo wcale niepotrzebnem; może też wypowiedział ją, ot tak sobie, bez myśli, jak tysiące sentencyj przez ludzi się wypowiada — nie wiem. To jednakże wiem, że poprzyjaźnił się z Hrynenczanami, a szczególnie z owym młodym parobkiem, którego widzielismy w chacie starego Semena.

Zaprzyjaźnienie się szlachcica z tym parobkiem wydawało się arcy-dziwacznem.

— Z jakiego tytułu? można było zapytać.

— Z żadnego... Przyszło nie wiedzieć zkąd: wzięło się nie wiedzieć jak, jak woda z dwóch źródeł do jednego spływających koryta....

Powiecie, że:

— Źródła muszą mieć jakieś takie gruntu nachylenie, aby mogły spłynąć razem.... bez tego bowiem nachylenia rozeszłyby się w przeciwne strony.

Toż i dusze szlachcica i parobka musiały mieć przed

sobą jakieś takie gruntu nachylenie, po którym spłynęły w jedno...

A zresztą, nie wdając się w bliższe tego psychologicznego fenomenu tłumaczenie, powiem tylko, że tak się stało.

Zaprzyjaźnienie się parobka ze szlachcicem objawiło się zaraz na drugi dzień po przybyciu tego ostatniego. Objawiło się ono nie szlachcicowi, ale wnuczce starego Semeną, temu dziewczęciu co to odezwało się o sroce, o którym to należy powiedzieć, że nosiło takie samo imię, jak znana z pierwszej części niniejszej powieści wnuczka starego Kociuby. Na imię jej było Jeryna, a rodzice i dziadkowie, przez spieszczenie, Jerynką ją zwali.

— Czegoś ty był wczora taki?... — pytała się Jerynka parobka.

— Jaki?... — zapytał ten ostatni.

— Alboż ja mogę powiedzieć jaki!... — odparło dziewczę. — Jak nie swój, nie taki jakiś zawsze...

I dodała po chwili, widząc, że parobek nie odpowiada:

— Jakiś taki dziwny, jakbyś mnie już kochać przestał...

Parobek, za całą odpowiedź, uściśnął dziewczynę serdecznie i w usta ją pocałował. W uścisku jego i pocałunku było coś konwulsyjnego. Snać odczuła to dziewczyna, bo się rozplakała.

— Nie płacz, serce Jerynko... — rzekł parobek.

— Jak mnie nie płakać!... — odrzekła dziewczyna — kiedyś ty stał się inny.

— Inny!... jako inny!... ja ten sam Kuźma co był wczora, pozawczora i zawsze, ten sam co ciebie, serce, nad życie kocha...

Jerynka się uśmiechnęła, ale po jej uśmiechniętych policzkach łzy nie przestały płynąć.

— Och! nie ten sam...— odrzekła, patrząc kochankowi w oczy.— Tyś mnie tak nigdy nie całował...

— Bo... bo...— jąkał parobek— bo widzisz, moje serce... ja ciebie zawsze jednakowo Kocham...

— Jednakowo?...— odparła Jerynka.— A mnie się zdaje, że nie jednakowo; dawniej, ileby ludzi nie zeszło się, czy to do naszej, czy do inszej chaty, gdzie ja i ty byliśmy ze sobą, ty na mnie inaczej spoglądał, a wczora, jak ten pan podróżny przyjechał, ty ani spojrzales na mnie... A tak dziwnie na tego pana patrzales!... Ach! mnie straszno...

I drżało dziewczę. Kuźma ją uspokajał i tulił do siebie, i mówił najłagodniejszym na jaki tylko mógł się zdobyć głosem:

— Nie bój się!... czego ty się boisz!...

— Ja się nie boję...— mówiła dziewczyna. Ale mnie się zdaje, że mi ktoś serce na dwoje rozdziera...

I zawołała, głośnym wybuchając płaczem:

— To ten pan!...

— I! co tobie... dajże pokój!...— perswadował Kuźma. —Czego od tego pana chcesz!... To jakiś bardzo rozumny człowiek...

Jerynka uspokoiła się raptem. Stłumiła w sobie płacz,

ły obtarła rękawem od koszuli i po chwili milczenia tak się odezwała:

— Ja od niego niczego nie chcę.... On rozumny, och! taki rozumny, że kiedym go słuchała, żałowałam, że się dziewczyną urodziłam... On tak ślicznie rozpowiadał!

To co Jerynka powiedziała, powiedzianém było tak naturalnie, a przytém tak nieostrożnie, że się stało niby ową iskrą, która przypadkiem na nagromadzony proch pada. Kuźma buchnął płomieniem krwi, która mu do głowy uderzyła, i zawołał:

— Ot-że widzisz!... tyś żałowała!...

Złękła się dziewczyna głosu i wyrazu twarzy kochanka. Popatrzyła na niego tym długim a głębokim wzrokiem, jakim tylko kochające kobiety patrzeć umieją, i po chwili milczenia, spokojnie powiedziała:

— Wiem ja, Kuźmo, co tobie w duszę zapadło...

— Ja chcę w świat!...— przerwał jęj Kuźma krótko i sucho.

— Wiem o tém...— ciągnęło dziewczę.— Ciebie ten pan oczarował: on w tobie pragnienie świata obudził... on odebrał cię mnie, a wziął sobie... Och! on...

— Jerynko - serce... — znów przerwał Kuźma biorąc dziewczynę za rękę i przyciągając ją z lekka ku sobie— mnie tobie nikt odebrać nie może... Ja twoim zawsze i wszędzie zostanę; a jeżeli się rozłączymy, to nie na długo, to na to, aby się znów połączyć... Toż nie miéj żalu do tego pana, bo mnie nie on, ale moja młodość ciągnie w świat... A on?... ja go się tylko o drogi rozpytam, któ-

remi po świecie się chodzi; jeżeli jego łaska, to mi je rozpowie...

—O! on ci rozpowie...— podchwyciła Jerynka.

—Jakże o tém wiesz?..— spytał Kuźma.

—Jak wiem?... nie wiem jak..— odparła dziewczyna.
—Ot coś tu— i pokazała na serce— powiada mi, że on ci wszystko, czego tylko od niego zechcesz, rozpowie...

— Może...— rzekł Kuźma i zamyślił się.

Dziewczyna, niby w obraz cudowny, wpatrzyła się w niego.

Byłże doprawdy cudownym, to jest w cielesném znaczeniu pięknym, nasz bohater?— Bynajmniej. W poprzednim rozdziale, z okazji wejścia jego do Semenowej chaty, nazwałem go przystojnym. Wyraz ten jednakże «przystojny», tak jest wieloznaczącym, że często wcale do zewnętrznych rysów oblicza się nie odnosi! Oznaczają nim niekiedy wyraz z owych rysów bijący, i w odniesieniu do Kuźmy, bardziej on do tego wyrazu niż do rysów się ściągał. Bo rysy oblicza Kuźmy nie nader były piękne. Nie zlewały się one w monstrualną całość, ale pięknymi w żaden sposób nazwać ich nie było można.

Kuźma zbudowany był kształtnie i mocno, tak, że z całej jego postaci znać było, że pod względem fizycznym, otoczonym był od dzieciństwa wszystkimi warunkami, sprzyjającemi cielesnemu rozwojowi. Nie wybujał jednakże; wzrostu był miernego, a z tuszy i harmonii członków podobnym był do przyjezdnego szlachcica, to jest przeważającymi w nich były żyłastość i muskularność. Twarz

miał nieładną, ale wyrazistą, czoło wysokie i otwarte—oczy śmiałe i roztropnie patrzące—usta za wielkie, ale wkrótce zakryć się mające wąsami, które mszyły się już na zwierzchniej wardze; nos lekko do góry podniesiony,—twarz owalna i koścista — kolor cery nie śniady, ale też nie ten biały, w którym podobieństwo do krwi z mlekiem upatrują — kolor oczów piwny a włosów ciemno-płowy. Oto jak da się zewnętrzną część naszego bohatera opisać; ale zewnętrzną ta znikła przed wewnętrzną, która przez oczy, czoło, twarz, przez całą zresztą postać Kuźmy gwałtem na wierzch się wydobywała i rysy jego dziwnie upiękniała.

Dla tego też chociaż Kuźma pięknym nie był, nikt się jednakże nie dziwił, że rozkochała się w nim najpiękniejsza w Hrynenkach dziewczyna.

Bo Jerynka była istotnie piękną, ale także tak jak Kuźma: nie z rysów, ale z tych rysów wyrazu. Nie była ona białą z wypiętnowanemi jak od ognia rumieńcami. Rumieniec krył się u niej pod zwierzchnią płci powłoką, wynurzając się niekiedy dla zaświadczenia o wewnętrznym wzruszeniu. Była czarnooką, czarnobrewą i czarnowłosą, w najmocniejszemu znaczeniu tych wyrazów. To w spadku otrzymała po matce, którą wszyscy w Hrynenkach czarnobrewą Handzią nazywali. Była przytęm smukłą i kształtną. Wszystkie przegiby i zaokrąglenia całej jej postaci taką miały minę, jakby z kamienia były utoczone i harmoniowały jedne z drugimi, tak, że rozbierając wszystkie po szczególe, nie można było powiedzieć: «to za małe»

albo «to za wielkie», «to za wąskie» albo «to za szerokie.» Wszystko było w miarę i wszystko na swoim miejscu, i wszystko składało się na upiększenie jej główki, obciążonej grubemi nad gładkiem czołem obwinionemi warkoczami, ozdobionej w dwa regularne łuki wygiętymi brwiami, ocienionej długimi rzęsami i umiłonej kształtnym noskiem, różanemi ustami, perłowemi a równemi ząbkami, ślicznym buziaczkiem i śliczniejszym nad wszystko uśmiechem, wyłobiającym dwa na policzkach dołki.

Śliczna była Jerynka a młodziutka, bo zaledwie szesnasty rok skończyła.

Pokochała ona Kuźmę z tego samego powodu, z jakiego Kuźma poczuł sympatyczny pociąg do nieznajomego szlacheica, to jest: niewiedzieć dla czego.

Miłość ta jednakże, w oczach statecznych ludzi, usprawiedliwiała się powodami ekonomicznemi.

Kuźma był jedną z najlepszych w Hrynenkach partyj. Jako jedynak i do tego syn mielnika, odziedziczył po ojcu takie gospodarstwo i znaczenie, jakie mało któremu parobkowi w spadku się dostawało.

Ale Jerynka o jego gospodarstwie i znaczeniu ani myślała. Majątkowe i społeczne jego przymioty maskowała w jej oczach własna jego osoba, za którą ona nie widziała nic, i o której tak sobie nieraz myślała:

— Niczego bym nie chciała, tylko przez całe życie patrzeć się Kuźmie w oczy i w usta go całować i na szyi mu wisieć...

A majątek ją wcale nie obchodził.

Onaby wolała tak: żeby Kuźma nie nie miał, i żeby ona była jego matką karmicielką.

— Kuźma będzie moim panem, a ja koło niego będę chodziła, i będę mu tak dogadzała... tak dogadzała... tak go będę pieściła i tuliła i hołubiła... Będę mu do snu różne pieśni śpiewała, a coraz ciszej, ciszej, aż mój hołubczyk usnie.... Latem będę od niego muchy odpędzała a zimą będę go okrywała radnami i kożuchami, żeby memu jasnemu sokolikowi było ciepło...

Tak roiła szesnastoletnia dziewczyna, w pierwszym roku siemnastego stulecia. Ja myślę, że i w dziewiętnastym, dziewczęta, którym serca do miłości się budzą, nie inaczej roją. I w naszym, ucywilizowanym a rachunkowym wieku, szesnastoletnie, wiejskie czy miejskie, chłopskie czy pańskie dziewczyny poetyzują sobie kochanie, nie przewidując w niem ani cierni, ani powszedniości. O! bo też każda kobieta jest arcypoetycznym utworem i jest nim póty, albo raczej przestaje nim być wówczas, kiedy ją zmrozi jakaś jej uczucia obraza — kiedy ją spotka albo niespodziany zawód, albo niesłuszne podejrzenie, albo na koniec, kiedy ją w błoto zepsucia wprowadzą.

Kochała tedy Jerynka Kuźmę.

A Kuźma?

I Kuźma kochał Jerynkę. Kiedy pełnią życia zadrgało jego męzkie serce, to najpierw poskoczyło do kochania: szarpnęło się z piersi i spotkało z Jerynczynem. I stało się z niem tak, jak z tym co się rozpędzi, chcąc ścigać jakąś marę ukazującą mu się z daleka, aż tu mara rap-

tem przed nim staje, i on się w rozpędzeniu zatrzymuje. Zdziwiony, nie wie co to. Stoi i spogląda z podejba w dal, rad i nie rad: rad, że się obeszło bez ścigania, nie rad, że nie poprobował młodych swoich sił.

Jak ta mara, tak przed Kuźmą Jerynka z miłością swoją stanęła. Przyjął on ją szczerem i radosnem sercem, cieszył się nią, ale pomimo to nieraz żal mu się robiło: dla czego to tak łatwo przyszło?... Żalu tego nie umiał przed sobą wytłómaczyć. Z objęć jednakże Jerynki spoglądał w dal, w której przed oczyma jego snuły się jakieś tajemnicze, dziwne kształty.

Gdybyż przynajmniej jego albo jej rodzice stawiali im jakieś przeszkody, to Kuźma zająłby się mocowaniem z niemi, możeby w to mocowanie włożył całą duszy swojej potęgę. A to, nie. Poszło mu, jak z płotka. Jak tylko spostrzeżono, że Kuźma ma się do Jerynki a Jerynka do Kuźmy, nuż nie ledwo że w ręce klaskać, nietylko ich obojga rodzice, ich bliżsi i dalsi krewni, ale wszyscy znajomi, wieś cała. Jedne dziewczęta, jakoś czy z uiedowierzeniem, czy z niechęcią wieść tę przyjęły, ale— co dziewczęta!... Kręciły one głowami, sznurowały usta i zgadzały się na to jednogłośnie, że «Kuźma niczego sobie, ale bardzo zbyteczny.» I dziewczęta jednakże, koniec końcem, uznały, bo uznać musiały, że:

— Kuźma i Jerynka kochają się i poenią...

I już jedno im tylko na myśli stało:

— Co to za wesele mielnik synowi sprawi!... hej!...

Pod tym względem wnioskom i domysłom, rozprawom

i nawet aż sprzeczkom końca ni miary nie było. A na pewne nikt jeszcze nie wiedział, kiedy się wesele odbędzie. Przyszli państwo młodzi byli jeszcze bardzo młodzi, i dla tego zapewne rodzice nie spieszyli się z prowadzeniem ich pod wianek.

Wszystko Kuźmie i Jerynce sprzyjało, i za rok, najdalej za dwa, byłoby już po wszystkiem. Kochanie skończyłoby się tém, że przysięgliby on jej a ona jemu miłość i wierność dozgonną, i powieść nasza témby się skończyła, chyba gdyby nie dotrzymali przysięgi.

Na szczęście dla naszej powieści, a na nieszczęście dla kochanków, zjawił się w Hrynenkach ów szlachcic i zerwał tkankę szczęścia miłosnego. Zjawił się on jak *deus ex machina*, niespodzianie dla niego, dla Hrynenczan, dla kochanków i może nawet dla czytelnika— «nawet» powiadam, bo autorowie mają zwyczaj czytelników *domyślnemi* nazywać: czytelnicy przeto moi może się i domyślili, że do Hrynenek przybędzie *raby* szlachcic. Przyznam się wam, moi łaskawi, pod sekretem, że gdyby nie ten szlachcic, który mi się w zapiskach Jana tajemniczo pokazał, a którego potem w historyi wytropiłem, to powieść moja nie miałaby wątku.

Tego szlachcica przewano w Hrynenkach *rabym*, z powodu ospy, która twarz jego gęsto poznażyła. My nazwalibyśmy go «dzióbatym», ale wolimy zatrzymać przezwisko, jak iem go Hrynenczanie ochrzcieli. Zmienimy je wówczas dopiero, gdy się o jego nazwisku dowiemy.

Zjawił się tedy ów *raby* szlachcic i rozbił szczęście

kochanków, jakby to szczęście podobnym było do cieniutkiego a kruchego kryształowego naczynia.

Pierwsza domyśliła się tego Jerynka. Nie dziw: kobiety żywsze mają i trafniejsze od mężczyzn przecucie. Ona biedaczka przeczuła swoje nieszczęście.

Domyślił się tego i Kuźma, ale nie pierwój aż mu kochanka powiedziała. A ona, proste, młode, niedoświadczone dziewczę, mające zwyczaj nic a nic przed Kuźmą nie kryć, wygadała się przed nim, w prostocie ducha, z przecucia swego, i sama niejako palcem ukazała mu tę dal, która się przed nim niewyraźnie mgliła.

— Pojedziesz, mój sokole... — mówiła, obejmując go za szyję drobnymi rączkami — a ja tu sama i smutna zostanę...

— Powrócę... — odpowiadał parobek.

— Och!... nim ty powrócisz, to ja się zasmucę, zapłacę...

— Kochaj!... myśl o mnie... — mówił Kuźma — to ci się krótszem wyda czekanie.

— Jakżebym ja miała nie kochać albo nie myśleć o tobie, mój świecie!... Jak kochać i myśleć przestanę, to i żyć przestanę...

Oni tak sobie rozmawiali o kochaniu i czekaniu, a tu bardzo jeszcze było wątpliwem, czy się rozstaną. Rozstanie bowiem zależało od pozwolenia mielnika, a mielnikowi ani w głowie było pozwolić. A i sam Kuźma nie wiedział jeszcze, w jaki to nastąpi sposób. Zapalił się do ropowiadań szlachcica; do rozprowadacza poczuł jakiś

sympatyczny pociąg; oto do czego redukowały się wszystkie materyały, z których budował tajemniczą przyszłość, albo raczej z których oboje— tak on jak Jerynka— budowali: bo i Jerynce podobała się tajemniczość przyszłości, którą spowity stanął przed nią kochanek. To podniosło go w jej oczach, uniepowszedniło. Fantazja jej dziewczyna przeniosła go od młyńskiego koła na długo-grzywego konia, dała mu w rękę spisę, koniowi do kopyt przybiła złote podkowy, i chłopca Kuźmę przerobiła na kozaka, takiego jak ten, o którym w pieśniach śpiewają.

Nie wątpiła ona, że szlachcic sprzyjać będzie światowym Kuźmy zamysłem. Jakoż nie omyliła się. Na drugi bowiem, czy na trzeci dzień przybycia swego do Hrynenek, sam on bohatera naszego, kiedy się tak jakoś zdarzyło, że obydwa sam na sam zostali, w taki zaczęli sposób.

— Jak tobie, mołojcze, na imię?...

— Kuźma...— odrzekł parobek.

— A czyj ty?...

— Mielników...

— Gdyby się tobie przyszło rzucać dom i rodzinę, o! tożby ci żal było.... bo to ty, słyshałem, wychuchany ta wyplekany...

— Taż-by to ono było żal, ani słowa..— odpowiedział parobek.— Ale gdyby się przyszło rzucić, tobym rzucił..

— E! może i nie...— rzekł szlachcic z akcentem niedowierzania.

— Alboż to ludzkie dzieci nie rzucają!..— odparł Kuźma.— A cóż ja lepszego albo gorszego od innych?...

— Może ty ani lepszy, ani gorszy, aleś jednak, masz piękne gospodarstwo i młyn, zaswatali cię z ładną dziewczyną; to to wszystko przeszkody nie lada... Nie jeden i dziesiątej części takich przeszkód nie ma, a przecie, jak mu się przyjdzie ruszyć, to myśli, i w końcu taki nie ruszy... I ty, jak pomyślisz, to nie bardzo będziesz ochoczy...

— Już ja myślał...— odrzekł Kuźma.

— I cóżes wymyślał?...— zapytał szlachcic.

Bohater nasz począł się w łeb drapać. Spoglądał na szlachcica z uśmiechem, który miał swoje znaczenie: oznaczał, że ma mu coś powiedzieć, chce go o coś prosić, ale nie śmie, bo nie życzyłby sobie na wręczną narażać się odmowę. Szlachcic zrozumiał znaczenie tego uśmiechu.

— No, śmiało, mów...— zachęcał.

— Ja chcę z waszą wielmożnością jechać...— przemówił ośmielony Kuźma.

— Hm!..— odparł szlachcic.— W tém nie ma nic trudnego... Tylko, czy ci rodzice pozwolą...

— Ja się u rodziców wyproszę...— podchwycił parobek; a po chwili, pomyślawszy nieco, dodał:

— A jeżeliby i nie pozwolili, to co...

— A, tak nie chcę!..— odrzekł szlachcic.— Nie tylko trzeba, żeby ci rodzice pozwolili, ale żeby cię gromada wyprawiała...

I po chwili milczenia, dodał, nadając wyrazom swoim szczególne jakieś znaczenie:

— Chciałbym, żebyś ty wystąpił w imieniu hryneńskiej gromady.

«Ty» wymówił z przyciskiem, jakby dla okazania, że wielką przywiązuje wagę do tego, aby nie kto inny, tylko Kuźma, w imieniu hryneńskiej gromady wystąpił. Kuźma dosłyszał tej dystynkcyi, albo raczej przeczuł ją, i zrobiło mu się tak, jakby go— jak trywialne jedno wyraża się porównanie— masłem posmarowano. Odezwała się w nim próżność. Owo «ty» cudnym jakimś tonem w uszach mu zagrało.

Nie dziwny się mu. Był młodym. A któż będąc młodym, nie był próżnym!... Przy tém i to jeszcze wzięść na uwagę potrzeba, że próżność jest jednym z wydatniejszych rysów narodowego naszego charakteru. Tę sprawiedliwość musimy sobie oddać: opiera się ona bowiem na niezbitych dowodach, a pomiędzy innymi i na tém, że mówiąc o sobie, lubimy same dobre strony naszego charakteru podnosić, lubimy się chwalić i wielce radzi jesteśmy, jeżeli ktoś dobre nam przyznaje zalety. Na to mam nie tylko ustne ale i pisemne dowody. Pisma nasze publiczne notują skrzętnie wszystko, cokolwiek cudzoziemcy na chwałę Polaków piszą, nazywają to «oddaniem sprawiedliwości»; nagany zaś okrutnie je oburzają. Z faktów jednakże sądząc, musimy być bardzo ułomni, musimy na nagany, i wielkie zasługiwać... Kiedy więc nam, ucywilizowanym, kadzidła tak pachną, nie dziw przeto, że młodemu, prostemu i nieokrzesanemu chłopu podobało się to wymówione z przyciskiem «ty.»

— A umiesz czytać i pisać?...— zagabnął go raptem szlachcic.

Kuźma się zmieszał. To «ty,» które mu tak mile pogłaskało ucho, poczęło niby walić się z piedestału. Odpowiedział jednakże:

— Umiem....

I dodał ciszej:

— Trochę...

— Umiesz twoje imię i nazwisko napisać?...

— Potrafię...— odrzekł Kuźma.— Uczyłem się u pałamarza, ale to już temu dawno... Ale, jak trzeba ojca podpisać, to ja za niego piszę...

— To dobrze...— rzekł szlachcic do siebie. Ale że to i Kuźma dosłyszał, przeto znów powróciła mu ufność w siebie, owa nieodstępna próżności towarzyszka, która zachwianą została na chwilę obcesowem szlachcica o pisaniu i czytaniu zapytaniem.

— Trzeba zatem ażebyś się ojca prosił...— odezwał się szlachcic.— Jak uzyskasz jego pozwolenie, to ta rzecz wytoczy się przed gromadę.

Na te słowa wyskoczył Kuźma z izby i pędem ruszył do mielnikowej chaty, a tak mu było spieszno, że zapomniał czapki po którą musiał się wracać, a o której byłby sobie z pewnością nie przypomniał, gdyby nie zima, albo przynajmniej gdyby chata jego ojca bliżej trochę leżała. A tu, jak tylko znalazł się na dworze, natychmiast mróz go za głowę uścisnął, i spostrzegł się, że to mu przez całą wieś i przez całą groblę iść wypada. Chata bowiem mielnika—zwyczajnie jak mielnika—położoną była dalej jak na skraju wsi, bo aż za groblą.

— Czy ja odurzał, czy co!..— zawołał Kuźma na dworze, chwytając się ręką za głowę.

Wrócił więc, a chwytając za czapkę, rzekł do szlachcica:

— W pośpiechu zapomniałem...

Szlachcic uśmiechnął się na to.

Kuźma pędem przebiegł przez wieś i groblę i wpadł do ojca zadyszany. Nie mógł zdobyć się na przemówienie od razu. Przestraszył matkę, która myślała że go co nadzwyczajnego spotkało.

— Co tobie?... Kuźmo!..— mówiła. — Co się tobie stało?...

Kuźma sapał i spoglądał to na ojca, to na matkę, a z oczu jego widać było, że chce im coś niezwykłego powiedzieć. Kilka razy już odmykał usta, ale raptem przyszło mu na myśl:

— Toż ja taką rzecz powinienem spokojnie wypowiedzieć, bo kto wie, jak długo przyjdzie się o'tem gadać...

Więc kiedy nań koniecznie matka nalegała:

— Co się stało?...

Odpowiedział:

— Nic...

I wyszedł dla wysapania się na podwórze.

Po chwili powrócił do chaty zupełnie już uspokojony. Matka znów go się zaczęła dopytywać, ale on uspokoił ją t'ém, że— jak powiadał— prędko szedł bo mu zimno było i zadyszał się.

— Cur na ciebie—zawołała mielniczka—a ja myślała, że tobie co złego się przytrafiło...

— Cóż miało się przytrafić!...—odpowiedział Kuźma, a tym czasem przemyślał, jakby to dyplomatycznym sposobem przystąpić do rzeczy.

Przemyślał z godzinę, jeżeli nie dłużej, bo mu ciągle coś przeszkadzało. Ojciec—zdawało mu się—nie był w rozmownym humorze—jakoś się nachmurzył i myślał. A Bóg-że wie o czem on myśli?... A nuż właśnie o tém, z czem się nieraz odzywał:

— Jakby to z Kuźmy takiego zrobić mielnika, żeby na całą zasłynał okolicę!..

— Jeżeli oni (to jest ojciec) doprawdy o tém teraz myślą...—tak sobie bohater nasz rozumował—to mnie nie wrywać się z moją prośbą...

I milczał a miarkował.

Aż mu przyszło do głowy:

— A jakże ja mogę wiedzieć kiedy oni o czem innym myślą?.. Toż jeżelibym na to czekał, to i lata upłyną, a ja nie powiem... Trzeba powiedzieć... nie ma na to rady!..

— Tatu...—odezwał się.

— He?..—zapytał ojciec.

Kuźma chrząknął, pogładził się po czuprynie i tak przemówił:

— Mnieby już czas w świat...

Wiemy już jaką mielnik dał synowi odpowiedź. Nie zadowolniła ona Kuźmy, ale i nie odstręczyła ani odstra-

szyła. Przeciwnie, wlała mu w duszę nieprzełamane postanowienie a w usta wymowę. Przemówienie jego do ojca było — wedle poetycznego porównania — przełamaniem pierwszych lodów. Jak lody na rzece, długo się mociują zanim pękną, ale gdy raz pękną to już płyną, pędzą i wszelkie tamy gruchoczą, tak i nasz Kuźma, gdy raz przemówił, to już nie zatrzymał się przed «durniem» którym go ojciec potraktował.

— Ja nie będę siedział we młynie...—odrzekł—chyba na to, aby sobie łeb o kamień młyński roztrzaskać, jeżeli mi ojciec świata zobaczyć nie pozwoli...

Mielnik ze zdziwieniem, mielniczka z przerażeniem wpatrzyli się na syna, tak wypowiedziane przez niego wyrazy z głęboką wyrzeczonemi były prawdą. Ojciec osłupiał; matka pierwsza przysła do słowa:

— Czyż tobie chleb rodzicielski gorzki, albo niesmaczny... czy ci na czém brakuje, że tobie się świata zachciewa?... Czyż tobie rodzice skąpią, albo żałują albo?...

— Nie skąpią mi rodzice ani żałują..... — przerwał Kuźma.—Na niczém mi nie braknie... chleb wasz smaczny i słodki.. Ale ja młody, ja nie chcę aby moje parobeze lata zgnęły we młynie, aby one się mąką ta grysem przysypały; abym ja się postarzał i nic innego w życiu nie widział tylko hryneński młyn, i nic innego nie słyszał, tylko szum wody na łotokach, i nic nie zaznał...

Ojciec Kuźmy był surowy, a jednakże tknęła go przemowa syna. Przerwał mu więc, nie wręcznym już jak zrazu sprzeciwianiem się ale perswazyą:

— Aleś jeszcze bardzo młody...

— Tém lepiej, zem młody...—odciął Kuźma ojcu.—
Tém lepiej, że młodo na świat popatrzę, to prędzej po-
wrócę...

— Och!..—przerwała matka, której łzy w oczach sta-
nęły—czy to wszyscy wracają!.. zaledwie dziesiąty...

— Dla tego, że się zapóźno wybierają...—odciął Ku-
źma matce.—Zanim się w świecie rozpatrzą, bo świat
powiadają szeroki, to i posiwieją, a jak posiwieją, to
już i wracać nie ma po...

— E! co to dużo bałakać...—odezwał się sierdzi-
stym głosem mielnik—trzeba żebyś jeszcze ze dwa lata
poczekał!.. Potém, to już sam ciebie wyprawię...

— Ja nie będę czekał!..—odrzekł Kuźma stanowczo.

— Nie będziesz?...—powiedział ojciec pytająco-zdzi-
wionym tonem.—Ot-żeż ja ciebie przekonam, że będziesz!...

I ruszył się stary do kąta, i ujął w prawą rękę gru-
bą dębową laskę, podszedł do syna i lewą ręką wziął go
za kołnierz od czuhaja.

— Nie będziesz?!..—powtarzał gniewliwie, ale po-
ważnie.

Tu powtórzyła się scena, godna téj jaka niegdys mię-
dzy Temistoklesem a jenerałem spartańskim się odbyła.

— Bij, ale słuchaj...—mówił Temistokles do Spar-
tańczyka.

— Bij ojczy, ale ja swoje zrobię...—mówił Kuźma do
mielnika.

A stary grzmocił go z rozważą i powoli—zwyczajnie

po ojcowsku—i gdy syn powiedział że «swoje zrobi», zaprzestał powtarzać «nie będziesz!», a zaczął:

— Zrobisz?!..

I kijem go.

— Zrobisz?!..

I kijem go.

— Zrobię!...—zawołał Kuźma mocno, gdy mu już zapewne dokuczyło.—Jeżeli mi, ojcze, nie pozwolisz, to niech mnie krzyż pobije, niech mnie piorun zabije, niech moje kości ziemią wyrzuci, jeżeli sobie głowy o kamień nie roztrzaskam!..

Na takie zaklęcie staremu laska z ręki wypadła. Matka zaszła się od płaczu.

Kuźma wyprostował się. Wyraz boleści napiętnowanym był na jego twarzy, ale łzy po niej nie płynęły. Nie mówił, ani już prosił, ani dowodził potrzeby pójścia w świat.

Ojciec patrzył na niego przez chwilę w osłupieniu. W końcu westchnął i rzekł:

— Ha!.. taka już snadź wola Boża, żeby mnie z jedynego syna nie doczekać się pociechy... Cóż robić!.. Trzeba się ze starcami poradzić...

Apellacya do starców rokowała Kuźmie pewną wygranę. Najtrudniejszą do przeparcia była wola ojca, a ta została już przełamana przez to już samo, że stary apełował. Kuźma zrozumiał to. Z twarzy ustąpiła mu boleść, a miejsce jęj zajęła żywa radość. Rzucił się przed

ojcem na kolana i padł mu do nóg. Mielnikowi łyzy w oczach stanęły.

— Ty mnie chcesz porzucić!... — rzekł wzruszonym głosem—ty!.. Kuźmo!... jedyne moje dziecko!..

To przemówienie niebezpieczniejszém było od bicia. Kuźma bał się, aby go ojciec nie prosił: ojcowskim bowiem prośbom oprzeć się — na to nie czuł w sobie mocy, a raczej nie wiedział czyby się zdobył na nią.

— Nie mówcie do mnie, tatu, tym głosem...—przemówił proszącym tonem.—Co się stało, to nie odstanie... Sam sobą teraz bym się brzydził, gdybym został...

A chcąc odebrać ojcu wszelką możność wpływania na odwołanie postanowienia swego, bądź wprost, bądź ubocznie, dodał:

— Teraz, gdybym został, ty sam ojciec brzydziłbyś się mną... plunąłbyś w oczy własnemu twemu a jedyne-
mu synowi...

Tém ugodził starego w najdelikatniejszy punkt honoru. Mielnik już nie innego nie miał do powiedzenia tylko powtórzył kilkakrotnie:

— Cóż robić!.. Trzeba się ze starcami poradzić!..

Nie trudną, ale przykrą bardzo przeprawę miał z matką. Mielniczka ani wzbraniała ani odradzała synowi, ale gorszym stokroć od wzbraniania i odradzania był jęj płacz. Kochała oną syna, zwyczajnie jak kocha matka; w jęj jednakże miłości była i niezwykłość, wyradzająca się z tego, że syn był jedyne-m dzieckiem.

Wyobraźmy sobie uczucie matki zlane na jedyne dzie-

cko, które ona urodziła, piersiami własnymi karmiła, lulała, pielęgnowała nad którym się rozpadała, które na jej rękach, pod jej okiem wyrosło, w którym ona świat swój, szczęście swoje, wszystko swoje widziała. Co to za uczucie!... Jakążto boleścią przejmować się musi serce matki, kiedy ona pomyśli, że to jej dziecko nietylko że ją rzuca, ale się puszcza na niepewne, że ten jej synek, którego ona od drobnego zadrasnięcia chroniła, naraża się gdzieś na karku złamanie, że niesie głowę jak kryształowe cacko, które świat—zbytecznik lada potrąceniem mu rozłucze!...

A ten świat, zbyteczny olbrzym, lubi się takimi cackami bawić, lubi ciskać niemi jak piłkami, i przypatrywać się z uśmiechem jak one purpurową krwią ociekają. O tym każda wie matka, szczególnie matka-chłopka, i dla tego ona dziecięciu swemu przy kołysce smutne pieśni śpiewa, a gdy podраста o strachach, wielkoludach, upiorach i wilkołakach mu prawi. Tym chce go ona od świata odstręczyć: bo te strachy, wielkoludy, upiory i wilkołaki wszędzie są, tylko nie w rodzinnej wiosce. W rodzinnej wiosce cicho i spokojnie; — na świecie burzno i straszno. Od kolebki, systematycznie, usiłuje matka odstręczyć syna od świata. Ale — darmo... Dla niego te właśnie straszne dziwa stają się ponętą, która go ciągnie i uwleka. Rozumie się, że nie mówi się tu o naturach rybich, które nawet na ciekawość zdobyć się nie w stanie.

Toż, gdy mielniczka spostrzegła w Kuźmie, że go ciągnie, pierś się jej ścisnęła, serce wezbrało i z wielkiego

żalu ledwo nie pękło. Z razu płakała,—gdy mielnik go kijem grzmocił, jeszcze płakała,—ale gdy Kuźma zaklął, a mielnikowi kij z ręki wypadł, łzy jej wyschły od razu, ręce załamała i suchym jękiem tak jęknęła, jakby jej syna w domowinie do grobu wynosili.

Wówczas Kuźma stał się u ojcowskich nóg. Jęk matki przeszył mu duszę na wskrós, przeszył ją jakoś mroźnie, jakby mu do piersi zimny sztylet wbito. Była to dla niego próba stanowcza, ale ją wytrzymał. Skończył z ojcem. Mielniczka znów się rozplakała.

Kuźma nie wiedział jakich słów dobrać na pocieszenie i uspokojenie matki, nie wiedział, jak ją pocieszać, bo doznawał uczucia wprost jej uczuciu przeciwnego. On się cieszył, ona rozpaczała. Co to za dziwny zbieg! A w świecie często się tak zdarza: jedno i to samo, jednemu radość, drugiemu smutek sprawia.

— Mamo, nie płacz...—mówił tonem lekkiej wymówki, i mówił to szczerze, bo radby był w tej chwili z najbliższymi swojemi podzielić się radością, która mu serce przepełniała.

— Nie płacz, mamo...—powtarzał, biorąc matkę za rękę.

Mielniczka szarpnęła rękę.

— Nie gniewajcie się na mnie, mamo hołubko... mnie tak sądzono, «a co człowiekowi sądzono, tego ani obejść, ani koniem przeskoczyć»...

Sąsiedztwo snadź z wyznawcami Islamu i częsta styczność z Tatarami wyrobiły w ludzie ruskim pewną skłon-

ność do fatalizmu, na podstawie którego pozostało śród niego kilka przysłówiów, mających znaczenie zasadniczych maksym. Do takich przysłówiów należy i to, które przytoczył Kuźma. Przekonają one lud prędziej i łatwiej, jak najsztuczniejsze a najjaśniejsze wywody. Pokazało się to na mielnicze.

Sądząc po wyszarpięciu ręki, miała ona zamiar obсыпать syna wymówkami, obarczyć go gorzkimi wyrzutami. Lecz jak tylko on powiedział:

— «Co człowiekowi sądzono, tego ani obejść, ani koniem przeskoczyć»...

Mielnicze natychmiast do wymówek i wyrzutów ochota odpadła.

— To bardzo logicznie: bo jakże gniewać się na tego, który dla tego tylko przykrość lub krzywdę sprawia, że na nim spełnia się wyrok losu!...

Zamiast wymówek więc i wyrzutów, ciężko westchnęła biedna matka i powiedziała:

— To i mnie widać sądzono być nieszczęśliwą matką...

— Mamo moja, hołubko...— rzekł Kuźma do pieszczołliwości zniżonym głosem — kto to wie!... tego naprzód przewidzieć ani odgadnąć nie można... może ja wam szczęście ze świata przyniosę...

— O! biednaż moja główka z takim szczęściem!.. —przerwała mielniczka.—Moje szczęście z tobą, tu przy tobie...

I znów w płacz uderzyła.

— Taż ja, mamko-serce, nie zarzekam się powrócić do domu...

Mielniczka odpowiedziała mu temi samemi słowami co Jerynka:

— Och! nim ty powrócisz, to ja się zasmucę, zapłaczę...

Z tem, że dodała jeszcze:

— Na śmierć... Ciało moje zgnije i koście spruchnieją, i grób mój wysoką trawą porośnie...

— Dosyć tego! dosyć bałakać!...— przerwał mielnik, który od ostatnich słów, jakie wymówił, zasepił się, zachmurzył, mileczał i myślał.— Jeżeli nie ma rady, to nie ma... I ja go chciał dobrym sposobem do zostania nakłonić... Ale upartego przeprzeć nie można... Oto ty— rzekł zwracając się do żony— przestań płakać... A ty— powiedział ukazując oczyma na Kuźmę— pójdz po wsi, pokłoń się wójtowi, Semenowi i wszystkim starcom i poproś ich, aby zeszliz się do mojej chaty...

Kuźma zebrał się i poszedł. Mielnikostwo pozostali sami.

— Co to już na próżno łyzy i słowa tracić...— rzekł mielnik do mielniczki po odejściu syna.— Chłopiec nie dziewczyna... Jego ni bijka przestraszy ani płacz rozczuli... Jemu trzeba szerokiego przestworu, żeby miał gdzie pełnemi wydychać się piersiami... Ha!... niechże i nasz idzie, kiedy taka Boża wola... Czekaliśmy na jego przyjście, prosiliśmy Boga i doprosiliśmy się... Czekajmyż teraz na jego powrót, prosmy Boga a może znów

doprosimy się... Bóg wielki! wszystko w jego mocy... Ot teraz nie o to już chodzi, że Kuźma pójdzie albo nie, ale o to, jak pójdzie... Teraz nad tem trzeba głowę łamać...

Było to ubocznym, podjazdowym— że tak się wyrażę— sposobem wykonane zawezwanie żony do rady, do wstępnego roztrząśnienia tego, co ostatecznie starsi gromady rozstrzygnąć mieli. Mielnik nie chciał powiedzieć wręcz tak:

— Poradz żono...

To bowiem ubliżałoby jego powadze ojca i męża. Więc wyciągnął żonę z ogródka na słowo.

Mielniczka dała się wyciągnąć.

— Jakto...— rzekła— pójdzie!... Ta go trzeba tak wyprawić, żeby mu na niczem nie zbrakło... Trzeba go odziać jak należy, dać mu konia, spisë...

— Ta!... — przerwał mielnik niechętnie— nie w tem to rzecz!... To się samo przez się rozumie... Ale mnieby się chciało, żeby nad chłopcem było jakieś oko, żeby on nie błądził na oslep po świecie, bo to młody, niedoświadczony... Mnieby się chciało, żeby ktoś starszy i rozumniejszy przy nim był, albo on przy kimś...

Zamilkł mielnik, zamyślił się i mielniczka także.

Po dłuższej chwili milczenia, ta ostatnia, raptem, jakby jej niespodziane jakieś widzenie stanęło przed oczyma, zawołała:

— A tenże raby szlachcie!...

Mielnik na to:

— On i mnie stoi na myśli...

Po czem znów nastąpiło milczenie i myślenie, które trwało póty, aż póki mielnikowi nie przyszło na myśl mające się w jego chacie odbyć zgromadzenie wiejskich znakomitości.

— A trzebaby tam— odezwał się— pomyśleć o przyjęciu gości; trzebaby ich przyjąć i poczęstować po ludzku...

Mielniczka utarła nos palcami, obtarła łyzy rękawem i zawinęła się po izbie.

A izba ta była to świetlica— chłopski bawialny pokój. Mielnik bowiem, jako gospodarz zamożny, miał pomieszkание obszerne, składające się z izby sypialnej po jednej stronie sieni i ze świetlicy, po drugiej stronie położonej. Obok sypialni był alkierzyk, obrócony na komorę, przeznaczoną na skład bielizny, ubiorów, płócien, motków, kłębków i innych tym podobnych i niepodobnych rzeczy. Tam stały bednie i beczki. Tam znajdował się pewien garnek tajemniczy, o którym tylko mielnik i mielniczka wiedzieli, a w garnku tym bite talary. Nie mówili oni o nim Kuźmie, nie dla tego, aby mu nie dowierzali albo nieufali, ale dla jego młodości.

— Młody, języka za zębami utrzymać nie umie.... wygada się, i... ot....

Napróżno garnka tego szukałbyś po komorze. Nie znalazłbyś go, choćbyś wszystko do góry nogami przewrócił, choćbyś po niteczce i po płateczku wszystkie graty przebrał. Żeby go odszukać, trzeba było wziąć

się do ryskła i skopać całą komorę: był on bowiem w ziemi, pod jedną z poprzecznych belek ukryty. W nim talarów było dużo, prawie do połowy; nie tyle jednakże, jak ludzie mówili, którzy utrzymywali, że mielnik bite talary czapką mierzy. A jednakże było tego dosyć. Ile?—nie wiem, bo zdaje się, że ani mielnik ani mielniczka nigdy swoich skarbów nie rachowali. Dokładali do nich, w pewnych czasu odstępach—co rok, podobno—po kilka, niekiedy po kilkanaście sztuk i oto wszystko. Resztę, przeznaczoną na bieżące wydatki, trzymali w bedni, pomiędzy bielizną.

Wewnętrzne ubranie i umeblowanie mielnikowej chaty było do najdrobniejszych szczegółów podobne do tego, jakie dziś po chatach chłopskich widzimy. Łóżka po jednej stronie z piecem, a po pod ścianami ławki, a przed jednym z odfrontowych okienek niewielkie stoły, a przy drzwiach police z naczyniem, a pod sufitem, wzdłuż ścian, ciągnęły się półki. Łóżka i ławy były to po prostu deski, ułożone na wkopanych w podłogę nogach, a podłoga była z ubitej mocno gliny. W kącie każdej izby wisiały obrazy, a obok nich ręczniki. Tak było u każdego chłopa, tak i u mielnikostwa, z tą jedynie różnicą, że u tych ostatnich ze wszystkiego przebijała się większa zamożność. Łóżka przykryte były tureckimi kilimkami i miały u wezglowia dużo poduszek i raden; obrazy były większe jak gdzieindziej, a przy nich ręczniki cieńsze i staranniej na szlakach wyszywane? na żerdkach przed łózkami więcej wisiało swit i kożuchów; na

policach z pomiędzy polewanych mis przeglądały cynowe talerze, misterne jakieś dzbanki i kufliki i parę szklanych kieliszków.

Te ostatnie— to jest kieliszki— wystąpiły na stół, jako ostateczne uwieńczenie przygotowań gospodyni do przyjęcia spodziewanych gości. Przed niemi pojawiły się na stole bochenek chleba, sól i dzbanek, ten ostatni zatkany, zamiast korka, kukurydzianym kaczanem z ziarna ogołoconym. Przymiędzy izba została na nowo wymiecioną, prochy pościerane i pozdmuchane, i gdy mielniczka pilnie rozglądawszy się do koła, znalazła wszystko w porządku i czystości, goście poczuli się schodzić.

Drzwi co chwila się otwierały i co chwila wchodził poważny jakiś siwobrody człowiek i w Boże imię pozdrawiał gospodarstwo. Mielnik i mielniczka, razem pozdrowieniem na pozdrowienie odpowiadali.

Nie upłynęło i pół godziny, zeszło się dwunastu najstarszych wiekiem gospodarzy. Liczba *dwunastu* stała się u nich ze zwyczaju legalną, a opierała się na tem, że Chrystus miał dwunastu apostołów. Mielnik był trzynastym, lecz on w tym razie, stając jako strona, nie liczył się do kompletu.

Poważnym i pięknym było to zgromadzenie. Wiała z niego starosłowiańszczyzna i staropolszczyzna, w wiekach minionych zlewające się w jedno. W starcach tych wskrzeszało i uosobiało się to żywe, ustne prawo, którym nasze praszczury niegdyś się rządzili, prawo, któ-

remu na straży ojcowie pokolenia stali, silni samą tylko siłą moralną, powagą cnoty i rozumu.

I tu, w chacie mielnika, półkolem na ławach pod ścianami, w postaci dwunastu gospodarzy, zasiadły hryneńskie cnota i rozum. Każdy gospodarz był— jak się wyrażają— *słusznym*, to jest słusznie czyli sprawiedliwie spędził żywot, i był starym, a więc doświadczenie latami nabyte dawało rękojmię rozumu. Słuszność i rozum, jak w zwierciadle, odbijały się na sędziwem obliczu każdego, i były piękne— poważne, myślące, łagodne, ojcowskie, gotowe do dobroci, a nawet pobłażania, ale w odwodzie chmurę grozy trzymające. Na poradlonych starców czołach nie było surowości; surowość ukrywała się gdzieś w głębi;— z téj głębi przez oczy i nasunione na nie brwi się przebijała,— była straszna, nieubłagana, ale posłuszna— tylko na zawołanie występowała.

Zejście się wszystkich dwunastu starców, których poimiennie wyliczać nie będziemy, było dla mielnika hasłem wytoczenia swojej sprawy. Stał on pośrodku, pokłonił się do koła i po krótkiej do »panów gromady« przemowie, tak rzecz przedstawił:

— Mam syna, którego nie będę ani chwalił, ani ganił, bo go wszyscy, *panowe hromada*, znacie... Syn mój jest najprzód mojem, potem gromady dzieckiem... Mam do niego prawa ja, ma i gromada: ja ojcowskie, gromada gromadzkie... Wasze, *panowe hromada*, są ważniejszymi od moich... Gdzie kończą się moje, tam

zaczynają się wasze... A moje kończą się nie daleko i nie zadługo... Ot...— rzekł, roztwierając ręce i w ich kierunku ukazując oczami— w tój chacie, ta na podworzu, ta z moją śmiercią, a wasze są szerokie, za człowiekiem hryneńskim patrzą wszędzie, a nietylko za nim samym, ale i za jego dziećmi, wnukami i prawnukami... Otże z tój przyczyny, udaję się do was, *panowe hromada*... Syn mój chce w świat... Odwodziłem go od tego; dałem mu ojcowskie napomnienie; on się zaklął; i mnie nie pozostało nic innego, jak żądanie jego pod wasz, panowie gromada, sąd poddać...

Skończył. Nastąpiło milczenie. Starce myśleli i jaki taki począł głową kiwać, brodę gładzić i chrząkać, jakby się zabierał do mówienia. Milczenie jednakże trwało długo, aż je przerwał wójt:

— Ono by to nie było źle, żeby Kuźma przewietrzył się na świecie, i jedno i drugie widział i słyszał...

— Kiedyż jeszcze bardzo młody...— wtrącił jeden.

— Nic to nie szkodzi, że młody...— odparł wójt.— W świecie nauka, a kiedyż się uczyć, jeżeli nie w młodości!... Jabym radził, jeżeli chce, niech z Bogiem idzie, gdyby nie to, że on jeden u mielnika... Gdyby nie u mielnika, to niechby szedł choć jeden... Ale przez jego odejście poszkodować może, cała gromada... Bo niechże, czego Boże nie dopuść, ale co nas śmiertelnych czeka, mielnik zemrze, to kto poprowadzi młyn?...

— To bo to jest!..— odezwał się głos w zgromadzeniu.

Wojt zamilkł i pytającym wzrokiem wodził do koła. Nikt mu nie odpowiadał, ale giesta i pochylenia głów okazywały słów jego potwierdzenie. Milczenie zapanowało, aż jeden ze zgromadzenia przerwał je zapytaniem, zwróconém do mielnika:

— A ty-ż kumie, czy pozwoliłeś?... on się ciebie prosił i, mówiłeś, zaklął się...

— Prosił się... nie pozwoliłem; zaklął się... pozwoliłem...— odparł mielnik.

— To nie ma o czém *howoryty*...— zauważał pytający.

Trzeba wiedzieć, że w ciągu całej narady, wzroki wszystkich zwracały się często na Semena, który był bezpośrednio w tej sprawie zainteresowanym. Rodzona jego wnuczka zaswataną była Kuźmie. To też, jak tylko Semen dowiedział się o co chodzi, na twarzy jego wyrzył się wyraz doznanej przykrości. Nie odzywał się on, słuchał i milczał, ale widać po nim było, że coś w swojej głowie ważył. Przed zamienieniem ostatnich wyrazów pomiędzy pytającym i mielnikiem począł on już chrząkać, a gdy dało się słyszeć:

— To nie ma o czém *howoryty*...

Odechrząknął mocno i rzekł:

— Bez mielnika gromada obejść się nie może, to prawda; ale czyż to nie można znaleźć takiego, co będzie miał do młyna ochotę!... O takiego nie trudno, taki się znajdzie; a nie godzi się dla młyna chłopcu świat zawięzywać...

— I to prawda...— dał się słyszeć głos.

— Niech idzie...— ciągnął Semen— niech go Pan Bóg prowadzi... Snadź jest w tém boża wola, kiedy się Kuźmie zachciało i kiedy mu ojciec pozwolił..

Bezinteresowność taka podobała się zgromadzeniu. Semen ani wspomniał o wnuczce. On z niej robił ofiarę. Zrozumieli to wszyscy i z wyrazem uznania, a zarazem wewnętrznego jakiegoś zadowolenia kiwnęli głowami.

— Niech idzie!..— powtórzył Semen dobitnie.

— Niech idzie...— odezwał się za nim jeden, drugi, dziesiąty, a nareszcie wszyscy, nie wyjmując wójta.

I znów nastąpiło milczenie, które wszyscy uważali już jako krótką przerwę, będącą wstępem do goszczenia, sprawą bowiem, zdawało się im, była już załatwioną. Wyrok zapadł a naturalnym wyroku wykonawcą był mielnik. Nic przeto nie pozostawało, tylko wypić za pomyślność Kuźmy, pogadać o tém i o owém i rozejść się.

Lecz mielnik jeszcze raz głos zabrał. Przedstawił on gromadzie to, o czém naradzał się z żoną, i pokazało się, że to było trudniejszém od głównej sprawy do rozstrzygnięcia. Radzili, radzili, sprzeczekali się, podawali projekta i wnioski, na które jedni zgadzali się, drudzy nie, i z odmętu rozmaitych zdań nie pierwój wybrnęli, aż ktoś rzucił wyrazy:

— *Raby szlachtycz...*

— Ot, on pomoże...— odezwał się któryś.

— Jeżeli nie pomoże, to przynajmniej poradzi...— dorzucił inny.

— Dobrze, że się jak raz teraz, kiedy go potrzeba, we wsi nadarzył...— dodał trzeci.

I umilkło.

— Toż, trzebaby jakoś udać się do niego...— rzekł głośno wójt.

«Jak udać się?» — stało się przedmiotem narady. Jedni chcieli iść do szlachcica wszyscy razem, — drudzy chcieli porozumieć się z nim za pośrednictwem deputacyi, złożonej najwięcej z pięciu a najmniej z trzech, — inni radzili zaprosić go do zgromadzonego grona. Ostatnie to zdanie silnej doznało opozycyi; pomimo to jednakże utrzymało się, a utrzymało właśnie z powodu opozycyi, która będąc upartą wywołała z drugiej strony upór i ten przemógł.

— Raby się nie obrazi, że go pomiędzy siebie zaprosimy:— oto główny był powód.

Jakoż rzeczywiście, szlachcic się nietylko nie obraził, ale z pewnym nawet wewnętrznym zadowoleniem przyjął wezwanie, przyniesione mu przez Kuźmę, który tak został nauczony:

— Pójdź— mówił mu wójt— do rabego szlachcica i powiedz mu tak: hryneńscy starcy zbrali się na naradę u mielnika, posyłają waszej wielmożności pokłon i proszą najuniżeniej, aby wasza wielmożność raczył przyjść do nich, bo mają go o mądre słowo zapytać...

Kuźma, który pomimo pewności, że sprawa jego dobry obrót wezmie, jak na szpilkach jednakże siedział, wyczekując rozwiązania jej w drugiej izbie, gdy go wójt wezwał, myślał, że to już koniec narady i mają ostateczny jej zakomunikować mu wypadek. Wszedł więc do świetlicy z pewnym jakimś wewnętrznym drżeniem. Z niespokojnością wysłuchał polecenia wójta i wykonał je literalnie. Od słowa do słowa, jak student, wyrecytował szlachcicowi:

— Hryneńscy starcy zebrali się na naradę u mielnika, etc.

Szlachcie wysłuchał, uśmiechnął się nieznacznie, poznawszy zapewne lekcyjny charakter przemowy Kuźmy, i nie mówiąc, udał się do mielnikowej chaty.

Przez drogę chciał mu Kuźma powiedzieć, jakim był przedmiot narady starców, chciał go uprzedzić i poprosić, aby stanął po jego stronie, ale nie śmiał. Serce mu bębniło w piersi ruchem przyśpieszonym i nie mógł zdobyć się na otworzenie ust. Lękał się, aby to co powie, zamiast naprawić, nie popsuło mu sprawy.

— E!...— myślał sobie— lepiej tak; co ma się stać, niech się stanie...

Decyzję tę, jaką bohater nasz wziął przed się, polecić można wszystkim tym, których sprawy są wątpliwe. Jest ona wyborną pod każdym względem, a szczególnie pod filozoficznym. Dla czego?— nie będę tłumaczył: niech czytelnik, z łaski swojej, sam to sobie wytłumaczy. Powiadam: że jest wyborną, jak w higienie

prezerwatywa na wszelkie choroby, od chorób nie prezerwująca, a jednakże biednych ludzi pocieszająca— i wracam do rzeczy.

Z wielkiem uszanowaniem przyjętym został nasz szlachcic przez starców. Gdy wszedł, wstali, i wójt mu poczystnego pod obrazami miejsca ustąpił, i nie zasiedli ław, aż póki on ich o to nie poprosił. W tych oznakach uszanowania nie a nie płaszczenia się niewolników przed panem nie było: był w nich hołd wyższości rozumowej okazany i nie więcej. Nie zgięły się postaci starców, ich czoła nie pochylili się ku ziemi, ich obliza nie wykrzywiły się obludnemi uśmiechy; po nich widać tylko było, że ustąpili pierwszeństwa temu, którego sami godnym pierwszeństwa uznali. Zasiedli ławy i wydało się, że, albo oni wszyscy bez wyjątku są szlachtą, albo wszyscy są chłopami. Szlachcica pomiędzy nimi znać nie było.

Milezenie najpierwszy przerwał wójt. Opowiedział o co rzecz chodzi; powiedział, że mielnik i gromada pozwolili Kuźmie iść w świat; przedstawił troskliwość ojca, lękającego się, aby jego dziecko złego, broń Boże! nie chwyciło się i zapytał, jak temu ostatniemu zaradzić.

— Bywaliśmy i my w świecie— kończył— ale wasza wielmożność zna go lepiej niż my... Bo my, co?... wyglądaliśmy i znów, jak te łasice, schowali się do dziury... A wasza wielmożność ciągle w świecie żyje, to i poradzić, tak nam wszystkim, jak ojcu chłopca mo-

że; bo w naszych Hrynenkach tak: co dla jednego, to i dla wszystkich, a co dla wszystkich, to i dla jednego... Za dobrą zatem radę, jaką waszmość dasz mielnikowi, my wszyscy będziemy wdzięczni...

Wysłuchawszy cierpliwie do samego końca wójtowego przemówienia, tak szlachcie odpowiedział:

— Poradzić mi teraz wam nie trudno, bo teraz i okoliczności po temu... Chcielibyście Kuźmę nie samego wyprawić w świat... Niech jedzie ze mną: będę mu towarzyszem i doradczą...

— Panie!...— przerwał mielnik, którego lice radością zajaśniało.— A toż mi tego tylko trzeba!... Jak wasza wielmożność weźmie go pod opiekę, to już ja będę zupełnie o niego spokojny... Co się z nim stanie, jaki los go spotka, tylko sam Bóg raczy wiedzieć; ale ja wiem, że mu na dobrej radzie i ojcowskiem napomnieniu nie zbraknie...

Niechnoby mielnik przypatrzył się tegowiecznym szarlatanom, umiejącym tak doskonale udać enotliwych i rozumnych, to z pewnością nie okazałby takiej do szlachcica ufności. To powiedziałem nawiasem. A teraz powtórzyć muszę, co szlachcie mielnikowi odpowiedział.

Szlachcie nie mu nie odpowiedział. Jakby nie słysząc słów jego, ciągnął rzecz swoją od przerwane go miejsca dalej.

— Jednego wszakże będę od was, panowie gromada, się domagał, a to: żeby Kuźma nie od samego miel-

nika, ale od całej hryneńskiej gromady w świat wystąpił...

— Jakto?...— zapytał wójt.

— Żeby Kuźma, nie od samego mielnika, ale od całej hryneńskiej gromady w świat wystąpił...— dobitnie i wyraźnie powtórzył szlachcic.

Starce spojrzeli po sobie, a wzroki ich wyrażały zapytanie z powątpiewaniem połączone.

— Tego u nas jeszcze nie bywało...— odezwał się jeden z nich.

— Ale to było przed wami...— rzekł szlachcic— a bywało tak: kiedy jeszcze ani szlachty ani chłopów nie było, a gdy Rzeczpospolita znajdowała się w potrzebie lub niebezpieczeństwie, wówczas obrońców stały jej gromady. W gromadach wyzywali się ochotnicy i one ich z chlebem, z solą, z błogosławieństwem i z zaopatrzeniem wyprawiały. Szli oni nie od Hrycia, ani od Maksyma ani od Semena, ale od całej gromady, która brała na siebie ich żony i dzieci, jeżeli mieli, ich starych ojców i niedołążne matki, która uprawiała ich grunta i doglądała im dobytku, aż do ich powrotu...

Tu zatrzymał się szlachcic, jakby dla nabrania tchu w piersi i niedopowiadając końca smutnej historii, po krótkim przestanku, zapytał swoich słuchaczy:

— Czy to było źle albo niesprawiedliwie?...

— Nie ma co mówić...— odpowiedzieli zapytani różnogłośnym chórem, powtarzając jeden za drugim— dobrze było i sprawiedliwie...

— Ponieważ przeto było to dobrze i sprawiedliwie, to, pomimo, że jak ten powiada, »jeszcze u nas tego nie bywało«, ale że było przed nami, warto to wskrzęsić, odnowić, odświeżyć w pamięci, przypomnieć ryccerstwu, z jakiego ono wyleciało gniazda i czém się ono u tego gniazda zadłużyło i jaki na niem cięży obowiązek splacenia długu...

Tego chłopci nie zrozumieli. Nie wiedzieli do czego się to ściąga. Spostrzegł się snadź szlachcic na tém, ho nie dając im przyjść do zapytań, co prędzej zagadał:

— Otóż— prawil— dziś właśnie Rzeczpospolita znajduje się w potrzebie... Zagraża jej wojna wołoska... Godzi się więc, aby Hrynenki wysłały jej od siebie obrońcę... A że się na ochotnika wyzwał Kuźma, przeto, panowie gromada, skorzystajcie z tego, wyprawcie go z chlebem i solą, pobłogosławcie i zaopatrście na drogę...

— O! czemu nie...— odezwał się Semen.

— A że on nie ma ani żony, ani dzieci, ani, Bogu dzięki, ojca swego i matki w niedołęztwie nie zostawia, przeto na gromadzie nie będzie cięży obowiązek doglądania mu gruntów i dobytku...— ciągnął szlachcic.

— A choćby i cięży!...— przerwał wójt— to gromada potrafiłaby podolać...

— Więc...— rzekł szlachcic— wyprawcie go w świat od gromady, a ja podejmuję się być mu towarzyszem i opiekunem...

— Niech idzie od gromady!..— powiedział jeden ze zgromadzenia.

— Niech idzie !..— inni chórem powtórzyli.

I nastąpiło milczenie. Starce w myśli wazyli następstwa tego »niech idzie«, a waząc je przez chwil kilka, do takiego, ustami wójta wymówionego, przyszedli wniosku:

— Ponieważ Kuźma idzie od gromady, przeto to znaczy, że gromada go, jak ojciec syna, wyprawia.. A zatem gromada złożyć się dla niego powinna na konia, zbroję i na całe opatrzenie...

— O logiko chłopska !..— szepnął sam do siebie szlachcic— jakież ty zdrowa i prosta !..— i rzekł głośno:

— A, to się samo z siebie rozumie... A wyprawcie go jak towarzysza, zbrojno i zapaśnie.... On do jednej ze mną chorągwi wstąpi...

— Kiedyż w chorągwiach sama szlachta...— zarzucił któryś— chłopci tylko na pachołków tam idą...

— Szlachta przedstawia swojemi osobami ziemstwa...— odparł szlachcic— i dla tego pod chorągwie się zaciąga... A że Hrynenki są ziemstwem, przeto przedstawiciel Hrynenek ma prawo jako towarzysz zaciągnąć się pod chorągiew...

Wykręt ten, iście adwokacki, zadowolił chłopów i uspokoił honorowe ich skrupuły, wzdrygające się przed pachołkostwem swego przedstawiciela.

Z porządku przysłała kwestya, tycząca się szczegółów wyprawy. Tę w całości rozwiązał szlachcic, z całą znajomością rzeczy wyluszczywszy gospodarzom, co i jak mają zrobić.

— Ależ to wasza wielmożność będzie musiał u nas poczekać, nim to wszystko się przysposobi...— rzekł mielnik, wszystkich szczegółów wysłuchawszy— bo na to wszystko tygodnia i dwóch mało...

— Na to wszystko będziecie mieli najmniej półtora miesiąca czasu...— odrzekł szlachcic.— Ja czekać nie będę i z wiosną powrócę.... Trzeba więc, żebym wszystko zastał gotowe, bo nie będę miał czasu do stracenia... przyjadę po Kuźmę i pojedziemy w świat..

Ten warunek, albo raczej ta modyfikacya warunków, zupełnie zadowolila starców hryneńskich.

— To dobrze...— powiedział wójt— za to dziękujemy waszmości... Teraz nam już nic innego nie pozostaje, jak przywołać Kuźmę przed gromadzkich starców...

Na te słowa zgromadzenie, które w zapale rozpraw nad różnemi kwestyami, wyszło było nieco z porządku, uporządkowało się na nowo. Starce zasiedli na ławach, a gdy usiedli, mielnik wyszedł i po chwili powrócił z synem, i obydwa stanęli przed wójtem.

Kuźma był wzruszony. Zbiór poważnych twarzy, patrzących na niego kilkadziesiątu sędziwemi oczami, sprawiał na nim ten rodzaj bojaźni z uszanowaniem połączonej, jakiej doświadczamy w obec relikwii lub świętych pamiątek.

Wójt przemówił do niego. Nie będę w całości powtarzał tej przydługiej nieco przemowy; nie mogę jednakże nie powtórzyć jej w treści, nie podnieść tego mianowicie, że w nauce swojej moralnej, jaką dał idącemu

w świat młodzieńcowi, naczelnik gromady zalecił najprzód szacunek i miłość dla rodziców, a z tego szacunku i miłości, niby z kłębka, wysnuł: obowiązki względem wsi rodzinnej, obowiązki względem ojczyzny i obowiązki względem Boga.

— Jak zapomnisz o ojcu i matce, to zapomnisz i o Hrynenkach i o Rzeczypospolitej i nakoniec o Bogu, i będziesz jak ten pies, co swoje obejście porzucił, co liże łapę każdemu, kto mu kawałek ścierwa rzuci...— tak zakończył.

Potem nastąpił traktament. Kieliszek poszedł w koło, rozpoczynając kolęj od szlachcica. Starce przepijali i przemawiali do mielnika i mielniczki, pocieszając ich i życząc ich synowi, na szerokim świecie, szczęścia, powodzenia i sławy.



III.

W kilka dni, po odbytej u mielnika naradzie, szlachcic odjechał. Odjeżdżając, zalecił on jak najusilniej, aby przez czas jego nieobecności przygotowano dla Kuźmy wszystko, tak, aby mu nic a nic nie brakło, i tak jeszcze, aby mógł w pół godziny wybrać się w drogę.

— Bo...— powiedział— gdy na wiosnę powrócę, to nie będę miał może i pół godziny czasu do zabawienia w Hrynenkach...

Dygnitarze hryneńscy odprowadzili szlachcica o całą milę za wici i serdecznie go żegnali, a pożegnawszy, stali jeszcze i długo za odjeżdżającym spoglądali, aż póki nie znikł im z oczu.

— Ot...— odezwał się jeden— gdyby to wszyscy takimi byli, jak ten Raby, to czyżby ludzie skarżyli się na nich!... Powiadają, że jedna parszywa owca całe stado

zaraża; czemuż to nie dzieje się na odwrót: jedna zdrowa owca czemu parszywego stada nie leczy?... Hej-ha!...

I westchnął a za nim westchnęli wszyscy.

Szlachcic zostawił po sobie pamiętkę i w sercach i w umysłach hryneńskich mieszkańców. Pokochali go oni, a zarazem stało się z nimi tak, jakby zstąpiła na nich jakaś jasność, rozszerzająca koło ich widzenia. Poczuli się częstką całości, członkiem wielkiego ciała, które ich żywo zajęło. Sama wyprawa Kuźmy zajęciu temu żywiołów dodawała. Zastanawiali się, rozmyślali, rozprawiali, a zastanawiań się tych, rozmyślań i rozpraw skutkiem było to, że Kuźma stał się jakby rodzonym całych Hrynenek synem. Wygrał więc na tém nasz bohater, bo wyprawa jego szła raźnie, tak pod względem pośpiechu, jakoteż pod względem dostatku.

Gdybym zechciał wszystkie narady nad wyprawą ową opisywać, to zająłbym niemi przynajmniej pół tomu, i jeszcze pytanie czybym zmieścił?... A wielce to ciekawa i nawet pouczająca rzecz. Dam jednakże naradom pokój, przez wzgląd na czytelników, których słyszę (to zapewne tak tylko ich ogadują...), nie wszystko to bawi, co ciekawe, i nie wszystko to zajmuje, co pouczające. Powiem więc tylko, że wszystkie narady odbyły się według téj normy, jaką oglądaliśmy w mielnikowój chacie, a najpięrszym owocem ich był rodzaj komitetu, złożonego z wojta, mielnika i Semena, któremu poleconém zostało zupełne zaopatrzenie naszego bohatera.

Wybranie tych trzech a nie innych, miało swoje ważne powody.

Wójt był przedstawicielem gromady w obec prawa. Słusznie więc było, aby on doglądał wysłania orężnego jej przedstawiciela, który w stosunku do prawnego był drugo-rzędny i pod pewnym względem mu podległym.

— Bo prawo...— powiadali Hrynenczanie— i nad zbrojnymi ludźmi panuje...

I brnąc w rozumowych kombinacjach, do tego dziwnego doszli wniosku: że ich wójt więcej znaczy od jakiegoś pułkownika albo i samego hetmana, a cóż dopiero od prostego towarzysza, jakim miał być Kuźma.

Mielnik był rodzonym ojcem Kuźmy. A że gromada wzięła na siebie zbiorowym sposobem ojcowstwo, przeto chciała być pod tym względem jak najlepiej wyręconą. Któż mógł ją lepiej jeżeli nie rodzony ojciec wyręczyć?...

Semen wychodził z łona opozycyi, która była cichą, ale była, jako nieunikniona konieczność we wszelakiem zbiorowem działaniu, która jednakże fatalnie się zawiodła. Mniemała ona bowiem, że Semen, rozżalonym będąc z powodu porzuconej przez Kuźmę wnuczki, będzie opornym, zapobiegnie nie jednemu wydatkowi, na niejedno nie pozwoli. Wypadło przeciwnie. Semen hojniejszym od mielnika a daleko hojniejszym od wójta się okazał.

Charakterystyka tych trzech członków— jeżeli ich tak się godzi nazwać— wyprawowego komitetu pod tym także względem zasługuje na uwagę, że każdy z nich inne na so-

bie nosił piętno, i do innej sfery towarzyskiej swoje wyobrażenia o świecie odnosił.

Wójt bywał po dworach, może w młodości swojej u jakich panów służywał, on więc z dworskiej, pałacowej, turniejowej sfery czerpał swoje pomysły.

Mielnik całe życie swoje przepędził w Hrynenkach, a za Hrynenkami tyle tylko znał miasta, co z opowiadań i z jarmarków w najbliższych miasteczkach. Kilka razy wybierał się do Braclawia, będącego podówczas wojewódzką rezydencją, lecz nigdy wybrać się nie mógł. To samo stało się z Humaniem. Mielnik przeto był surowym wieśniakiem, nie mającym najmniejszego wyobrażenia o światowych wymogach. On sam, z wyprawą nie byłby sobie dał rady.

Semen kozakował za młodu, słyszał i widział nie mało, ale słyszał pobieżnie a widział przelotnie. Najgruntowniej znał zaporoskie życie, którego warunki żadnej właśnie wyprawy nie wymagały. Znając jednakże wojnę, miał wyobrażenie o tem, co jej pomódz a co zawadzać może. Był więc w stanie dać wielkiej wartości informację.

Normą wszelako wyprawy były te informacje, które Raby szlachcic zostawił. Komitet zapamiętał je i do nich się stosował.

Zanim komitet się sformował, długo i burzliwie toczyły się rozprawy nad tem: gdzie robić wyprawę?...

Ważna to kwestya. Ważność jej rozumieją idące za mąż panny.

— Gdzie robić wyprawę?...

Jedni mówili :

— W Braclawiu...

inni :

— W Humaniu...

inni :

— W Ładyżynie, w Niemirowie, w Winnicy...

jeszcze inni :

— W Barze, w Międzyborzu i aż w Kamieńcu...

Ile głów, tyle było zdań. Aż, gdy komitet został wybranym, wszystkie zdania ześrodkowały się w trzech głowach, z których jedna— to jest wójta— była za Braclawiem, druga— Semen— za Humanem, a trzecia— mielnika— nie wiedziała, czy za Braclawiem, czy za Humanem.

— Nu! powiedz: Braclaw...— przemawiał wójt do tej ostatniej— taj niech będzie po mojemu... Pojedziemy do Braclawia; tam są krawcy, tam szewcy, tam jest płatnerz, i wszystko od razu załatwiemy...

Mielnik otwierał już usta ażeby wymówić:

— A niech będzie po waszemu: jedźmy do Braclawia...

Gdy Semen odezwał się:

— Cóż po krawcach, szewcach i płatnerzu! kiedy w Humanu wszystko, co ci dopiero robić będą, ta Bóg wie jeszcze jak! gotowe sprzedają... Można wszystkiego dostać do miary i wzrostu, i nie trzeba żadnych kłopotów ani zachodów...

Mielnik zaambarasował się.

— Jeżeli można wszystkiego dostać— rzekł z zakłopotaną miną— to lepiej jechać do Humania...

— Ale w Humaniu na gotowém oszukują...— bronił swego zdania wójt.

— A w Braclawiu oszukują na robocie...— odparł Semen.

— I to prawda i to prawda...— zauważał mielnik.

— Trzebaby nad tém pomyśleć...— rzekł wójt.

I pospuszczali wszyscy trzój głowy i poczęli miarkować.

— Nu, i cóż?...— najpierwszy wójt przerwał milczenie.

— Mnie się zdaje, że taki lepiej do Humania...— odrzekł Semen.

— A mnie się zdaje, że do Braclawia...— obstawał przy swoim wójt. — Cóż ty na to, kumie mielniku?... Powiedz albo za mną albo za Semenem, a jak ty powiesz, tak my zrobimy...

— Alboż ja wiem, jak powiedzieć...— odparł mielnik i podrapał się pałcami w głowę, z tym charakterystycznym a niepodobnym do naśladowania gestem, którym nasi chłopci zakłopotanie wyrażają.— I tak dobrze i tak dobrze, a z drugiej strony: i tak źle i tak źle...

— Cóż tu począć?...— powiedział wójt.— Ot, ze wszystkiego się pokazuje, że nie ma innej rady, tylko i tam i tam pojechać...

— Innej, zdaje się nie ma...— odpowiedział mielnik.

— Ale, gdzie pierwój?...— zagabnął wójt.

— Do Humania, do Braclawia...— padło razem dwa wyrazy, z których pierwszy wypłynął z ust Semena, drugi wójta.

— Nu, cóż ty na to?...— zapytał wójt mielnika.

— Ja?...— odpowiedział zapytany — alboż ja wiem...

— Najlepiej spuścić się na to, jaka dola padnie...— rzekł wójt po krótkim namyśle.— Weźmiemy ziarnko grochu i ziarnko fasoli... Groch niech będzie Humanem, a fasola Braclawiem... Wrzucimy je do czapki, zamieszamy, zawołamy jakie dziecko i damy mu niech wyciąga... Jeżeli wyciągnie groch, pojedziemy do Humania, a fasolę, to do Braclawia... Zgoda na to?...

— Zgoda...— odpowiedzieli chórem mielnik i Semen: mielnik jednakże pospieszniej, bo mu chodziło o rozstrzygnięcie kwestyi, którą on powinien był rozstrzygać a sumiennie nie mógł.

Jak rzekli, tak zrobili. Ciągnięcie wypadło na korzyść Humania.

Więc się wybrali. Wójt swojemi a mielnik swojemi sianiami, zaprzężonemi po parze koni. Z wójtem przysiadł się Semen, mielnik jechał z synem. Pieniądze na wyprawę, wynoszące krągłą sumę dwudziestu czerwonych złotych, znajdowały się pod pieczęcią wójta i spoczywały w skórzanej kalicie, na piersiach zawieszonęj.

Human był podówczas wielkiem miastem, nie dla tego, że rzeczywiście był wielkim, ale dla reputacyi jaką mu zrobili Zaporozce, którzy po powrocie z wojennych do Krymu, na Tureczczyznę lub do Multan wycieczek, ścia-

gali się tam na pohulanki, na przetrwonienie wojennych łupów.

Epoką takich pohulanek bywała zwykle zima, przy początku i przy końcu swoim, a to z téj przyczyny, że na początku zimy Kozacy wracali z wycieczek, a przy końcu wybierali się na takowe: w pierwszym więc i drugim razie mieli do zbycia dużo niepotrzebnych gratów — niepotrzebnych chociaż często kosztownych. Z tego powodu Żydzi, Ormianie i różni przekupnie zbiegali się do Humania w celu taniego kosztowności nabycia. Kosztowności te składały się po większej części ze strojów, uzbrojenia i rynsztunków, które Zaporozce na wino, miód, wódkę i muzyki mieniali.

Kiedy hryneńscy nasi znajomi wybrali się do Humania, była to właśnie epoka takich pohulanek, epoka tém ważniejsza, że Zaporozce wiedzieli już o gotującej się na Wołoszę wyprawie, o wojnie z charakterem legalnym, w której oni, nie cichym już, przekradanym sposobem, ale otwarcie, pod osłoną wojsk Rzeczypospolitej, napad na sąsiedzkie kraje wykonają. Takie wyprawy bardzo oni lubili, i dla tego też do téj, co nastąpić miała, z całym zapalem się sposobili.

Toż Human grał i huczał weselem. Po ulicach przeciągały co chwila kupy Zaporozców poprzedzane przez muzyki, a za nimi wlokły się tłumy miejskich gawronów wszelkiej płci, wieku i wyznania, pomiędzy którymi liczbą dominowały bachury żydowskie. Na rynku brzmiały muzyki i z wytoczonych beczek lały się strumienie trunków w ku-

fle, dzbany i szklanki, a nawet i na ziemię. Zaporozce bowiem nie tylko sami hulali: oni całe miasto i wszystkich przychodniów i przychodnie podejmowali. Wszyscy brali, brać musieli udział w ich weselu.

Human przeto był bardzo ożywionym. Do ożywienia przyczyniało się jeszcze i to, że się w nim odbywały werbunki do rozmaitych pańskich i krajowych chorągwi, a mianowicie do piechoty i dragonów, które za cudzoziemskie uchodziły wojska, w większej jednakże swojej części składały się z krajowych zaciągów. Werbownicy także, jako środek zwabienia do szeregów, używali trunków i muzyki— upajali i ciało i duszę.

Niepodobna wyrazami opisać tego, co się działo w Humanu. Za miastem do uszu słuchacza dochodziło coś nakształt jarmarkowego gwaru, coś nakształt brzęczenia pszczoł w ulu, a w mieście ogarniały go zgiełk, hałas, śpiewy okrzyki, a oko jego nie wiedziało za czém gonić, ani na czém się zatrzymać.

— Co to, tatu?...— pytał Kuźma ojca, dojeżdżając do Humania.

— Hm!...— odpowiedział mielnik— niby to jarmark, ale nie jarmark... Ot, zwyczajnie wielkie miasto...

— Toż Zaporozce się cieszą!...— rzekł Semen do wójta.— Ani ich to obchodzi, że śnieg...

Rzeczywiście, bynajmniej ich to nie obchodziło. Zima im nawet sprzyjać się zdawała, bo miarkowała wewnętrzne gorąco, jakie w nich pohulanki rozwijały.

W mieście nasz bohater wytrzeszczył oczy i do tego

stopnia się zapomniał, że gdyby sanie jego ojca nie jechały śladem za wójtowskiemi, gdyby konie same nie trzymały się śladu, to byłby i rozjechał kogo i o nie jeden węgiel zaczepił, bo i mielnik nie był przytomniejszy od syna. Nie wiedzieli oni, czy jada, czy nie jada — konie same ich wiozły, powolnym postępując stępem, a gdy się zatrzymały, to oni się na tém ani postrzegli.

Konie ich zatrzymały się dla tego, że to samo uczyniły wójtowskie, a wójtowskie uczyniły to dla tego, że przegradzili im drogę Zaporozce, wśród tłumu gawrorów i z muzyką ciągnący ulicą.

— Hej! stój!... zkąd i dokąd jedziecie i co, ba'ku, wieziecie?..— odezwały się wołania.— Jeżeli droga wasza kończy się w Humaniu i jeżeli sami siebie wieziecie, to prosimy z nami!..

— Gdzie nam starym!...— odparł wójt.

— Stary nie stary!..— przerwano mu.— I stary może tropaka uderzyć ta siwe wasy pomaczać!..

Wójt zabierał się do odpowiedzi, ale go nie słuchano. Tłum otoczył sanie i wydając okrzyki a wołania, posunął ulicą. Po chwili przed końmi otworzyła się droga i te ruszyły.

Takich spotkań, zanim Hrynenczanie nasi dostali się do rynku, było kilka. Co w którą ulicę wjechali, to ich zatrzymywano i zapraszano, ale nie zmuszano.

— *Kto naszemu ne rad, to my ze swoim nazad..*— odpowiedział jeden Zaporozec wymawiającemu się wójtowi.
— Hej ha!..— i poszedł dalej.

W rynku, jakby na powitanie, spotkała ich piosnka:

—«Prystań, prystań do werbunku,
Budesz jisty z masłom kurku,
Budesz jisty, budesz pyty,
Doubeńkamy woszi byty.»

Śpiewał ją dragon w odsłoniętym hełmie, z ogromnym różno-kolorowym pióropuszem, wielką szarfą przepasany, w ogromny pałasz uzbrojony i ogromnemi brzękający ostrogami. Stał on na czele przed całym przyrzędem werbunkowym, podparł się w boki i wabił fryców.

— Hej!... — wołał — chłopcy!... pod zbaraską chorągiew!... Toż to życie u kniazia Zbarawskiego!... Toż-to pan!... U niego czerwonych złotych, jak gwiazd na niebie... garncami dukaty a korcami talary mierzy, i dla żołnierza nie żałuje.. garściami daje... Hej! pod zbaraską chorągiew!... Książ na Wołoszyna się zbiera i łupów naprzód się zrzeka!... Hej! chłopcy-mołojcy! do dragonów!...

Hrynenczanie musieli tego wszystkiego wysłuchać, dla tego, że nie mogli przedrzeć się przez tłumy. Kuźma, jak w tęczę wpadł się w dragona.

Daléj nieco, taki sam werbunek na rzecz Cześnika Sieniawskiego, a daléj jeszcze dla kniazia Wiśniowieckiego się odbywał.

Powoli znajomi nasi rozpatrzyli się w tłumie, i znalazłszy miejsce dla bezpiecznego umieszczenia sani i koni, powrócili na rynek, gdzie obok werbunków i pohulanki szedł także i handel.

Werbownicy przejść naszemu bohaterowi nie dawali.

Jeden z nich zaszedł mu drogę.

— Parobcze-mołojeze... — rzekł do niego — a patrz-no na mnie!... Takim i ty będziesz, jeżeli na żołnierza do kniazia Konstantego (*) przystaniesz... Będziesz chodził w złotej zbroi i błyszczał jak słońce... A dziewczęta za tobą, jak za tą jasną gwiazdą, oczami będą ścięgały i pomiędzy sobą szeptały: — patrzcie-no, to dragon kniazia Konstantego.

Kuźma się uśmiechnął.

— Aha!... a widzisz!... — zawołał werbownik, dostrzegłszy uśmiechu — tobie się to podoba... bo komużby się nie podobało!... A chodź-no bliżej...

I ująwszy go za ramię, ciągnął ze sobą. Kuźma się nie opierał; i byłby może dał się zwerbować i na tém skończyłaby się jego wyprawa, gdyby przypadkiem w sam czas nie obejrzał się za nim Semen. Ten ujrzawszy go w rękach dragona, poskoczył i pochwycił za drugie ramię

— Stój!... a dokąd ty?...

— Przez! chłopie!... — krzyknął werbownik — Nie dotykaj się ręką kniaziewego dragona, bo ci ręka odpadnie!...

Semen pociągnął Kuźmę do siebie, werbownik ciągnął go do siebie. Ten ostatni przemawiał do parobka:

— Nie daj się!... chodź ze mną!... Nu!... nuże!... nie

(*) Wiśniowieckich na Rusi po imieniu nazywali. Nazwiska ich bowiem były tak popularne, że nie potrzeba ich było do imion dodawać.

ociągaj się!... Książ takich zuchów jak ty do boku swego bierze i za stół swój ich sadza...

A do Semena:

— Puszczaj, mudi! jeżeli nie masz ochoty, aby książ na pal cię posadzić kazał!

A do Kuźmy:

— Książ obstaje za swoimi... nie da im nikomu, choćby samemu Polskiemu Królowi, krzywdy robić... Chodź, chłopcze-mołojcze!... Pójdziem z Kniaziem na Wołocha, do bogatej ziemi, gdzie dziewcząt jak maku a złota jak piasku... Nie ociągaj się!...

Kuźma nie wiedział, co począć. Pogróżka, jaką werbownik zrobił Semenowi, wydała mu się prawdziwą i żal mu było Semena. Ale ten nie bał się pogróżki.

— Puść go!...— krzyknął do werbownika— puść, pawiu, w cudze pióra ustrojony!...

Werbownik na te słowa puścił, ale porwał się do szabli.

— Chłopie! ebamie! mudi!—... wrzasnął— a widział ty jak łby spadają!...

— I zamachnął się, ale nie na Semena. Do werbunkowej wystawy należał maniak, przedstawiający olbrzymią ludzką postać w tureckim stroju. Dragon z wielkim rozmachem szablą łeb tej postaci strącił. Turban spadł, i potoczył się po śniegu.

— Tak — zawołał dragon — spadają łby tym wszystkim, co ośmielają się podnieść rękę na żołnierzy kniazia Konstantego!...

Szarpanie się jego z Semenem ściągnęło ciżbę ludu. Werbownik skorzystał z tego, aby popisać się ze sztuką łbów ścinania, wzbudzić w ciżbie ciekawość i na wędkę ciekawości złapać parę takich jak Kuźma. O Kuźmę zaś samego już mu nie chodziło. Ani zważał na niego:— dał znak muzyce— muzyka zagrzmiała hucznym wtórem, a on mocnym głosem nótł tłumowi piosenkę:

—«Prystań, prystań do werbunku, etc.»

I pobrzękiwał ostrogami.

Semen uwlokł ze sobą naszego bohatera.

— Nie bądź-bo durniem...— perswadował mu.— Trzymaj się mnie albo wójta, bo ani obejrzysz się, jak ciebie złapią i zwerbują, i będzie po wszystkim...

Ja tylko stanął, aby się popatrzeć na tego żołnierza, ta na tego turczyzna...— tłumaczył się Kuźma.

—To-to jest!... popatrzeć się!...— mruczał pół do siebie pół do parobka Semen.— Im więcej nie potrzeba, tylko: popatrzeć się na nich ta posłuchać ich... Oni na to, niby pajaki, rozstawili swoje sieci, aby w nie głupie muchy łapać...

Kuźma chciał coś odpowiedzieć, ale nie miał czasu. Uwagę bowiem jego zwróciło na siebie inne widowisko, które się przed nim raptem, jak po podniesieniu kurtyny na teatrze, otworzyło.

Na rynku, półkolem, ciągnęły się drewniane budy, a w tych budach rozwieszane i rozstawione były takie rzeczy, na które, gdy je bohater nasz ujrzał, nie mógł nic innego zrobić, tylko oczy i gębę szeroko otworzyć.

Bo też w nich czegoż nie było!... To co się w bajkach opowiada, a o czém bez zdziwienia słyszeć nie można, to wszystko tam stało, leżało lub wisiało. Lutowe słońce igrało w blaskach i barwach, łamało się w ozwierciadlonych i ukryształonych powierzchniach. Oko błędziło po czémś, czego od razu nie można było rozpoznać, tak jak np. nie można się rozpoznać, gdy się z ciemności od razu na światło wyjdzie. Barwy i blaski olśniewały. Pospieszam wszakże dodać, że olśniewały one takiego Kuźmę, który nigdy niczego podobnego na wsi nie oglądał, a czemu i my dzisiaj z niemąłą przypatrywalibyśmy się ciekawością, dla nas bowiem byłoby to archeologiczną starożytnych, we większej części wschodnich ubiorów i ustrojen wystawą.

Starożytni kochali się we pstrociznie barw i w błyskotkach. Pradziadowie nasi ubierali się jak koguty, czerwono, żółto, seledynowo, pomarańczowo, w guzy, pętlice, zapinki, klamry, w kutasy, wyloty. «My Polacy—powiada żyjący na pięćdziesiąt lat przed epoką naszej powieści Łukasz Górnicki—nie mamy swego własnego ubioru; acz podobno musiał być pierwój, ale nam omierzył, jakośmy się nowinek chwycili.» W braku swego własnego, pradiadowie nasi ciągnęli na grzbiet ubiór pierwszy lepszy, byle kwiecisty lub w oczy bijący. Przebierali się, niby na maskaradę, za Włochów, Hiszpanów, Tatarów, Turków. Ostatni najwięcej jakoś przypadli im do gustu; od nich też przyjęli kontusze z wylotami, żupany i pasy, przesadzone—rozumie się, jak we wszelkiem tego rodzaju naślado-

wnictwie— pod względem przepychu i zastosowane do klimatu.

Tych to strojów tureckich wystawą były budy na humańskim rynku. Sprzedawali je Zaporozce, kupowali żydzi i odprzedawali szlachcie. Zdawało się, że krócejby było, gdyby je Zaporozce wprost szlachcie sprzedawali. To jednakże nie uchodziło: ani jedni ani drudzy nie mogli się obejść bez żydowskiego pośrednictwa, zaprawionego miodem, winem lub po prostu wódką.

Ustrojony jak pan, tak że go od szlachcica trudno było odróżnić, przychodził Zaporozec do Humania. Okrom tego co na sobie, miał on przy sobie pełno po kieszeniach pieniędzy. Zaczynał od tego, że hulał za pieniądze, które na wszystkie strony rozdawał i rozsypywał. Całemi beczkami kupował trunki, całemi kotłami jadła, najmował muzykę i przy jej odgłosie pił i jadł sam, poił i karmił wszystkich, kto mu chciał sprawy dotrzymywać. Przerwy w libacyach stanowiły przechadzki po ulicach. Zataczając się, wykrzykując i co chwila się zatrzymując, krążył Zaporozec po mieście i przychodził z kąd wyszedł, dla dopicia i dojedzenia reszty. A straciwszy wszystkie pieniądze, sprzedawał z siebie stroje, wyjąwszy koszuli i płóciennych szarawarów. Można domyślić się, za co to sprzedawał:— za psie pieniądze, byle mu wystarczyło na kąpiel.

Kiedy Semen wprowadził Kuźmę na rynek, w tej właśnie chwili kilku Zaporozców brało kąpiel.

Na środku rynku stała duża beczka napełniona dzieg-

ciem a otoczona ciżbą ludu. Przy beczce, z jednej strony była muzyka, dogrywająca ostatkami strón i smyczków, spleta i zmęczona; z drugiej strony kilku Zaporozców, do koszuli rozebranych, boso i bez czapek, siedziało na ziemi i wyglądało, jakby każdy z nich głęboko był zamyślony. Nie byli oni pijani, ale i nie zupełnie trzeźwi. Twarze ich i postaci wyrażały ten stan znużenia fizycznego, jaki po przepiciu się zwykle następuje. Oczy mieli czerwone, policzki nabrzmiałe, wąsy pozlepiane, byli obwalani i oplwani. Odbijało się im z piersi i cmokali ustami.

— Trzystaż jego... z tém pijaństwem!...—odezwał się jeden.—Ot do czego ono człowieka przyprowadza!... Przed chwilą byłem panem, a teraz jestem świnią!...

— Niby to i tak panem być nie może!...—rzekł drugi.

Ciżba odpowiedziała mu hucznym śmiechem.

— Hej, chłopcy!... czas do Siczy!...—krzyknął trzeci.—Sicz matka czeka na nas i tęskni za nami!...

— To idź, do bisowego ojca!.. — odpowiedział mu czwarty—kiedy tobie spieszno... Nam trzeba odpocząć ta wydychać się...

I westchnął: hej ha!, otworzywszy gębę szeroko.

Po tém westchnieniu nastąpiło milczenie, które kilka chwil trwało.

Ktoś z ciżby odezwał się:

— Panowie Zaporozce, kąpiel na was czeka!... wystygnie jeżeli będziecie marudzili...

— A nie skąpałbyś się ty!..—odpowiedział jeden, groźnie się nachmurzywszy i obracając głową do koła. Lecz

raptem oczy odpowiadającego padły na kilka kobiecych postaci i twarz jego złagodniała. Począł uśmiechać się i mrugać.

— A no, młodyczki!...—odezwał się— poproście i wy kozackiej kąpieli...

— E, na co nam ona!...— odparła jedna z kobiet i zachichotała.

— Jakto!.. na co!.. skąpiesz się i będziesz miała prawo z nami w świat powędrować... na swobodę i wolę...

— Kiedyż wy, panowie, bab w Siczy nie trzymacie...—zauważał jeden z ciżby.

— Koniecznie w Siczy!...— odparł jeden z Zaporozców.—Niech baby Sicz dla siebie założą, to będziemy do nich w goście przychodzili...

— One was nie przyjmą, jak wy ich nie przyjmujecie...—odezwał się kobiecy głos z tłumu, z akopaniamentem śmiechu.

— Owa!...—odparł kozak—to my na babską Sicz napadniemy i szturmem ją zdobędziemy..

I krótkimi wyrazy tak dosadnie opisał sposób, w jaki ta Sicz ma być zdobywaną, że ile było kobiet, ciekawych zaporozkiej kąpieli, wszystkie z przerażeniem i wstydem cofnęły się i w ciżbie ukryły.

Zaporozce, jakby na to tylko oczekiwali.

— Hej!...—krzyknął jeden, który mileżał dotychczas—dosyć już bałagurzyć (gawędzić)!.. Pora nam w drogę!.. Muzyka! a no!..

Muzyka z większym ozwała się przyciskiem. Jakas

nieszczęśliwa struna zaskrzypiała tak, że aż po duszy podrapała. A ten, co ostatni przemówił, przechylił się nieco na bok, oparł się rękami o ziemię, ziewnął, splunął i podniósł się powoli. Podniósłszy się, raptem się wyprostował i obejrzał do koła,—rozglądził wąsy, poprawił oseledca i krzyknął:

— I-ha!..

I oparłszy się obiema rękami o krawędź beczki, wznosił się całym ciałem, skurczył na powietrzu nogi, przesadził je przez krawędź i jednym rzutem spuścił się w beczkę. Dziegiowe bryzgi rozskoczyły się na wsze strony. Kozak zanurzył się z głową. Wynurzył się i znów w czarnym płynie zniknął. Znów się wynurzył i znów zniknął. Za trzecim dopiero razem prychnął jak koń i począł wylazić.

Jak on wyglądał nad tém nie ma potrzeby rozwodzić się. Ociekał dziegiem z włosów, z wąsów i bielizny, poczerniał jak murzyn i tylko oczami jak białozór świecił.

Za przykładem tego pierwszego poszli wszyscy inni. A gdy zakończyła się kąpiel, jeden z nich przemówił do tłumu...

— A teraz, czestni panowie humaniscy mieszczanie, bądźcie zdrowi... Byliśmy u was w gościach i żadnej wam nie wyrządziliśmy krzywdy. Pora nam do domu, do kozackiego gospodarstwa: spisą orać a krwią podlewać... Na przyszły rok, jeżeli nas matka ziemia do siebie nie przytuli, to znów was odwiedzimy... A z tém słowem, bądźcie zdrowi!..

— I-ha!..—krzyknęli inni, za wtór mówcy.

Z ciżby, niesfornym chórem odezwały się wołania:

— Bądźcie zdrowi, panowie Zaporozcy!... Niech was Bóg prowadzi!.. A na przyszły rok przybywajcie!..

Kozacy ruszyli jeden za drugim, boso, pół nago i bez czapek. Poszli prędko, bo pomimo zahartowania, przejęło ich zimno po dziegciowej kąpieli. Ciżba odprowadzała ich zrazu tłumnie, potem rzadła, nareszcie rozeszła się i oni sami wybrali się za miasto i pociągnęli ku Dnieprowi.

Takie i tym podobne widowiska zajmowały uwagę naszych Hrynenczan i odrywały ją od głównego przedmiotu, który był przyjazdu ich celem. Kąpiel zaporozka tak ich zajęła, że o wszystkiem zapomnieli i na dobitkę pogubili się. Semen tylko i Kuźma trzymali się razem, ale wójt i mielnik gdzieś się zapodzili. Po odejściu Zaporozców, poczęli się oni szukać lecz jak na złość, pojawił się im cygan z tańczącym niedźwiedziem. Zapatrzyli się więc na niedźwiedzia i znów o złączeniu się i o wyprawie zapomnieli.

Złączenie się nastąpiło dopiero wieczorem, w zajezdném domostwie, w którym konie i sanie zostawili.

— Ot!..—rzekł wójt, który przyszedł ostatni.— Co to miasto!.. tfu!... człek nie ma czasu odetchnąć, ani w głowę się podrapać... Przebiegł nam dzień jak trzaśnięcie z batoga i niceśmy nie zrobili...

I głośniej jak poprzednio splunął.

— Tfu!.. a niby to ja bywał na świecie i nie pierwszyna dla mnie widzieć, jak kozacy się kąpią, albo jak

niedźwiedź tańczy... Widziałem ja jeszcze i małpy... No!.. a taki nie można wytrzymać, żeby się nie zagawronić...

I jeszcze raz splunął.

— Tfu!... cur jemu ta pel z miastem!... Haj-haj! cóżby to się stało ze światem, gdyby sió! nie było.

Te wykrzykniki były wstępem do wyrzutów, jakie każdy ze znajomych naszych sam sobie czynił, i każdy zasłużył, wyjąwszy jednego Kuźmy, którego rola była ściśle bierną. I on jednakże nie uniknął zarzutów, chociaż nie poczuwał się do takowych. Zrobił mu je Semen w następny sposób:

— Gdyby nie ja, to wrócilibyśmy do Hrynenek z niczem, ale bez Kuźmy...

— A to jak?..—spytał wójt.

— A tak... — odparł Semen—że Kuźmę tylko co do kniazia Konstantego dragonów nie zwerbowali...

Oho!..— krzyknął wójt.

— Już go...—ciągnął Semen—werbownik za *szyjworoł* (kołnierz) ciągnął...

— I on szedł?...

— A szedł...

— A, ty durniu!...—rzekł do bohatera naszego wójt.

Kuźma czuł się niesłusznie «durniem» mianowany. Zdawało mu się, że nic zdrożnego nie popełnił, a nawet taka mu przemknęła przez głowę myśl, która go w jego własnych oczach zupełnie usprawiedliwiała. Udzielił więc jej opiekunom swoim.

— Co ja za dureń!.. — powiedział. — Gdybym był wstąpił do dragonów, to tych wszystkich zachodów i kłopotów byłoby nie potrzeba...

— Ach, ty durniu!.. — przerwał mu z mocnym na ostatnim wyrazie przyciskiem wójt. — A cóżby na to powiedziała gromada!.. a co by raby szlachcie powiedział!.. Powinieneś pamiętać o tém, żeś ty nie sam po sobie, ale gromadzki...

Mielnik wielce się zgorszył odezwaniem się syna i oglądał się już za *użewką*, (1) w celu dania mu ojcowskiego upomnienia. Semen jednakże mrugnął na niego i zrobił gest ręką i głową, oznaczający:

— Daj pokój!..

I odezwał się przez zęby:

— Młode to jeszcze, ta durne.

I dodał głośno, chcąc rozmowę na inny przedmiot skierować:

— Ależ, trzysta mu z tym z niedźwiedziem!.. jakże on tańczył a mruczał! a cygan go takim *rublem* (2) okładał, że gdyby nim wołu poczęstował, to byłoby po nim...

Manewr ten zupełnie powiódł się Semenowi. Zapomniało o Kuźmie a zajęto się niedźwiedziem i z tej treści wójt wysnuł szerokie opowiadanie o małpie, którą trzy-

(1) *Użewka* — skręcony chrust.

(2) *Rubel* — gruby drąg, do przyciskania snopów i siana na wozie.

dzieści pięć lat temu widział. Mielnik, Semen i Kuźma słuchali go z uwagą i natężeniem. Gdy skończył, oni jeszcze słuchali, jak po dźwięku owęj pieśni, którą słuchacz w duszy swojej dośpiewuje. Dość długie, jakie potem nastąpiło milczenie, mielnik przerwał uwagą:

Hm!... że też to Pan Bóg tyle dziwów na świecie natworzył!...

— Oj, natworzył... — westchnąwszy rzekł Semen— a wszystko nie nadaremno... Ot, jak ta małpa: ludzie się z niej śmieją, taj i ona służy ludziom do... śmiechu...

— Ale do czego ludzie jój służą?...—zagabnął wójt.

— Do czego?...—odparł Semen, powtarzając pytanie, jakby to powtórzenie mogło mu je objaśnić.

— A...—odpowiedział wójt — może też ona ze swojej strony z ludzi się śmieje... Bo to, powiadam wam, takie do człowieka podobne... Istny człowieczek, tylko małeńki, ta obrosły... Trochę ono podobne do psa, ale więcej do człowieka...

— A i niedzwiadź do człowieka podobny, jak na dwóch łapach stanie...—odezwał się nasz bohater.

Niedzwiadź, człowiek, pies, małpa stały się przedmiotem rozmowy, która toczyła się póty, poki znajomych naszych sen nie zmorzył. Poszli tedy spać, a kładąc się pokotem w szynkowej izbie, przypomnieli sobie o celu swego przyjazdu.

Przypomniwał im o nim szlachcic jakiś, który w towarzystwie dwóch znajomych czy sąsiadów, zabawiał się kuflem i głośno rozprawiał.

— Oho!... — krzyknął i uderzył o stół куłakiem — jakem sodalis, na to pozwolić nie można!... Gdzie to kto to widział!... wojna po wojnie!... Chcą chyba zniszczyć rycerski stan w Rzeczypospolitej, jedyną podporę miłej ojczyzny!... Cham bić się nie pójdzie!...

W tém miejscu pozwolę sobie zrobić małą jedną uwagę, tyczącą się wyrazu *miły*. Dawnemi czasy ten wyraz powszechnie był sprzęgany z wyobrażeniem o ojczyźnie. Z tego pokazuje się, że dla przodków naszych ojczyzna była tylko «miłą.»

Logika mowy ludzkiej bardzo jest ścisłą. Wyrazy oznaczają istotę rzeczy. Przymiotnik «miły» maluje stopień uczucia niższy od «kochany», a daleko niższy od «drogi.» Powszechnie przeto używanie przymiotnika «miły» znamionuje dość słabe naszych przodków do ojczyzny przywiązanie i tłómaczy owe grzeszne niedbalstwo, z jakim w najkrytyczniejszych chwilach jej sprawy prowadzonymi były. Bo była tylko «miłą» nie «drogą»; bo dla miłego przedmiotu inaczej jak dla drogiego poświęcać się można i warto.

Szlacheć tedy z humańskiej karczmy utrzymywał, że dla «miłej» ojczyzny:

— Cham bić się nie pójdzie!...

— Owa!... czemu nie pójdzie!... — odezwał się Semen z pod świty, którą się był okrył.

Szlacheć skipiał na to odezwanie się. Targnął garścią wasy, głośno odchrząknął, splunął, wychylił dusz-

kiem resztki z cynowego kufła, uderzył nim o stół i zawołał:

— Kto to ciebie, mizerny chłopie, nauczył herbowym odpowiadać?...

— Ten sam, co herbowych nauczył głupstwa gadać..— była odpowiedź Semena, odpowiedź krótka, zwięzła a stanowcza, jak ciśnienie rękawicy pod nogi przy wyzwaniu na pojedynek.

Szlachciec porwał się z za stoła, porwali się i dwaj jego towarzysze. Byliby wzięli się do kordów, lecz sprawa była z chłopami. Więc narobili tylko krzyku:

— Chamy!... mudzie!... na pale z nimi!... na szubienicę!...

Skończyło się na tem:

— Żydzie! wyrzuć precz te *hadiuki!* (gadziny).

Wójt pospieszył z interwencją.

— O co się waszmoście gniewacie!... Ten chłop, to stary Zaporoziec, który bijał się za Rzeczpospolitą... On się o siebie upomniał, i tyle.... Tu nie ma o co się gniewać...

Szlachtę ta interwencya zmiętygowała, ale bynajmniej nie wpłynęła na zaprzestanie krzyków i pogroźek. Interwencya żydowska była skuteczniejszą. Ta wystąpiła w kształcie propozycyi, na dnie której czysty zysk wypadł dla arendarza. Żyd wniósł, aby chłopci garniec miodu wielmożnym panom postawili. Chłopi przyjęli ten wniosek; garniec miodu wystąpił na stół, szlachcice uspokoili się i usiedli, a znajomi nasi położyli się pokotem i okryli

się świtami i każdy z nich z osobna, nim zasnął, nad tem począł rozmyślać, aby nie stracić napróżno jutrzejszego dnia.

Sen skraca czas. Oczekując na coś, najlepiej jest spać. Jest to ogólna recepta, którą przepisać można wszystkim, chorującym na oczekiwanie. Śpijcie, panowie i panie, a doczekacie się wszystkiego, czego pragniecie, czego z utęsknieniem wyglądacie. Ot, Hrynenczanie nasi spali i doczekali się dnia, który był dla nich upragnionym: w dniu tym bowiem postanowili poprawić się z gawroństwa, jakiego w upłynionym się dopuścili.

I poprawili się?— a poprawili. Wstali przed świtem, a o świcie byli już na rynku,— widzieli, jak żydzi otwierali jedną po drugiej budy i najpiérwsi zprezentowali się im jako kupcy.

Na kupiectwie swoim nie najlepiejby byli wyszli, żydzi z pewnością nie chcieliby z nimi gadać, gdyby nie wójt, który wyglądał z waszecia. Pomimo to jednakże przekupnie przyjęli ich z niechęcią, z góry i z pewną wzgardą na nich spoglądając.

Semen dotknął się palcem zwierzchniej jakiejś sukni, tureckim krojem z granatowego sukna uszytej.

— Ny!... nie tykaj!...— krzyknęła żydówka, siedząca na dziurawym stołku, pod którym stała makutra z żarem i trzymająca w ręku garnuszek, który żar w sobie zawierał. — Czy ty to kupisz, czy co!...

— Alboż to ja nie godzien kupić?... — odrzucił jój Semen.

— *Herste!* — rzekła żydówka — to nie ochapięń, to pański ubiór...

Semen nie jój nie odpowiedział, ale przywołał wójta.

— A patrzcie-no! ot to może się zda!...

Wójt obejrzał suknię.

— Hm!... może... — mruknął dō siebie i obejrzawszy jeszcze raz, przemówił do kupcowej:

— Pani kupcowa, a ile za ten chałat?...

— Coż napróżno słowa tracić... — odpowiedziała mu żydówka — niby to ty kupisz!

— Kupię, nie kupię, ale potargować mogę... — odparł wójt.

— I! co to gadać... — mruknęła niechętnie żydówka.

— Nu, ale przecie?... — nacierał wójt.

— Dziesięć czerwonych złotych... — rzekła kupcowa.

Wójt ręce opuścił i spojrzał z ukosa kolejno na Semen na i mielnika. Spojrzenie to miało oznaczać:

— Dziesięć czerwonych złotych, to połowa summy, jaką mamy do rozporządzenia, a chałat jest zaledwie dziesiątą częścią tego co mamy kupować...

— Zrozumieli to Semen i mielnik, skrzywili się, jakby co gorzkiego przełknęli, a wójt znów przemówił do żydówki:

— Trzy czerwone złote...

Kupcowa nie raczyła mu na to odpowiedzieć, tylko, kiedy mielnik dotknął się palcem chałata, wrzasnęła gniewnie:

— Nie tykaj! powalasz!... a jak powalasz, a ty z ro-

du tyle pieniędzy nie widział, ile za to musiałbyś zapłacić!...

— Cur jęj!...— powiedział sobie mielnik pod nosem i odstąpił od baby.

— Cóż będzie?...— zapytał Semen.

— A cóż!...— odparł wójt — ja mówił, że lepiej jechać do Braclawia...

Semen został tém skonfundowany.

— Probujmy jeszcze...— rzekł.

I poszli probować, ale im się lepiej nie powiodło. Żaden przekupień nie chciał wierzyć aby oni byli kupcami, i albo nie im nie odpowiadał, albo jeżeli odpowiadał, to poczwórnie cenił. Schodzili wszystkie budy, przemawiali do każdego kupca i do każdej kupcowej i w końcu nie nie wskórali. Ranek na niczém im zeszedł, południe się zbliżało, rynek począł się napełniać, muzyki się odzywały i powoli miasto wchodziło na tryb wczorajszy.

— Cóż będzie?...— zapytał wówczas wójt.

Semen i mielnik ścisnęli ramionami.

Raptem, jakby myśl jakaś jasna natchnęła Semenę, albo jakby przypomniał co sobie, klasnął w palce i zawołał:

— Poczekajcie!... Idźcie do karczmy i nigdzie się nie rozchodźcie... ja was tam znajdę...

Nie było co innego robić, jak uczepić się téj ostatniój deski zbawienia, która objawiła się przez usta Semenę. Wątpił wójt, aby co z tego było, wątpił i mielnik, ale cóż było lepszego począć. Poszli więc, pousiadali w szyn-

kowej izbie za stołem, milezeli i dumali, a dumanie ich t \acute{e} m si \acute{e} manifestowało, że od czasu do czasu to jeden to drugi pokiwał głową.

Kuźma tylko nie kiwał, dla tego zapewne, że jak \acute{e} smy powiedzieli, rola jego była bierną, i dla tego jeszcze, o cz \acute{e} m nie mówiliśmy, że bohater nasz czuł do Semena pewną ufność. Ufności t \acute{e} j podstawą było w cz \acute{e} ści to, że stary był dziadem Jerynki, ale szczeg \acute{o} lnie to, że chodził po świecie, był Zaporozcem.

— Taki on co \acute{s} wydłubie...— myślał sobie Kuźma i nie kiwał głową.

— Trzeba b \acute{e} dzie jechać do Braclawia...— odezwał si \acute{e} w \acute{o} jt.

— A trzeba...— zawtórował mu mielnik.

— Ale i w Braclawiu z dwudziestoma czerwonych złotych nie si \acute{e} nie zrobi...— po chwili odezwał si \acute{e} w \acute{o} jt znowu...

— A nic...— znowu mu mielnik zawtórował.

— Hm!... to bieda... to co \acute{z} z tego b \acute{e} dzie?...

— Nic...— odparł mielnik— ze wszystkiego si \acute{e} pokazuje, że Kuźmie trzeba siedzieć w domu...

Kuźma zmieszał si \acute{e} na te słowa. Zrobiło mu si \acute{e} tak, jakby go kto ukropem sparzył. Na razie nie mu nie odpowiedział, ale ochł \acute{o} nawszy, rzekł spokojnie:

— Taż bez kłopotów i zachodów, można b \acute{a} dź do dragonów wstąpić, b \acute{a} dź z Zaporozcami na Sicz powędrować... I jedno dobre i drugie dobre...

— Jedno drugiemu nie równe...— odrzekł w \acute{o} jt— po-

między Zaporozcem a dragonem taka różnica, jak pomiędzy tym, co biedny ale sam sobie panem, a tym co w złocie i aksamitach chodzi, ale drugiemu służy... Lepiejby było, żeby jeżeli masz sam iść, szedł do Sieczy, ale jeszcze lepiej żebyś poszedł od Hryneńskiej gromady...

I dodał, pomysławszy przez chwilę:

— Jakos to gromada temu zaradzi...

A potem dodał jeszcze:

— Ale coś nasz Semen długo bawi...

— Może... choźdmy na miasto, to się z nim spotkamy...— odezwał się Kuźma.

— Spotkamy się z werbownikami, z Zaporozcami i z niedźwiedziem...— odparł wójt— ale z Semenem to chyba przypadkiem...

W istocie rzeczy, bohaterowi naszemu bardzo o werbowników, Zaporozców i niedźwiedzi chodziło, na których się chciał pogawronić, i nie w innym celu wyjście na miasto zaproponował.

Nauczony jednakże wczorajszem doświadczeniem wójt, wręcz propozycję jego odrzucił. I dobrze zrobił. W parę bowiem godzin po południu, zjawił się Semen, ale nie sam. Przyprowadził ze sobą kilku hulających Zaporozców a z nimi muzykę i całą towarzyszącą im ciżbę, która zatrzymała się przed karczmą.

Zaporozce z Semenem weszli do szynkowej izby. Każdy Kozak ubrany był paradnie i bogato.

— A gdzie ten *paren*, którego trzeba od stóp do głowy po pańsku ubrać?...— zapytał głośno jeden z nich.

— A ot on...— odparł Semen, ukazując palcem naszego bohatera.

— Kuźma powstał.

— He! niczego chłopiec!...— rzekł Zaporoziec, zmierzyszy go wzrokiem z góry na dół. —Zdałby się nam.... Ale, kiedy koniecznie trzeba żeby był panem, to niechże nim będzie...

Powiedziawszy to, zdjął z siebie zwierzchnie odzienie, przykrojone na wzór kontusza z wylotami, ciemno wiszniowego koloru, i dając go Kuźmie, rzekł:

— Na tobie, na pamiątkę!...

— Na tobie!...— rzekł drugi, obdarzając Kuźmę jedwabnym żupanem, popielatego koloru.

Trzeci usiadł na ziemi, zrzucił z siebie aksamitne hajdawery i podał je Kuźmie, powtarzając:

— Na tobie!...

Czwarty tym samym sposobem dał mu pas i kołpak, piąty buty i turecką na jedwabnej taśmie szablę, szósty coś innego, siódmy jeszcze coś innego, ósmy jakiś półszubek i w momencie uekwipowanie naszego bohatera zostało zupełnie skompletowaném.

Wójt dziękował Zaporozcom.

— Nie ma za co...— odrzekł jeden z nich od niechcenia.— Miał psia-wiara Żyd za półdarmo zabrać, to lepiej dać swemu za darmo...

— To przynajmniej potraktujemy was, panowie... — podchwycił wójt.

— To co innego!...— odparł Zaporoziec.— Wypijemy

za to, żeby ten młojec zdrów znosił kozackie podarki...
Hej! arendarz!... wódki!

— Może miodu?...— zapytał mielnik.

— I!... wybieraj się z miodem do biesa!...— zawołał Kozak.— To trunek tych, co w puchach zwykli sypiać... Naszemu bratu trzeba czegoś takiego, coby go po gardle zadrapało i w kiszki zapiekło...

Przyniósł Żyd wódki. Zaporozce napili się, przymawiając do Kuźmy— i poszli hulać. Naprózno Hrynenczanie zatrzymywali ich, chcąc im wyraźniej podziękować. Oni podziękowań nie słuchali, o wyrażność takowych nie dbali, za wódkę nawet sami zapłacili.

Temu ostatniemu usiłował mielnik całemi zapobiedz siłami.

— Panowie!... tak nie godzi się!...— wołał.

— Kozakowi wszystko się godzi!...— odparł mu jeden z Zaporozców.— Na diabła mu pieniądze!... Talarów ze sobą do grobu nie zabierze, a nawet i pogrzebu opłacać nie potrzebuje... Zapłacą za niego chmury niebieskie, ta wiatry stepowe...

I krzyknął:

— I! ha!...

Wymachnął w powietrzu ręką, czapkę na bakier przechylił i poszedł, a z nim towarzysze, muzyka i ciźba.

Do szynku, do uszu zdumionych Hrynenczan, dolatywały okrzyki:

— I-ha!...

Wójt i mielnik spoglądali na zrzucone na kupę bogate

stroje i z podziwu wyjść nie mogli. Kuźma spoglądał na nie także zdziwiony. Semen uśmiechał się.

— Na co wam to?...— zapytał arendarz z za szynkwasu.

E! zda się...— odpowiedział mu Semen.

— Na co, zda się!...— ciągnął żyd— w to się ubierać nie będziecie...— czerwone złote piechotę nie chodzą...

— A co dasz?...— zagabnął Semen z półdrwiącą miną.

— Ny!... co?...— odparł żyd, zbliżając się i oglądając.
— Co warte... Krzywdy wam nie będzie...

— Ale, przecież, co?...

— Trzy dukaty...

— E!...— rzekł Semen.

— Cztery...— powiedział żyd po chwili milczenia.

— Mało...

— Nu, to pięć i mohorycz, ale więcej ani grosza... Tyleby żaden kupiec w sklepie nie postąpił.. Ale ja, dla znajomości, daję więcej jak warto...

I klął żyd duszę i ciało, przysięgał się na zbawienie własne i na szczęście dzieci swoich, że więcej nie warto, i że w pierwszym lepszym sklepie możnaby wszystkich tych łachmanów za tańsze nabyć pieniądze.

— To dziwo!...— odrzekł mu w końcu Semen.— My szukaliśmy, bylibyśmy drożej zapłacili i nie mogliśmy dostać....

Ta odpowiedź dała żydowi do poznania, że napróżno wdał się w targ.

— Na cóż wam to się zdało?..,— zapytał.

— I!... zdało się...— odparł mu Semen.

Rozmowa z żydem wyprowadziła powoli ze zdziwienia wójta i mielnika, ale pierwój wójta.

— Jakim to się stało sposobem?... — było pierwsze jego słowo.

— A, jakim!...— odpowiedział z tryumfującą miną Semen.— A co? nie moja prawda, że trzeba było do Humania jechać!...

Prawda!...— wymówili razem wójt i mielnik.

— Opowiedziałem mołojcom z Zaporozża o co chodzi i zapytałem ich, czy nie mieliby czego z siebie na sprzedaż... A oni mi na to: — sprzedamy, bratku, ale po chrześcijańsku, za jedno «dziękuję»... Ot i sprzedali.

— Na!... hm!...— zauważał wójt.

Jeszcze przez chwilę dziwili się nasi znajomi;— potem złożyli suknie i związali je pasem na krzyż, dla tego, że ani serwety, ani prześcieradła, ani tłómoka nie posiadali, a potem, przyszło im na myśl:

— To jeszcze nie wszystko...

— Czegoż tu brakuje?...— zagabnął mielnik.

— A zbroja!...— odparł mu wójt.— Ho-ho! za tém to jeszcze pochodzimy...

— I, nie bardzo!...— podchwycił Semen.— U mnie na strychu przechowują się z dawniejszych— tu westchnął— czasów niektóre części uzbrojenia... Pordzewiało to, ale można odczyścić... Więc trzeba tylko dokupić, czego tam zabraknie...

— No, to ty kumie najlepiej wiesz o tém...— wójt mu na to powiedział.

— Brakuje tam... ciągnął Semen powoli, przypominając sobie i na palcach rachując — koncerz, kopia, naramiennik, smycz i podobno obuszek; ale, zdaje mi się, że obuszek jest: dobrze tego nie pamiętam... Wiem że był, ale zdaje się ktoś mi go zabrał, czy też ja sam gdzieś go zaniósłem... Nie pamiętam...

Kopia, smycz i obuszek znalazły się w sklepach humaniskich i zostały kupionemi. Koncerzów było parę, ale zbyt poszczerbionych i pogiętych. Naramiennika nie znalazło się ani jednego. Po te dwa artykuły potrzeba było jechać do Braclawia. Wójt chciał z tego wyższość Braclawia nad Humaniem wyprowadzić, ale Semen zamknął mu gębę przypomnieniem o Zaporozcach.

Na trzeci dzień, przed świtem, opuścili nasi znajomi Human. W Hrynenkach wyglądano ich z utęsknieniem i niepokojem, chociaż nie wszyscy z jednakowem. Utęsknienie to i niepokój stopniowały się. Największemi były Jerynczyne, potem następowały matczyne, potem gromadzkie.

Dziwném się może komu wyda, że kochanka szła przed matką. Nie ma w tém jednakże nic dziwnego: nie oznacza to bowiem, że uczucie kochanki mocniejszém było od matczynego, a tylko że było żywszém. Mielniczka miała to na myśli, że Kuźma nie na zawsze wyjechał; Jerynka zaś o tém nie myślała. Chwilowe to pierwsze rozstanie się było najpierwszą dla jej serca próbą, najpierwszém doświadczeniem, najpierwszém trzydniowem niepatrzeniem

w twarz i oczy tego, za kim świata nie widziała. Mielniczka płakała i mówiła:

— Wróci...

Jerynka płakała i mówiła:

— Co to będzie, jak mój złoty świat na zawsze odjedzie...

Pierwsza trzymała się myślami w pobliżu teraźniejszej chwili, druga przenosiła się w przyszłość! na tej rachunek z góry tęskniła. Dla tego tęsknota jej była na razie większą, pokażniejszą (że tak się wyrażę), ale — w przyszłości?...

Nad przyszłością zastanawiać się nie będę. Zostawię to na później, kiedy przyszłość teraźniejszością się stanie. Teraz zrobię tę tylko ogólną uwagę, że po jak najdłuższem rozstaniu, zawsze syn matkę matką zastaje, a kochanek kochankę kochanką nie zawsze.

Gromada wyglądała powrotu swego komitetu, bo oczekiwała na sprawozdanie.

— Ciekawa rzecz, jak się oni tam sprawią?... — było ogólne zapytanie, na które jedni odpowiadali:

— O! z pewnością dobrze...

Drudzy wątpili, a inni pewnymi byli, że najgorzej.

Zdania się dzieliły i chodziło o to:

— Kto ma rację?...

To zapytanie niezmiernie ważną w społeczeństwie ludzkim gra rolę. Pół biedy, jeżeli można na nie dodatnim jakimś a wyraźnym, a dotykającym odpowiedzią faktem. Lecz biada, jeżeli na ten fakt nasuwa się chociażby naj-

lżejszy a najprzezroczystszy cień wątpliwości. Przezroczystość nie nie pomaga: — dość że jest cień, aby racya była zachwianą, a jeżeli do utrzymania jęj braknie sił lub sposobów, aby była z gruntu podkopaną i wywróconą. Ileż to krwi przelała ludzkość o to tylko:

—Kto ma racyą!?...

Więc i bryneńskiej gromadzie bardzo o tę racyę chodziło i z jęj powodu niecierpliwie wyglądała powrotu wójta, Semena i mielnika.

Powrócili nareszcie.

Przyjęto ich według tego jak na nich czekano.

Mielniczce i Jerynce chodziło tylko o to, aby powrócili i o nie więcej; Semena żonie, zięciowi i czarnobrewęj Handzi także tylko o to; ci więc powitali ich z bezwzględną radością.

W gromadzie zaś, ci co byli pewni dobrego z ich strony wywiązania się z poruczenia, uradowali się, nie tyle niemi, ile sobą, mieli bowiem fakta do poparcia swojej racyi;— wąpiący nawrócili się a niewierzący zrazu się zmartwili, ale powoli wyszukali złe strony i cieszyli się, że mogą, jak dwa razy dwa, dowieść, że wójt, Semen i mielnik, najgorzej się sprawili.

Jedni powiadali:

— To cóż z tego że pieniędzy nie wydali!... Lepiej było wydać, a kupić co innego... Darowanemu koniowi w zęby nie zaglądata, to też dostały się im takie rzeczy, które są do nieczego.

Drudzy twierdzili:

— Gromadzie nie przystoi darowizny przyjmować... To piękna będzie sława, jeżeli ludzie się dowiedzą, że przedstawiciel Hrynenek w darowanym stroju na świat wystąpił!... A mało było pieniędzy, to bylibyśmy się złożyli jeszcze i kupili...

Trzeci utrzymywali:

— Wszystko to diabli wiedzą na co!... Zachciało się mielnikowemu parobkowi w świat: niech z Bogiem idzie... Świat szeroki!... Alboż to mało parobków poszło i wyszło na ludzi, i nie trzeba było ani tych wypraw, ani tych narad, ani zachodów... *Wstaw, pidperezawsia, to zo wsim zabrawsia*, a całego kłopotu było tyle, że mu ojciec dał krzyżyk na drogę a matka zapłakała...

Przyjaznych jednakże była ogromna większość i ci w każdym razie przemagali. Oni stanowczo pochwalili i sprawunki i sposób nabycia takowych i zdecydowali, że dla uzupełnienia wyprawy potrzeba jechać do Braclawia.

W Braclawiu rzecz prędko się załatwiła. Znajdował się tam jeden tylko płatnerz i u tego wszystko się skończyło. On podjął się nie tylko braki uzupełnić, ale odczyszczyć, odpolerować i zreparować te części uzbrojenia, które rdzewiały u Semena na strychu. Ukuł koncerz, dorobił naramienniki i wszystko to w niespełna miesiąc uskutecznił, tak, że po miesiącu bohater nasz był od stóp do głowy ubrany i uzbrojony, i nie mu nie brakło, ani nawet konia, który był domorosły, ale pewny — młody, zdrow, silny i gorący.

Kuzma, po kilka razy na dzień ubierał się w całą swo-

ją wyprawę i rozbierał się z niej. Mielnik z początku chciał się za to gniewać, myśląc, że syn jego dziecił się. Lecz Semen wyperswadował mu:

— Daj kumie pokój, niech się chłopiec nacieszy... A przytém potrzeba żeby się wprawił, bo gdyby mu odrazu przyszło ubrać się i uzbroić, to nie wiedziałby co, jak i gdzie włożyć... Mógłby nogawice wdziać na głowę... a to byłby wstyd... Niech się ubiera i rozbiera...

Stary często pomagał parobkowi i sam go zachęcał.

— Osiodłaj-no konia, uzbrój się i wsiądź...

Kuzma siodłał, uzbrajał się i wsiadał. Zrazu szło mu to niezgrabnie, lecz po kilkakrotnej próbie, z łatwością w pełnem uzbrojeniu wskakiwał na siodło, brał kopię w garść i gonił. Semen nim kierował:

— Na prawo!... na lewo!... w koło!... stępem!... kłusem!... w czwał!...

I opowiadał mu, jak w jakim znaleźć się ma zdarzeniu.

— Gdy— powiadał naprzykład— będzie na ciebie wróg gonił, to ty nigdy nie czekaj na niego w miejscu, ale konia ostrogami pociśnij, ciałem ku grzywie się pochyl, kopię mocno w garść ujmij, pod ramię ją przyciśnij i na-przód nastaw i rzuć się jak piorun... a staraj się pod żebra grotem uderzyć, ażebyś przeciwnika z siodła wyrzucił; a jeżeliby ci się nie udało, albo gdyby się kopia złamała, to wal w łeb obuchem albo tnij szablą, a uważaj, żebyś jęj daremnie na pancerzu nie szczybił...

Nieraz bohater nasz po Hrynenkach się przejeżdżał i

wówczas, wyjąwszy starych i statecznych gospodarzy, cała wieś występowała i za nim chodziła. Dziewczęta oczy sobie zrywały i nie jedna żałowała, że nie na nią to wypadła dola rozstawać się z Kuźmą. I zazdrościły Jerynce po cichu, a głośno ją pocieszały:

— Jaka ty, Jerynko serce, szczęśliwa, że cię taki zaswatał mołojec... Toż ty nie smuć się ale cieszyć się powinna... On na wojnie nie zginie, bo gdzież jemu zginąć pod takim żelazem! a do ciebie powróci, i powróci wielkim panem i ty z nim będziesz panią... Nie smuć się!... szczęśliwa ci dola padła, taka, jak tej dziewczynie w bajce, co za królewicza idzie...

Jerynki to jednakże nie pocieszało. Ona sobie tak myślała:

— Wolałabym ja żeby mój Kuźma nie był panem i na takiego nie wyglądał mołojca... Byłby moim i niktby mi go nie zazdrościł... A to, kto wie! jaka wielka pani, albo jaka księżniczka a może i królowna, których na świecie pełno, zapatrzy się na niego i pozazdrości jego serca mnie, biednej dziewczynie... Gdzież mnie z paniami, księżniczkami i królowkami się równać!... Oj, biednaż moja główko!..

I cicho łzy roniła i była taka smutna, że aż na nią i babka i matka się gniewały.

Ona od rodzonej babki i matki do mielniczki uciekała i na jej łonie smutek wylewała. Dwie te kobiety porozumiały się z sobą. To znak dobrze w sercu dziewczyny rojukący. To znak, że w jej kochanczyniej miłości było coś, co ją do jednego mianownika z matczyną sprowadzało.

Kuźma mało, a powiedziawszy szczerą prawdę, bardzo mało na to uważał. On bo tak był zajęty!...

Miłość jest także zajęciem. Dwa więc zajęcia spotkały się z sobą: stara miłość i nowe rwanie się w świat. Stara nowemu ustąpiła: to bardzo naturalne. Takim trybem wszystko idzie na świecie. Pospieszam jednakże dodać, że przez to usprawiedliwianie niezważania na kochanki smutek nie myślę bynajmniej pisać apologii niewierności. Co innego bowiem jest niezważanie, a co innego niewierność. Pierwsze może być tylko chwilowem, jest zapomnieniem się, a drugie występkiem.

Tak, występkiem, rozumni moi czytelnicy i piękne czytelniczki, pomiędzy którymi (nie chcę wam ubliżyć, a muszę prawdę powiedzieć) znajdują się tacy i takie, którzy i które traktują miłość *en bagatelle*. Ja innego pod tym względem jestem zdania. Mniemam, że miłość jest bardzo poważną w społeczeństwie potęgą, potęgą na wskrós moralną, ale nie mniej przeto rzeczywistą, czysto ludzką i bardzo czystą. Źródłem jej matczyne łono. Z niego ono wypływa i towarzyszy człowiekowi przez całe życie. Człowiek jej potrzebuje jak powietrza do oddychania, potrzebuje zespolić się uczuciem, aby miał prawo być istotnym społeczeństwa ludzkiej członkiem, aby miał prawo być człowiekiem. Kto nie kochał, ten nim jeszcze nie jest, a kto z miłości żarty robi, ten człowiekiem nigdy nie będzie. Zostanie albo zwierzęciem, albo maszyną, to jest, albo krwią ducha w sobie zaleje, albo też zatopi się w jakiejś specjalności, która go w formułę zamieni.

Widzicie więc, że bynajmniej nie jestem usposobiony potakiwać niewierności, jeżeliby takowa bądź ze strony bohatera naszego, bądź ze strony jego kochanki nastąpiła. Usprawiedliwiam zaś zapomnienie się, bo proszę się tylko na miejscu Kuźmy postawić. Miał dwadzieścia lat i wybierał się w świat i na samym początku drogi swojej spotkał się z koniem, zbroją i strojem. Któżby się nie zapomniał!...

W miarę jednakże, jak zbliżała się chwila rozstania, to jest, jak coraz większa summa dni i tygodni od chwili wyjazdu Rabego szlachcica się zbierała, robiło się mu jakoś frasobliwie i markotno. Nieraz, po przepędzonym na harcach i gonitwach dniu, usiadł obok matki albo kochanki i zadumał się. Te kładły mu w ucho pieśzcotliwe wyrazy miłości i te wyrazy przenikały mu do piersi i tam, w sercu, niby nabrzmiwały.

— Jaby nie jechał, gdybym miał nie wrócić...— odezwał się raz raptem do Jerynki.

— O, wróć, mój luby...— odpowiedziało dziewczę.

— Jaby nie jechał...— powtórzył Kuźma dobitnie— ale, ty słyszałaś, co Raby mówił... Powtórzyć tego nie umiem... Zdaje mi się jednakże, że gdybym nie jechał, to ludzie mieliby prawo w oczy mi plwać...

Jerynka zadrżała i przytuliła się do kochanka.

— Jedź...— szepnęła po cichu— ale wracaj... Ach!... ależ mi czegoś straszno...

— Czego?...— zapytał Kuźma.

— Wszyscy mi winszują... Dziewczęta powiadają, że-

bym się nie bała, bo ty w żelazie bezpieczny... A mnie to żelazo straszy... Ty w nim taki zimny, taki inny... Ty może nie zginiesz, dla ludzi, ale... dla mnie!... Jabyłam chciała ludziom ciebie wykraść i bez tego żelaza i bez tych aksamitów zabrać dla siebie, dla samej i jednej siebie...

Kuźma ją uścisnął. Łza mu się za powieką nawinęła, kręciła się, kręciła i — wyschła.

— Ale ja nie mam prawa ludziom ciebie odbierać... — ciągnęło dziewczę, bo ja jedna, a ludzi tyle... Ich więcej, toż mi im ciebie ustąpić potrzeba... Idź między nich...

Tu jej w myśli panie, księżniczki i królowny stanęły; zająknęła się więc i dodała:

— I, jeżeli możesz, nie zapominaj o mnie...

I łzy jej strumieniem z ocz popłynęły.

Łzy, a szczególnie kochanki, magnetyczny wywierają wpływ. I Kuźma się rozplakał. Pierwszy raz przewidział to osamotnienie w dalekich stronach, gdzie człowiek przy sobie nikogo nie ma ze swoich, nikogo do zlania się w jedno myślą, wyobrażeniami i uczuciem. I mówił do Jerynki:

— Nie płacz...

A sam płakał.

I tulił się do niej, jakby u niej szukać chciał siły, której mu zbrakło w chwili rozczulenia.

I znalazł, czego szukał.

Jerynka pierwsza przestała płakać. Obtarła łzy i wzięła głowę kochanka w dłonie, długo mu w twarz patrzyła i powiedziała:

— Kuźmo, ja tobie, mój luby, nie chcę w świecie zawadzać... Pamiętaj o mnie, póki będziesz mógł, a jak nie będziesz mógł, to... zapomnij...

— Dla czego ty to mówisz?...— gniewnie Kuźma zapytał.

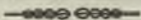
— Dla czego?...— odparło dziewczę. — Dla tego, żeby tobie nie zawadzać; dla tego, że jak ty pójdziesz, pójdziesz i pójdziesz, i będziesz miał gdzieś zajść koniecznie, a to będzie gdzie daleko, bardzo daleko, abys nie wrócił się dla mnie, niedoszedłszy... Bo gdybyś ty się wrócił, to miałbyś do mnie żal, a jabym nie chciała, żebyś żałował tego, żeś mnie pokochał...

To «pójdziesz», to «zajść» i to «bardzo daleko» pchnęło wyobraźnię Kuźmy gdzieś naprzód, ale— gdzie?— on sam o tem nie wiedział. Uspokoił się i rozmarzył. Odpowiedział on Jerynce:

— O! ja do ciebie, a może po ciebie, wrócę chociażbym jak najdalej zaszedł...

Ale odpowiedział bez myśli. Rzucił wyrazy na wiatr, jak powiadają, i począł, niby pajak, snuć fantazyjną tkanekę, którą nakrył cały świat. Świat, jak mucha, brzęczał w jego pajęczynie, a on go z daleka okiem magnetyzował.

— Ty, świecie mój!...—odzywało się w głębi jego myśli. Bodaj-to młodość!...



IV.

Przyszła wiosna i ustroiła Hrynenki w te wszystkie cuda, jakie natura z pod śniegu wyprowadza. Boże słońko przygrzało. Śniegi popłynęły wodą, lody pękły, hryneńska grobla została zerwaną. Zaledwie ludzie groblę naprawili, zazieleniało na polach i zakwitło w ogrodach, a powietrze napelniło się kwiatną wonią, świegotem ptastwa i brzęczeniem owadów. Ziemia uśmiechała się do nieba, a niebo na nią łagodnie, jak dobry opiekun, spoglądało.

O, wiosno na Ukrainie!— śliczna, boska wiosno!... nie mogę przenieść na siebie, abym twojém nie zachwycił się wspomnieniem... Schodź cały świat, nigdzie takiej wiosny nie znajdziesz. Nie jest ona narkotyczną, jak południowa, ani gwałtowną, jak północna; ale tak łagodnie pachnąca, tak harmonijnie śpiewna, że zdaje się, ani pachnie, ani śpiewa, a pomimo to czuć w powietrzu olbrzymi hymn przyrody, rzucony na cześć Tego, co świat stworzył— rzu-

cony po cichu i jakoś powiewnie, promieniejący tonami z ziemi ku niebu. Tony rozlewają się po obszarach i rozbite na miliardowe cząstki, spływają zgodnie a razem w jedną, wielką, orkiestrzaną całość, na którą składają się zarówno—i rosnąca trawka, i rozwijający się listek, i wiszące w powietrzu muszki, i pełzający gad, i podlatujący ptaszek, i krążący na podniebiu orzeł i od najmniejszego do największego czworonożne, i człowiek, i wszystko. Wsłuchać się tylko trzeba w ten hymn, a łatwo harmonii jego dosłuchać się. Wsłuchać się tylko trzeba, a każda trawka, każde ziółko ozwie się wtórem słowikom, skowronkom, komarom, muchom, żabom, strumykom, rzekom, lasom, wiatrowi i tym stworzeniom co człowiekowi służą i samemu człowiekowi.

Z wiosną Hrynenczanie wzięli się do roboty. Wyruszyły w pole pługi a z pługami, wyjąwszy dziadów, wszyscy gospodarze i parobcy. Kobiety w ogrodach rozpoczęły roboty. Wszystko pracowało. Jeden tylko nasz bohater próżnował.

Kuźmie było markotno. Ojciec jego przyjął najmita i tego posyłał w pole. Dawniej była to Kuźmy funkcyja.

— E! zbiorę się ja i pójdę...— pomyślał raz sobie.

Jakoż, pewnego doświtku, zajrzał go mielnik wyruszającego z pługiem.

— A to dokąd?... zawołał na niego.

— Przykrzy się mi tatu... — odparł Kuźma.— Niech choć jaką, jedną drugą zorzę gonę (*)...

(*) Gona, właściwie *hona*— zagon.

— A jeżeli Raby dziś przyjedzie?...

Na te słowa Kuźmie ręce opadły, ustąpił miejsca najmitowi a sam powrócił do chaty. Żeby jednakże zupełnie nie próżnować, co mu się śmiertelnym wydawało grzechem, brał ryskał i dopomagał to matce, to Semenowym kobietom. Przy jego pomocy, mielnika i Semena ogrody tak były urządzone, jak nigdy. Grządki pod sznur a na grządkach ziemia w drobne a równe rozsypywała się grudeczki. A tam gdzie Jerynka kwiatki uprawiała, było najlepiej i najporządniej, jak w tych ogródkach, które dla wielkich pań uczeni urządzają ogrodnicy.

Kopiąc w ogrodach, ciągle bohater nasz spoglądał na drogę, którą miał szlachcic przyjechać.

Minął marzec, kwiecień już dobiegał do połowy, szlachcica jak nie było, tak nie było.

Może nie przyjedzie... — powiadała to matka, to Jerynka, ciesząc się w duchu, ale uciechy tej nie okazując Kuźmie, który się szczerze smucił.

— Przyjechać, przyjedzie... — mówił on sobie w myśli — tylko kto wie, kiedy...

Raz przyszło mu na myśl:

— A nuż, jeżeli mu co przeszkadza!... jeżeli np. zachorował i przyjechać nie może!...

I zgryzł się.

— Czemu nie powiedział, gdzie go mam szukać!... Byłbym go odszukał, choćby na końcu świata. Byłbym się do niego dopytał..

Gryzł się i martwił. O szlacheciu nie słyhać nie było.

W połowie kwietnia, ktoś przejeżdżał przez Hrynenki i pytał się o Kuźmę i kazał mu się kłaniać. Kto to jednakże był?— o tém trudno było wiedzieć: rozmawiał bowiem z dziećmi, które na wygonie, przy drodze w hyłki się bawiły. Nikt ze starszych go nie widział. Może przeto przesłyszało się dzieciom. Może on się pytał o drogę do jakiej wsi, której nazwa podobną była do brzmienia wyrazu Kuźma. Dzieci jednakże twierdziły i przysięgały się, że pytał o Kuźmę.

— Jakże pytał, jakimi słowami?...— wybadywał je nasz bohater.

— Ot, takimi słowami: — odpowiadały dzieci — «chłopczy, a znacie wy parobka Kuźmę?...»

— A więcej?...

— A więcej...— mówiły dzieci — pytał się: «czy zdrów?»

— Cożście mu odpowiedzieli?...— badał Kuźma.

— Powiedzieliśmy: że zdrów i że go znamy...

— Cóż dalej mówił ten podróżny?...

— Mówił: «pokłońcież się mu.»

— A dalej?...

— Dalej nic... wziął taj pojechał...

— Jakże on wyglądał?...

— Siedział na koniu...

— A jak był ubrany?... po chłopsku, czy po szlachecku?...

— Ba, nie tak jak szlacheć... Miał na sobie czuchaj.

Więcej nic nie można było z dzieci wydobyć, a oprócz

nich zagadkowego podróznego nikt ze starszych nie widział. Może to jaki ze znajomych, z której z sąsiednich wsi parobków, przejeżdżał przez Hrynenki i pytał o Kuźmę.

W kilka dni później pokazało się w Hrynenkach dwóch jezdców. Siedzieli sami na dobrych koniach, a jeszcze lepsze obok prowadzili i wyglądali na szlacheckich pacholków. Konie były posiadłane i lekko, nie jak na podróż ale jak na wojnę, objuczone. Pacholki byli uzbrojeni.

Tych widziało wiele w Hrynenkach ludzi. Nie zatrzymując się, przejechali oni przez wieś, przez groblę i za groblą nawrócili do mielnikowej chaty. Ludzie na nich patrzyli, a Kuźma, który w tej właśnie chwili był w Semena ogrodzie, ścigał ich oczyma. Gdy ujrzał ich nawracających:

— Oho!...—zawołał—to po mnie!...

I rzuciwszy ryskał, skoczył wprost przez płot.

Jerynka zbladła, jak chusta.

Puścił się Kuźma pędem ku domowi, lecz raptem—stanął. Jezdecy bowiem nie wjechali na podwórze, a tylko wykręciwszy się pod ogrodowym płotem pociągnęli dalej. Nasz więc bohater powstał, popatrzył i wrócił.

— To nie po mnie...—rzekł do Jerynki, której lica uśmiechem się opromieniły.

Było to jednakże wprawdzie nie wprost po niego, ale jego się tyczyło. Jezdecy, podjechawszy pod ogród, zajrzeli na ogrodzie mielnickę i jeden z nich zawołał na nią:

— Hej! ciotko!... a czy to mielnikowa chata?

— To!...—odpowiedziała im kobieta.

— Powiedzieć panu Kuźmie, aby był gotów na jutro, a może nawet jeszcze i na dziś!...

Mielnicze poczerwniało najprzód a potem pożółkło w oczach i poczęły jęć przed wzrokiem snuć się jakieś światełka czy świeczki, i nie wiedziała co się z jeźdźcami stało. W uszach dzwoniło jęć ciągle:—«na jutro, a może nawet jeszcze i na dziś.» Stała przez czas jakiś, jakby w ślup zamieniona, zapomniała się i zwolna poczęła do siebie przychodzić.

— To już mój sokolik pojedzie...

I westchnęła.

— Trzebaż mu o tém powiedzieć... On nic nie wie...

I jak stała, tak poszła do Semenowej chaty. Nie spieszyła się, bo jęć się zdawało, że zawsze jeszcze zanadto wczesnie uwiadomi syna. Zaszła więc pierwěj do młyna, dla uwiadomienia mielnika, na którym wiadomość ta silne zrobiła wrażenie. Nic stary nie rzekł, ale cała postać jego i wyraz oblicza wyrażały:

— Stało się!...

Pokiwał głową i

— Trzeba dać znać Kuźmie...—powiedział.

— A co! a nie mówiłem ja, że to po mnie!...—zawołał Kuźma, gdy matka powtórzyła mu wyrazy jeźdźcy.

Jerynka wypatrzyła się na mielniczkę jak na złej wieści zwiastuna, a bohater nasz w skok ruszył ku domowi i w przeciągu półgodziny był już zupełnie gotów do po-

droży. Konia osiodłał i objuczył, zbroję wdział na siebie i czekał jak żołnierz na hasło do wymarszu. Czekał na przyźbie, na której rzędem siedzieli: mielnik, Semen, mielniczka, Semenycha, czernobrewa Handzia, Jerynka i nasz bohater.

Siedzieli aż do chwili, w której gospodynie ogień na wieczerzę rozpalają. Siedzieli i milczeli, a każde z osobna przypatrywało się, azali nie ujrzy wyglądanego gościa na drodze, i przysłuchiwało się, azali o uszy nie obije się tentent konia. Na drodze pokazywało się to to, to owo, lecz nie Raby szlachcic, a o uszy obijał się ciągle monotony szum wody na łotokach.

— I! to może się kumie tak tylko przesłyszało...— odezwał się Semen.

— Ale gdzież!... przesłyszało się!...— tłumaczyła się mielniczka—widziałam i słyszałam wyraźnie:—«na jutro, a może nawet jeszcze i na dziś»...

— Cóż to byli za jedni?...

— A Bóg ich wie!... Jak spytali o Kuźmę, to ja na pół zamarła... Ciemno mi się w oczach zrobiło i nie przypatrywałam się...

— Hm!...— zauważał Semen—to może oni nie to mówili, co nam kuma powtórzyła...

Mielniczka nie odpowiadała, bo już i sama poczęła powątpiewać o sobie.

— Stał mi ciągle na dumce Kuźma...—myślała sobie—kto wie!... może, gdy ci przemówili, to mnie się wydało, że o nim...

Nie wypowiedała jednakże tego głośno, dla tego, żeby drugich w błąd nie wprowadzić, i nie stać się przyczyną jakiegoś nieporozumienia.

Lecz pora rozpalania ogniów przyszła i gospodynie nie mogły dłużej czekać. Czarnobrewa Handzia najpierwsza się wyniosła, a za nią wstała mielniczka, a za tą Semenycha. Jedna Jerynka ruszyć się nie mogła. Ją jakby coś przykuło do przyzby. Siedziała przy Kuźmie i liczyła ostatnie chwile. Nie zawołała jej ani matka, ani babka, a ona ani domyśliła się, że i jej wypadałoby się oddalić.

Semen i mielnik zostali i zawiązali ze sobą gospodarską rozmowę.

Miejsca na przyźbie opróżnione przez kobiety, zaczęli powoli zajmować schodzący się jeden po drugim słusniejsi gospodarze, do których doszła wieść, jakoby zapowiedzianem zostało przybycie Rabego. Przyszedł wójt i cała prawie hryneńska starszyzna.

— Zeszliśmy się, niby na poradę...—odezwał się jeden z nich.—A tu może rozejdziemy się z niczém...

— Grzechu w tém żadnego nie ma...—odparł wójt—że posiedziemy u mielnika i pobałakamy o tém i o owém...

I bałakali.

Wieczerzało. Wracające z pola bydło nappełniło wieś kurzem i rykiem. Psy oszczekiwały zagrody. Żaby momentniej po bagnach skrzeczały. Młyn żywiej tarkotał. Dymy gęstym, białawym obłokiem rozesały się po nad stawem. Tu i owdzie szumiały żarna. A hryneńscy starcy

bałakali i ani spostrzegli się, jak Hrynenki spowił zmrok i na niebie zamigwały gwiazdy, a o Raby m szlachcicu na wieki wieków zapomnieli.

— *Pomahaj Bih*, panowie gospodarze!...—raptem a niespodzianie odezwało się tuż przed nimi.

— Raby!...—krzyknęli wszyscy jednym głosem i razem powstawszy, odpowiedzieli niezgodnym chórem:

— Daj Boże zdrowia...

I otoczyli szlachcica wiankiem, a on ich witał i pozdrawiał i z każdym z osobna kilka słów wymienił.

Sędziwi starcy młodzieńczym cieszyli się sposobem. Śmieli się i po kilku na raz mówili, a witali szlachcica niby rodzzonego a z utęsknieniem wyglądanego brata.

— No, przybyłem tedy, jak diabeł po duszę, po waszego Kuźmę...—rzekł szlachcic, zakończywszy powitania.

— O! takiemu diabłu nie żał duszę zapisać...—odpowiedział mu jeden z dziadów.

— Gdzież Kuźma?...—zapytał oglądając się.

— A, o!...—odparł wójt, ukazując palcem na stojącego nieco opodal bohatera naszego.

Szlachcic spojrział na niego i nie poznał. I nie dziw. Bo też temu, co Kuźmy od paru miesięcy nie widział, trudno go było poznać, szczególnie utopionego w wieczornym pomroku. Któżby wiejskiego, chodzącego niegdyś w czuhainie i postołach parobka poznać mógł w hełmie i pancerzu?...

— A chodźmo bliżej, niech się tobie przypatrzę...—rzekł do niego szlachcic.

Kuźma postąpił kilka kroków.

Szlachciec obejrzał go od stóp do głowy. Wprawne jego oko, pomimo wieczornego zmroku, rozeznało całą wartość uzbrojenia.

— Dobrze... — rzekł — dzielnie wygląda... A konia masz?..

— O, jest wszystko, niczego nie braknie...—odpowiedział za Kuźmę wojt.

— Więc jutro, czut²-swit, w drogę!...

— A teraz...—dodał, zwracając mowę do starców— trzeba jeszcze, żebyście panowie gromada, opatrzyli go w dokument, waszemi podpisami i gromadzką pieczęcią stwierdzony, a świadczący, jako Kuźma jest z waszjej wsi rodem, jako jest chłopcem i jako gromada wyprawia go od siebie...

Starcy spojrzeli po sobie wzrokami, które wyrażały zapytania.

— Ależ bo to tego, ani dziś, ani jutro zrobić nie można...—odparł wojt.—Trzebaby się pierwej poradzić, a potem spisać, podpisać... o!... to roboty na jakich trzy dni przynajmniej...

— Nie na tak długo...—podchwycił szlachciec—dziś poradziecie się, oto zaraz... a ja posłużę wam za pisarza... W parę godzin wszystko może być załatwionem... Pisarina nie zabierze i ćwierć-godziny... Ot, siadajcie i radźcie się.... Ja pójdę do pani matki, pokłonić się jēj i posilić się u niej po podróży...

Odszedł do chaty a za nim Kuźma, a za nimi, jak cień, cicho, bosemi nóżkami, przesunęła się Jerynka.

Starcy pozostali sami.

Narada ta zachwyliła ich niespodzianie: spadła na nich niby z nieba. To im bardzo w niesmak poszło, a jeszcze bardziej ten pisany dokument, na którym trzeba było podpisać się. Chłopi nasi od dawien dawna nie lubili podpisów, w których podejrzewali coś czartowskim pachnącego cyrografem.

Zamiast więc naradzać się, ścisnęli się w kółko, milczeli i we łby się drapali. Musieli oni jednakże coś myśleć, a myśli ich nanizanemi być musiały na jedną sympatyczną nitkę, bo od razu, jednogłośnie się zgodzili, gdy jeden z nich zaproponował:

— Ot, na co to pisać i podpisywać... lepiej poprosić Rabego, niech nas zwolni z dokumentu...

Zaprosili więc szlacheica do swego grona, a wójt był tłumaczem wstępu hryneńskich starców do pisania.

Szlacheic im na to:

— Czy uważacie za złe, to coście dla Kuźmy zrobili?...

— Nie...—odpowiedzieli zgodnie.

— Czybyście słowami nie opowiedzieli tego, gdyby kto was o to pytał?..

— Czemu, nie!..—odpowiedzieli znowu.

— Otóż, chodzi o to, aby te słowa spisać na papierze, żeby ten, coby was się nie mógł o nie pytać, mógł je przeczytać...

I tłómaczył im powoli, wyraźnie a cierpliwie, znaczenie ustnej a pisanj mowy.

— Słowo, wiatr...—mówił—wymówisz je i przepadło, jeden na nie nie zważa, drugi zapomni... A gdy je na papierze spiszecie, to się rozejdzie po świecie i po was zostanie..... Dowiedzą się o niem ludzie i za Hrynenkami, dowiedzą się i wasze prawnuki.. A gdyby kto Kuźmę spytał:—«zkađ ty? co ty za jeden?..»—«Ot odpowie, macie, czytajcie, świadectwo mojej gromady... Ja sroce z pod ogona nie wypadł... Mam za sobą hryneńskich starców... Ja ich się nie wstydzę, oni mnie się nie wstydzą...

Chyba może, panowie gromada, wstydzicie się Kuźmy?....—zapytał po chwili, widząc, że przemowa jego i tłómaczenie jakos na pół tylko trafiły do przekonania starców.

Tém zapytaniem skonwinkował ich. Chórem odparli:

— Ale gdzież-tam!..... A któżby się go wstydził!...

— To już chybaby napisać... — odezwał się jeden z nich.

I jeden po drugim, powoli a z rozwagą, głosowali za napisaniem.

— Ale, niechże już wasza wielmożność będzie nam pisarzem...—rzekł wójt, kłaniając się.

W pół godziny później, dokument był już napisany. Szlachcie miał z sobą wszystkie potrzebne do tego narzędzia, miał nawet świecę woskową do zastąpienia kaganka. Zasiadł i — snadź treść z góry miał obmyślaną—je-

dnym ciągiem napisał, a napisawszy przeczytał, głośno, powoli i wyraźnie.

— «Wszem w obec i każdemu z osobna, komu wiedzieć o tem należy, wiadomem czynimy, że Kuźma, mielnika syn, rodem z Hrynenek, pracowitego pochodzenia, za wolą i kosztem hryneńskiej gromady wyprawionym jest, aby zbrojno i wiernie służył znajdującej się obecnie w potrzebie Rzeczypospolitej. Wyżej wymieniony Kuźma, wychodzi w świat z błogosławieństwem gromady, aby za powrotem swoim zasłużył na dank tejże gromady, która go usynawia, która, jeźliby—czego Boże! niedopusć—okaleczał, lub uległ jakiemu zagrażającemu mu nędzą w podsztych latach nieszczęściu, podejmujemy się ratować go, przez dostarczenie mu możności i środków do ucziwjej pracy, a jeźliby—od czego Boże! go uchowaj—pracować nie mógł, obowiązuje się dbać o niego, nie biorąc jednakże na siebie obowiązków dbania względem jego dorosłych dzieci, ani względem dalszego, wzwyż rzeczzonego Kuźmy, potomstwa, jeźliby go Bóg takowem pobłogosławił. Nadto, gdyby rodzice jego zaniemogli, w takim razie gromada wsi Hrynenki, obowiązuje się nieść im pomoc wspólnemi siłami, a to w tym celu, aby tenże Kuźma, za powrotem swoim, zastał spadek, który mu się po najdluższém—co daj Boże!—rodziców jego życiu słusznie należy, w całym i kwitnącym stanie, to jest, aby znalazł gospodarstwo swoje na takim stopniu, jakby przez czas nieobecności swojej sam gospodarował. Gromada nie będzie ścieśniała ani nadwerężała woli ojca Kuźmy, będąc

przekonaną, że ojciec jest najlepszym własnego syna przyjacielem, a tylko będzie w pogotowiu czekała, kiedy tenże zawezwie jej pomocy. Słowem, jak ojciec syna, tak gromada wsi Hrynenki przyjmie na łono swoje powracającego Kuźmę, i to tém życzliwiej, im służba jego Rzeczypospolitej będzie zaszczytniejszą. Jednakże taż gromada zastrzega sobie, że nie będzie się do żadnych względem Kuźmy poczuwała obowiązków, gdyby on jako zbieg z pola bitwy powrócił. Dan w Hrynenkach, dnia kwietnia 25, roku zbawienia 1600.» — Następują podpisy, a z boku duża woskowa pieczęć, z napisem: *Pieczęć gromadzka wsi Hrynenki*. Wiele podpisów oznaczonych było krzyżykami, przy których nazwiska napisał wójt.

Sporządzenie aktu tego, o ile niespodzianem o tyle ważnem było dla hryneńskich starców. Po załatwieniu tej sprawy, każdy z nich odetchnął z głębi piersi, jak gdyby olbrzymi jaki zrzucił z siebie ciężar. Ale też tak oni, jak bohater nasz, jego ojciec, matka i kochanka, przejętemi zostali nawskroś jakimś uroczystem a poważnem uczuciem, które im wyprawę Kuźmy nie jako prosty wyjazd młodego człowieka w świat, lecz jako publiczną, zbiorową ofiarę przedstawiło.

W akcie tym, jak czytelnik to sam zauważy, nie ma nic poszczególnionego. Składa się on z samych ogólników, nie wchodzących w poimienne i drobiazgowo wyliczanie zobowiązań się. Jest to jego wada; ale z drugiej strony, jest może zaletą, a to z tego powodu, że nie mógł on posłużyć jako podstawa do pieniactwa. Na mocy do-

Dokumentu tego nie mógł Kuźma wytoczyć gromadzie procesu przed sądowniemi kratami, tylko przed samą hryneńską gromadą, której pozostawioną była możność rozstrzygnąć sprawę, na podstawie własnej, dobrej a niczém nie przymuszanej woli, czyli: na mocy dokumentu tego nie był w stanie nasz bohater wznieść się po nad gromadę, stanąć w obec niej w charakterze *jurisdatora*; gromada nad nim była zawsze górą. Gdyby chciał się z niej wyłączyć, to nie wracać mu było do Hrynenek.

— El... to teraz chyba rozejść się nam po chatach...
— rzekł wójt—bo już tam pewno baby gniewają się, czekając z wieczermi... Jutro zajrzemy jeszcze do mielnika, aby przeżegnać waszój wielmożności i Kuźmy drogę... A teraz... dobranoc...

Starcy się rozeszli.

Wkrótce po ich odejściu Hrynenki ogarnął sen. Położył się i zasnął szlachcic, zasnęli chociaż nie od razu, jak zwykle, mielnik i mielniczka, pospali się wszyscy; cicha, wiosenna, wonna noc mrugała z nieba gwiazdami, przed którymi tu i owdzie przesuwały się powoli białawe, faliste obłoczki, i pełną garścią na spracowanych dziennem życiem siała sen. Po pałacach, po zamkach, po dworach byli tacy, co nie spali; ale w Hrynenkach pałacu, zamku ani dworu nie było. A jednakże i w Hrynenkach byli tacy, co nawet snu nie szukali.

Było ich dwoje. Domyślny czytelnik—pewny tego jestem—w tych dwojga od razu rozpoznał Kuźmę i Jerynkę.

Dziś jeszcze na sobie, pomimo że dawno już minęło

mi dwadzieścia lat, doświadczam tego, że gdy mam na-
zajutrz w interesującą mnie puścić się podróż, to osta-
tnia przed ową podróżą noc przechodzi mi bezsenne. Te-
go samego doświadczył i Kuźma, z tym dodatkiem, że ta
noc zawierała w sobie wszystkie ostatnie chwile, które
mógł z kochanką spędzić. Dodatek ten był dla niego wa-
żnym i w tym momencie stawał się głównym; dla Jeryn-
ki zaś był on głównym a więc i ważnym.

Ani Kuźma przeto ani Jerynka nawet się nie kładli.
Usiedli jedno obok drugiego na przyzbie i przesiedzieli do
rana. Mało ze sobą a wciąż prawie monosylabami tylko
mówili.

Mało mówili, bo o czemże mówić było?... Od dzie-
ciństwa się znali, od dzieciństwa się kochali i od dzie-
ciństwa o tém wiedzieli, nie potrzebując nawet wyznawać
sobie kochania. Ich miłość była, jak rodzinna, naturalna
i niewymuszona, niezaimprovizowana i wielka.

Była chwila, tej ostatniej nocy, w której Kuźmie wy-
dało się, że powinien Jerynce wierność zaprzysiądz.

— Cyt!...—szepnęło dziewczę, przerywając mu rozpo-
czętą przysięgę.—Cyt, nie przysięgaj... Ja ciebie niczém,
niczém wiązać nie chcę... Kto wie co ciebie czeka... Mo-
że nie będziesz mógł dotrzymać i tylko daremnie duszę
grzechem obciążysz...

— Ależ, ja chcę, żebyś ty była mnie pewną...—rzekł
Kuźma.

— O! czyż nie jestem ciebie pewną!... — przerwał

dziewcze.—Gdybym ciebie nie była pewną, tobym z tobą taką nie była...

I tuliła się do niego, i pieściła się z nim,— a było to jej trudno, bo Kuźmę okrywało żelazo i tylko głowa, z której zdjął hełm, była swobodną. Więc Jerynka obejmowała jego głowę, brała ją w dłonie, głaskała ją przyciskała do piersi, kładła sobie na kolanach, całowała w usta, w oczy, w czoło w skronie.

— Czyż ciebie nie jestem pewną!... — powtarzała, i dobierała co najpięszczośliwszych wyrazów, do nazywania go niemi:

— Milenki mój... łubeńki... serdeńko... hołubczyku... sokoliku i t. p.

Kilka razy zakręciły się dziewczynie łzy w oczach, lecz je zawsze potrafiła powstrzymać.

Tak im przeszła noc.

Nim jutrznia zapłomieniła się na niebie Hrynenki były już na nogach, a nim słońce zeszło, nie było już w Hrynenkach ani szlacheica ani Kuźmy.

Wójt jak wiemy, zapowiedział z wieczora, że przyjdą starcy na pożegnanie. A tymczasem cała zeszła się gromada, cała, jak na pogrzeb.

«Jak na pogrzeb» powiadam, bo gdyby kto zobaczył był tłum ludzi na mielnika podwórzu i usłyszał głośne płacze kobiet, wtórujące jęczącemu zawodzeniu mielniczki, byłby tego przekonania, że z chaty wynieść mają domowinę, a w tej domowinie trup ukochanej przez wieś a drogiej mielnicze osoby. Do zupełnego złudzenia brako-

wało tylko cerkiewnych chorągwi. Zamiast chorągwi wznosiły się wśród tłumu dwa hełmy, które razem podniosły się wysoko a z nimi dwie rycerskie w pełnym uzbrojeniu postacie. Tłum je ścisnął i zrazu trudno było rozemnieć, jaka je siła podniosła. Lecz postacie się ruszyły, i wówczas dały się widzieć konie. Tłum się rozstał. Rycerze wyjechali przez bramę. Tłum szedł za nimi, odprowadził ich za wieś, na wzgórze. Oni często się obracali i pożegnania skinieniem ręki posyłali. Zbroje ich świeciły, promieniami jutrzni oblane. Konie szły wolnym stępem. Gromada stała na wzgórzu i nie pierwój się rozeszła, aż rycerze zniknęli w porannym tumanie. Z całej gromady pozostały tylko dwie osoby, dwie kobiety—matka i kochanka naszego bohatera, które długo, długo jeszcze ławami oczami kogoś w tumanie szukały, i długo myślą ścięgały podróźnych, którym my będziemy towarzyzyć—nie krok w krok wprawdzie, tak jednakże aby ich z uwagi nie spuszczać.

Podróżni nasi jechali przez czas jakiś mileząc jeden obok drugiego. Przez ten czas Kuźma walczył z żalem. Łzów swoich nie zmieszał on z łzami matki i kochanki; nie zapłakał, kiedy ojcu jego zwilgotniały powieki i wyrazy błogosławieństwa, któremi syna żegnał, więzły w gardle; nie zapłakał, kiedy wszystkie prawie hryneńskie kobiety głośno łkały a mężczyźni rękawami oczy obcierali; nie opanował go żal, aż gdy osamotniał, gdy bez rodziców, kochanki, krewnych, przyjaciół, znajomych i rówieśników, ujrzał się na tej drodze, która go już wprost

w świat prowadziła. Obejrzał się kilka razy:— Hrynenek widać nie było. Piers mu się ścisnęła i łyzy gwałtem do powiek się tłoczyły. On je wstrzymał, bo się wstydził: wstydził się i rycerskiego świadka i rycerskiej zbroi.

Przyłbicę miał podniesioną, chciał ją spuścić, aby pod jej osłoną puścić żalowi wodze, lecz pomyślał:

— Raby domyśli się...

Mocował się sam z sobą.

Nakoniec—nie wytrzymał. Powściągnął konia, przyzostał się o kilka kroków i rzewnie zapłakał.

Szlachcic nie zważał, czy udawał, że na to nie zważa. Właśnie w chwili, kiedy łyzy, niby dwa wezbrane potoki, lunęły po policzkach Kuźmy i po pancerzu się potoczyły, on się głośno przeżegnał i na głos począł odmawiać modlitwę po łacinie.

Kuźma szczerze płakał. Kilkakrotnie ustawał i znów rozpoczynał. Przez cały ten czas szlachcic ani na chwilę nie zawiesił modlitwy, którą ciągle od początku powtarzał, zmieniając języki łaciński i polski. Modlił się po łacinie, a gdy skończył, to samo po polsku odmawiał, a gdy nie mówił to śpiewał różne kantyczkowe pieśni. Widać, że w tém stosować się on musiał do Kuźmy, bo gdy ten utulił się w żalu, natychmiast zaczepił go rozmową:

— Wiesz dokąd jedziemy?...

— Nie wiem... — odparł nasz bohater — wasza wielmożność nie mówił mi...

— Nie nazywaj mnie «wasza wielmożność...» — podchwycił szlachcic — mów do mnie i do każdego: «wasz-

mość» albo: panie.... Ja do ciebie będę przemawiał «waszmość.»

Po chwili milczenia, znów zapytał:

— Wiesz waszmość dokąd jedziemy?

Przycisk, z jakim wymówił «waszmość» wywołał lekki uśmiech na usta Kuźmy.

— Nie wiem...— odrzekł.

Chciał dodać «waszmość», ale jakoś nie wiedział, jak go do «nie wiem» przykleić.

— Do Kamieńca...— rzekł szlachec, i zapytał?...

— Jak się nazywasz?...

— Kuźma...— odpowiedział bohater nasz zdziwiony zapytaniem.

— A więcej?...

To drugie zapytanie jeszcze mocniej Kuźmę zdziwiło. Bynajmniej nie był na nie przygotowanym i nie spodziewał się ani przewidywał, aby go kiedy w życiu spotkać mogło. Odpowiedział więc:

— Jakto:— więcej?...

— Jakie masz przezwisko?... jak ciebie ludzie po ojcu przezywają?...

— Przezywają mnie: mielnika syn, *taj hodi*...— odpowiedział Kuźma.

— A twego ojca?...

— Mielnik...

— Więcej ni jak?

-- Ni jak...

— Hm!...— mruknął szlachec— trzeba jednakże, że-

byś się waszmość nazywał... Bez nazwiska nie można... Jakżeby waszmości nazwać?...

Pomilezał i pomyślał i po chwili rzekł:

— Nazywaj się waszmość, Jeż, od mego herbu... Niech będzie Jeż herbu Jeż... Czy zgoda?...

— Zgoda...— wymówił uśmiechnąwszy się Kuźma.

— Nie masz waszeć nic przeciwko temu?...

— Nic...

— A więc tedy, panie Kuźmo Jeżu, trzeba żebyś waszmość o tém wiedział, że jedziemy do Kamieńca, gdzie zaciągniemy się do poczty Jana Potockiego, Starosty Kamienieckiego, waszmość i ja, jako pancerni towarzysze.... Trzeba żebyś o tém wiedział i pamiętał, że wszyscy towarzysze są sobie równi, a więc i waszmość, panie Jeż, będziesz wszystkim równy... Nad towarzyszami są namiestnicy i rotmistrze. Tym należy się szacunek i posłuszeństwo, o ile ściąga się tylko do wojskowej rzeczy, po za którą są oni takimiż jak wszyscy towarzyszami... Rozumiesz waszmość, panie Jeż?...

— Rozumiem...— odpowiedział Kuźma.

— Dokument, który ci gromada dała, chowaj waszmość dobrze — ciągnął szlachcic — i nie pokazuj go nikomu, chyba w ostateczności.

I rozmawiał z Kuźmą długo, do popasu, a od popasu do noclegu, tytułując go ciągle waszmościem i panem i objaśniając mu szczegóły wojskowego, szlacheckiego koleżeństwa. Ta rozmowa sprawiła to, że bohater nasz przez pół wtajemniczył się w życie, jakie go oczekiwało, i

ośmielił się do szlachcica tak, że na noclegu nie można już było pomiędzy nimi dwoma dostrzedz różnicy stanów. I on towarzysza swego tytułował już waszmościem i panem.

Jechali pomału. Na drugi dzień przybyli do Braclawia, gdzie popasali. Tam szlachcic spotkał się ze znajomymi, którym bohatera naszego przedstawił jako Kuźmę Jeża, towarzysza pancernego z pod znaku Jana Potockiego, Starosty Kamienieckiego. Jeden ze znajomych zrobił postrzeżenie, że Kuźma zbyt z chłopska wyraża się.

— Jegomość panu Jeż zadowował się w ukraińskiej wiosce...— odparł szlachcic.— Ale to nic: przetrze się w świecie, to będzie mówił jak każdy z nas...

Kuźma zaczynał być ze szlachtą coraz poufalej. Na zapytania, jakie mu o jego pochodzeniu czyniono, zwykle nie on, ale jego towarzysz odpowiadał. Nie mianował on go szlachcicem wyraźnie, ale też i nie chłopem, i dawał pytającemu do domyślania się, że Imię pan Jeż prędzej jest szlachcicem jak chłopem.

Ten sposób przedstawienia uderzył Kuźmę, niemiłe na nim sprawiając wrażenie. Wydało mu się, jakoby on zmuszonym był wstydzić się własnych rodziców. Myślał o tem na drodze z Braclawia do Murachny, myślał na drugi dzień i do takiej przyszedł konkluzyi, że postanowił rozmówić się w tej mierze ze szlachcicem.

— Waszmość mnie na to naprowadza...— rzekł, jadąc obok niego— że ja nie mogę już się przyznać do mego ojca i do mojej matki...

— A wiesz waszmość o tem: — odrzekł mu szlach-

cie— wlaższy między wrony, krakaj jak i one... Możesz się i do ojca i do matki przyznać, ale nie zaraz... Gdybyś się zaraz przyznał, toby cię nie przyjęto do towarzystwa. Ale i teraz nie masz potrzeby wypierać się... Milcz, więcej słuchaj niż odzywaj się, a gdy nadejdzie pora, gdy cnotą i zasługą prześcigniesz rycerzy, wówczas wręcz im powiedz: żeś chłop, że twój ojciec chłop i twoja matka chłopka.

To ostatnie szlachecka powiedzenie, niby światły promień, przeniknęło do głowy Kuźmy, i rozjaśniło mu w myśli.

— Chodzi więc o to — taką była jego myśli treść — abym, nie wypieraniem się siebie poniżał, lecz własną zasługą i siebie i swoich podniósł, i na równi z tymi, co wysoko stoją, postawił.

— Żebyś się waszmość od nagabywań uchronił... — ciągnął szlacheć po dłuższej chwili milczenia — masz to...

Tu zdjął ze swego palca sygnet i wręczył go Kuźmie.

— Włóż ten sygnet na palec i nigdy go nie zdejmuj... Kto nań okiem rzuci, ten nie będzie waszmości pytaniami męczył, a gdyby męczył, to się tylko odwołaj na Aleksandra Lisowskiego, herbu Jeż... — Będiesz pamiętał?...

— Będę... — odparł Kuźma, a po chwili zapytał:

— Któż to jest ten Aleksander Lisowski?...

— Jest to ten sam, co obok waszmości jedzie — odpowiedział szlacheć — i co będzie waszmościny towarzyszem pod znakiem Starosty Kamienieckiego...

Kuźma z ukosa spojrzął na szlacheć i jakoś dziwnym

mu się wydało, że ten, którego on przywykł Rabym nazywać, nazywa się Aleksandrem Lisowskim.

Rozmowa pomiędzy nimi urwała się. Lisowski zadumał się i jakby drzemał, kołysany pospiesznym konia stępem, a nasz bohater przypatrywał się sygnetowi. Ten był krwawnikowy, w gruby, złoty pierścień oprawiony. Na krwawniku wyrzniętą była tarcza a na tarczy najeżone ostremi kolcami zwierzątko, pospolicie jeżem nazywane. Zwierzątku temu przypatrywał się Kuźma długo i myślał sobie:

— Kto wie, może i mnie przyjdzie się kiedy tak nstawiać ludziom, jak ten Jeż psom...

Może to było przeczucie?— nie wiem. Później się to pokaże. Tu tę tylko pozwolę sobie zrobić uwagę, że często nazwiska wywierają pewien wpływ na charakterową właściwość człowieka, a szczególnie nazwiska od zwierząt pożyczone.

Zwierzęta, jak wiadomo, mają mniej więcej stałe charaktery; wszystkie ich charaktery ześrodkowują się w rodzaju ludzkim. W rodzinie zwierząt, kot zawsze jest kotem, pies psem, wilk wilkiem, żaba żabą, etc. etc. W rodzinie zaś zwierząt-ludzi, człowiek jeden jest kotem, drugi psem, trzeci wilkiem, czwarty żabą, inny lisem, żółwiem, krukiem, wroną, robakiem, gęsią etc. etc. etc.,— i często (nie mówię: ogólnie) ten co od kota, psa, wilka, żaby i t. p. stworzeń się nazywa, to za nim, jakby w jakimś zaledwie dojrzyć się dającym światło-cieniu, maluje się postać odpowiedniego zwierzęcia, które on niby uspra-

wiedliwiec usiłuje swoim względem innych ludzi zachowaniem się. Czém się to dzieje?— niewiadomo. Mnie się zdaje, że wpływem nazwiska, które niby stępel na monecie, o wartości człowieka oznajmia. Lecz, jak stęple nie zawsze istotną wartość wyrażają, tak nieraz i nazwiska nie odpowiadają swemu znaczeniu. To się zdarza: zdarza się jednakże— i bodaj czy nie częściej— że odpowiadają, a to, jak powiedziałem, z powodu dążności do usprawiedliwienia takowych. Kto przeto wie — azali Kuźma nie roił o usprawiedliwieniu tego, którym świeżo a znie-nacka został ochrzczonym...

Zostawmy jednakże tę nazwiskową kwestyę na stronie, a wzięwszy z niej tyle tylko, że jeden z podróżnych naszych nazywał się Aleksander Lisowski a drugi Kuźma Jeź, powrócmy do kolei ich podróży.

Na trzeci czy czwarty dzień po wyjeździe z Hrynerek, dotarli oni do Mohylowa nad Dniestrem.

Dojeżdżając do Mohylowa, Lisowski, który nie przestawał oswajać Kuźmę z przyszłym jego zawodem, odezwał się do niego:

— Potrzeba ażebyś waszmość wiedział, że wedle przyjętego z dawien dawna zwyczaju, każdy towarzysz mieć powinien przynajmniej jednego pachołka, tak dla własnej usługi, jak dla dozoru nad końmi i uzbrojeniem.

— No... a jakże to?...—przerwał Kuźma.— Zkądże ja wezmę pachołka!...

— Nie masz potrzeby z niskąd go brać, dla tego że on już czeka na waszmości w Mohylowie... Myślałem o tém

i wyszukałem go uaprzód, albo raczej sam się znalazł z wszelką łatwością, bo gdy wojna w powietrzu, to ciury ją zwietrzają i napraszają się do ussarskich i pancernych towarzyszy... wojna dla ciurów, to rzecz łakoma: towarzysze biją a oni łupią...

Jakoż istotnie, w Mohylowie, gdy nasi podróżni zatrzymali się przed gospodą, z podsienia wybiegło dwóch pachółków i jeden Lisowskiemu, drugi Kuźmie trzymał strzemię i pomagał do zsiadania. Trochę to zażenowało naszego Kuźmę, ale nie bardzo. Już on wciągnął się do szlacheckich zwyczajów i prawie oswoił się z nimi. Bo czyż to trudno oswoić się ze zwyczajami, którym za podstawę służy wygoda?...

W Mohylowie, wyraźniej jak gdzieindziej, czuć było wojnę. Na ulicach pełno kręciło się żołnierzy. Na brzegach Dniestru i na górach otaczających miasto rozstawione były posterunki i czaty. Nad rzeką często dawały się słyszeć wystrzały, zamiana nieprzyjacielskich pozdrowień, przeciwny bowiem brzeg zajęty był przez posterunki Wojewody Michała.

Kuźmie na żyłach— że tak się wyrażę— zagrało, gdy go owionęła wojenna atmosfera. Wyglądał on jak pies w kuiei, wietrzący zwierza, niezważający na nie i pędzący naprzód do miejsca, z którego łechcący powonienie jego zapach zalatuje. Zapomniał się i wsłuchał w brzęki i szczyki rozlegające się po mieście i zapatrywał się na ussarzy, pancernych, dragonów i kozaków, przeciągających oddziałami w rozmaitych kierunkach. Zsiadłszy z konia,

pozostał przed gospodą i gdyby kto był spytał, co myśli z sobą zrobić, to nie umiałby na to odpowiedzieć.

Nad brzegiem Dniestru padł wystrzał. Kuźma wstrząsł się i pędem puścił się na ten odgłos. Biegł na przód, sam nie wiedząc gdzie, a że się wystrzał nie powtórzył, więc naturalnie przyjść mu musiała rozważa, a z nią zapytanie:

— Dokąd ja idę?...

Na zapytanie mógł sobie tylko odpowiedzieć: — na strzał, na odgłos, który zabrzmiał i rozszedł się w powietrzu.

To zapytanie sprowadziło w następstwie swoim inne.

— Czy na taki odgłos można trafić?...

A to inne było prostym wynikiem tego, że bohater nasz, wpadłszy we wązkie i poplątane uliczki Mohylowa, zabłądził i nie tylko już trafić na strzał ale i dostać się do gospody nie wiedział jak.

Stanął, obejrzał się na wszystkie strony i puścił się z powrotem. Lecz powrót trwał mu coś za długo. Stanął więc drugi raz i znów się oglądał, i znów poszedł i wyszedł — za miasto.

Oczewiście trzeba było nawrócić. Nawrócił więc i szedł i przyszło mu na myśl:

— Trzebaby tu kogo się rozpytać...

Ludzi spotykał dużo, szczególnie żydów; lecz jemu się zdawało, że gdy o rozpytanie się chodzi, to z tem najlepiej do chrześcianina się udać. Spotkawszy więc jakiegoś Ormianina, zatrzymał go:

— A nie wiecie wy, gdzie tu gospoda?...

— Która?..— zapytał Ormianin.

— Jakto, która?.. Ot gospoda, gdzie na popasy i noelegi ludzie zajeżdżają?.. Zostawiłem w niej konia i nie mogę do niej trafić...

— Wasza wielmożność...— odparł Ormianin— musi wiedzieć która, bo tu gospód jest dużo, jest zielona, jest czerwona...

— Biała, zdaje się...— przerwał Kuźma.

— Białej nie ma...— odpowiedział Ormianin, a spostrzegłszy, że bohater nasz nazwy szyldowe wziął za kolory zewnętrznego pomalowania, uśmiechnął się i dodał;

— One wszystkie białe, a tylko jedna nazywa się Zielony zajazd, druga Czerwona karczma, trzecia Pod żółtym kogutem, czwarta Ickowa austerya i jest jeszcze wiele innych...

— Alboż ja wiem!..— powiedział Kuźma tym tonem, którym się mówi: a niech to wszyscy diabli wezmą!...

Ton ten sympatycznie jakoś usposobił ku niemu Ormianina.

— To wasza wielmożność wie może na której ulicy?..— zapytał.

— Na której!...— odparł nasz bohater— na tej co idzie przez miasto...

— Ta tu wszystkie idą przez miasto...— była odpowiedź Ormianina.— A może w rynku?.. a jeżeli w rynku, to w którym, w ormiańskim, na wołowej targowicy, czy na wołoskiem mieście?...

— Alboż ja wiem!..— odpowiedział Kuźma, dobitniejszym jeszcze jak przedtém tonem. A że go te zapytania w niepospolity wprawiły ambaras, przeto chłopskim zwyczajem chciał się w łeb podrapać. Podniósł więc rękę do głowy, lecz na głowie zamiast włosów, spotkał stalowy hełm. To go zrazu zirrytowało, lecz w téjże chwili przyprowadziło mu na pamięć jego rycerski stan. Ormianin zaś tymczasem zakończył z nim rozmowę.

— Nie mam czasu— rzekł kłaniając się— służyć waszej wielmożności.... Niech wasza wielmożność pójdzie tam— tu pokazał palcem wzdłuż ulicy— i rozpyta się, to tam rozpowiedzą...

Kuźma poszedł, pytał się, ale niczego się nie dowiedział. Wszedł na jakiś rynek, na którym zastał dużo żydów.

— Będę ja pytał żydów... — pomyślał sobie i począł zaczepiać to tego, to owego.

Żydzi mu grzecznie i uniżenie odpowiadali, lecz lepszego, jak Ormianin, objaśnienia dać nie mogli!

— Na czém to się skończy?... — zapytał sam siebie w duchu nasz Kuźma, a pytał tém troskliwiej, że już zaczynało mieć się ku wieczorowi. Przyjechał po południu i blisko dwóch godzin już błądził. Postanowił więc zmienić sposób zapytań.

— Żydku... — rzekł do jakiegoś młodo wyglądającego potomka Izraela, który sobie stał z założonemi za pas rękami i myślał.

— Czego wasza miłościwość potrzebuje!...— zawołał

Żyd raptem, jakby był zniecka ze snu przebudzony, i zdjął przed Kuźmą z uszanowaniem czapkę i nastawił się z gotowością na usługi.

— Ja szukam pana Lisowskiego...

— Pana Lisowskiego!... — podchwycił żyd prędko. — Ny!... pana Lisowskiego!... Ja jegie znam... Czy zawołać go do wielmożnego pana?...

— Nie!... ale zaprowadź mnie do niego...

— Wielmożnego pana zaprowadzić do niego?... — zapytał żyd tonem niedowierzania. — Cóż wasza wielmożność będzie u niego robił?...

— Chcę go koniecznie odszukać... — odpowiedział Kuźma-

— Jeżeli wasza wielmożność chce koniecznie, to ja zaprowadzę i spuszczaam się na wielmożnego pana — tu żyd niziutko się uklonił — jak mnie wasza miłościwość za facygę wynadgrodzi.

I ruszył przodem, a Kuźma za nim.

— Bodaj-to — pomyślał sobie nasz bohater — być szlachcicem... Ot, w końcu taki dopytałem się... A gdybym w mojej czuhajnie i postołach pytał tych ludzi, to żaden nie zechciałby nawet odpowiedzieć.

Rozmyślanie to przerwał przewodnik.

— Dawno wasza wielmożność w Mohylowie? — ... zapytał.

— Dziś po południu przyjechałem...

— Aj waj! co tu się dzieje!... to sądny dzień!... Wołochy z Otaków ciągle z rusznic strzelają... a kule aż do

miasta padają... Przeszłego tygodnia jedna kula przysła i jedną naszą żydówkę w same prawe oko trafiła...

— I zabiła?...— zapytał Kuźma, ciekawy wszystkiego co się wojny tyczy.

— Nie...— odpowiedział żyd— zabić nie zabiła...

— To oko wybiła?...

— I to nie... Ale ją oko strach jak bolało... A druga kula przysła i szybę w Czerwonej karczmie wytłukła... A nad rzeką pokazać się nie można... Wołochy po tamtej stronie chodzą z rusznicami i z łukami i co kto tylko się pokaże, to oni zaraz ustrzelą... Au waj!... Jak tak długo potrwa, to będzie chyba skończenie świata...

— A nasi nic im nie mówią?...

— Nasi?... a cóż mają mówić?... Ot Zaporozcy poza-przeszłej nocy chodzili do Otaków, taj my, bidni żydziowie, przez całą noc spać nie mogli... Takiego tam było rejwachu!... Przez całą noc tylko pif ta paf a kula tylko dżżż... A na końcu kilka domów zapalili... Ta woleliby byli nie chodzić, bo ot Wołochy słyhać, chwałą się, że zapalą Mohylów na cztery rogi i wszystkich mieszczan i Żydów będą rznęli...

Tu drgnął żyd całym ciałem, jakby niem wstrząsnął raptem gwałtowny febryczny dreszcz. Ochłonawszy, ciągnął dalej:

— Te Zaporozce to zawsze tak: tylko biedy narobią... Trzeba im było tam chodzić!...

I zniżonym dodał głosem:

Zaporożcom wierzyć nie można, bo oni w zмовie z Wołochami...

— Ale, gdzież tam!...— przerwał Kuźma.

— O! gdzież tam!...— podchwycił żyd tonem pewnością.— Wasza wielmożność nie wie, ale my żydkowie, doskonale o tém wiemy... Oni naumyślnie na Otaki chodzili, ażeby Wołochom dać przyczynę na Mohylów.. Wołochów tam straszna siła... Aj waj!

Tu znów Żyd zadrzał.

— Ileż ich tam jest?...— zapytał Kuźma...

— A kto ich liczył!...— odparł żyd— pełne Otoki...

To nie mogło dać wielkiego o sile Wołochów wyobrażenia, bo Otoki to małe miasteczko i napełnienie onego nie wielkiej wymagało liczby. Skarga tylko na Zaporozców znamionowała, jaką rolę odegrywali w owój epoce żydzi pomiędzy dwoma już podówczas rywalizującymi ze sobą rycerskimi stauami, które na łonie społeczności polskiej się utworzyły.

Żyd długo jeszcze dowodził, że nie można kozakom dowierzać, a wszystkie dowodzenia swoje opierał na wyścieczce, wykonanej przez nich na wołoskie wybrzeże, wnioskując, mocą téj logiki, której bojaźń jest podstawą, że rozdrażnieni Wołochy mścić się będą nad Mohylowem. Logika ta nie pyta: czy mścić się zdołają bezkarnie?... czy im kto nie postawi oporu?...— A właśnie w takim stanie, w jakim znajdowały się rzeczy, odpowiedzi na powyższe pytania wypadały przeważnie na korzyść bezpieczeństwa mohylowskich mieszkańców, a to z tego powodu, że w Mo-

hylowie, oprócz mieszczan, było do tysiąca zbrojnego ludu. Tego Kuźmy przewodnik nie brał na uwagę. On się bał i nie ufał, aby Mohylów mógł stawić opór, chociażby najmniejszej nieprzyjaciół garstce. Rozwodził się nad tém szeroko przed milczącym a słuchającym z niedowierzaniem Kuźmą, i rozwodząc się, nagle się zatrzymał.

— Proszę waszój wielmożności...— rzekł ukazując ręką na dworek przy drodze— oto tu pan Lisowski mieszka...

— Co?...— zapytał Kuźma zdziwiony.

— Ny.. pan Lisowski... wasza wielmożność chciała, abym go do pana Lisowskiego odprowadził.. Otóż i odprowadziłem... Tu mieszka pan Lisowski... A, ot i on sam...

We drzwiach dworku ukazała się postać mężka, siwa, z dużemi wąsiskami, łysawa, ubrana w granatowy kubrak, postać czysto mieszczańska.

— Jego wielmożność...— odezwał się Żyd do mieszczanina — pytał się o was, panie Lisowski i kazał siebie do was prowadzić...

— Co wielmożny pan rozkaże?...— rzekł mieszczanin, podchodząc z uszanowaniem do Kuźmy.

Kuźma poznał, że tu *qui pro quo* się stało i teraz dopiero postrzegł się, że zasłuchawszy się w żydowskiej gawędzie, zaszedł na jakieś oddalone przedmieście.

— Ja nie o waszmości się pytałem...— odparł z oznaką niecierpliwości.

Żyd się zdziwił i niby zląkł. Mieszczanin milczał, przybrawszy oczekującą postawę. W końcu ten ostatni się odezwał:

— W Mohylowie nie ma innego Lisowskiego... Wszyscy o tem wiedzą i wszyscy mnie znają, bo ja na całe miasto najlepsze powrozy kręcę, chociaż powroźników jest siła...

Chciało się Kuźmie i śmiać i płakać. Radby był gniewać się na Żyda, ale pomyślał:

— Cóż Żyd temu winien?..

Więc pomilczawszy przez chwilę, odpowiedział swoje nieszczęście i zapytał powroźnika o radę.

— Tu, wielmożny panie, innęj rady nie ma...— odpowiedział zapytany—tylko wrócić do miasta, pójść od domostwa do domostwa i pytać.

— No, Żydzie, prowadź!...—zawołał gniewnym tonem nasz bohater.

Żyd okazał zrazu pewne drożenie się, przypomniał podjętą dla «jego wielmożności» fatygę i nie pierwój podjął się być przewodnikiem, aż mieszczanin upewnił go w Kuźmy imieniu, że fatyga nie pozostanie bez wynagrodzenia. Kuźma potwierdził to upewnienie. Żyd spuścił się na wspaniałomyślność «jego wielmożności» i ruszył przodem a nasz bohater za nim.

Tym razem przechadzki nie urozmaicała rozmowa. Kuźma był zły, bo już dobrze wieszczęzało, a był głodny i spotniał jak mysz dźwigając na sobie ciężką zbroję. Żyd zaś, postrzegłszy zły humor rycerza, stracił do rozmowności ochotę.

Szarzyć poczynało, gdy dotarli do miasta. Ludzie jeszcze się snuli, ale już w oknach domków i domów tu i

owdzie pokazywały się światła. Przewodnik mimochodem rzucił spotykanym Żydom po kilka wyrazów, i niektórzy z nich przyłączyli się do niego i szli razem, niby formując bohaterowi naszemu honorową eskortę, która ciągle wzrastała i ostatecznie wzrosła do ilości przeszło trzydziestu potomków Izraela. W takiej eskorcie rozpoczęły się poszukiwania po zajętych domostwach.

Lustrowano domostwo po domostwie.

— Nie zajechał tu pan Aleksander Lisowski, towarzyszu pancerny, z roty Starosty Kamienieckiego?...—pytał w każdym Kuźma.

I w każdym odpowiedziano mu jednakowo:

— Nie.... proszę waszej wielmożności...

Przeglądano domostwa w ulicach i w rynkach.

W czasie przeglądu tego, zrobił Kuźma jedno spostrzeżenie, a mianowicie, niektóre ulice były napełnione żydostwem a inne zupełnie prawie puste i że na pierwszym eskorta jego szła raźnie i śmiało, na drugich gęsiego po pod domy się przesuwiała i wielką okazywała bojaźliwość. Na tych ostatnich, Żydzi siedzieli po domach i po podziemiach.

Czemu nie idziecie środkiem?.. — zapytał na jednej z takich przewodników swoich.

— A jakże iść!... — odparł jeden — kiedy ulica idzie do Dniestru, a za Dniestrem Wołochy...

Była to więc ostrożność, z samozachowawczego instynktu wypływająca a nie obrachowująca doniosłości janczarek, które nie mogły aż na ulicę przez szeroki pod

Mohylewem Dniestr sięgnąć. Strach jednakże ma wielkie oczy, widzi nawet to, co nie jest możliwem.

Zrobił Kuźma jeszcze jedno postrzeżenie: jakoweś krążenie i powracanie jedną i tąż samą ulicą, dla przejścia na drugą. Już o to nie pytał, bo domyślił się, że i to pochodziło z ostrożności.

— Ot, już wszędzie obeszliliśmy!..—rzekł mu na końcu Żyd.

— To być nie może!...—zawołał Kuźma.—Jako! to już więcej domostw zajezdnych nie ma?...

— Są, ale tam iść nie można...

— Dla czego?...

— Dla tego, że tam i waszą wielmożność i nas zastrzelą...

— Prowadź mnie tam!...—krzyknął Kuźma w gniewie.—Gdzie to jest?...

— To na głównym rynku, ale ten rynek nad samym Dniestrem...

Gdy to Żyd powiedział, Kuźma przypomniał sobie, że dojeżdżając do gospody, przed którą zsiadł z konia, wjechał na obszerny jakiś plac, zabudowany porządnymi do koła domami i widział rzekę.

— To z pewnością na tym rynku...—pomyślał, i

— Prowadź mnie tam!...—krzyknął znowu na Żyda.

Żydzi otoczyli go i poczęli mu perswadować.

— Pokażcież mi, gdzie ten rynek.... ja pójdę sam...

Żydzi poczęli pomiędzy sobą szwargotać. Treścią ich rozmowy było to, że jeżeli tego goja puszczaą samego, to

przypadnie nagroda za fatygę, a jeżeli z nim pójdą, to narażą się na niebezpieczeństwo. I tak źle i tak jeszcze gorzej. Głośno i żywo mówili, spierali się, jeden drugiego usiłował przekrzyczeć. Powstał istny jarmark, wśród którego odzywał się niekiedy donośnie głos Kuźmy:

— Gdzież ten rynek?... pokażcie mi!...

Na głos ten eskorta nie zważała. Nakoniec, jeden z jej grona zaproponował po żydowsku (czego rozumie się nasz bohater nie rozumiał), ażeby wyzwać na ochotnika, a ten który się na to odważy, dostanie połowę tej nagrody, jaka ma się dostać pierwotnemu przewodnikowi.

— *Git!*!...—chórem odpowiedzieli Żydzi.

— Ny! któż pójdzie?...—zawołał proponujący.

Na to zawołanie nie było odpowiedzi i po krótkim przestachu, znów wszczął się gwar.

Stanoło nareszcie na tém, że wszyscy pójdą. Do tego postanowienia ośmieliło ich to, że od samego południa nie było słyhać ani jednego ze strony wołoskiej strzału, a jeżeli nie strzelali we dnie, to zapewne strzelać nie będą w nocy.

— *Gejze, nu, gej!*...—zachęcali jeden drugiego i tłumnie pogarnęli się ku rynkowi.

Im bliżej dochodzili tém bardziej kroku zwalniali, puszczali Kuźmę przodem i za niego kryć się starali.

W rynku cała kupa, niby gęste stado owiec, postępowała za bohaterem naszym, a podchodząc do domostw, wbiegała na podsienia i pierwój długo jeden po drugim wyglądał na rynek, ku Dniestrowi, zanim zawsze kupą a

z wielkim strachem, opuścili podsienie. A przecież domostwa były zajęte i przez gospodarzy, którzy po większej części byli bądź Ormiańskie, bądź Grecy, i przez gości, którzy wszyscy prawie byli wojskowi. W jednym domostwie na zapytanie:

— Nie zajechał tu pan Aleksander Lisowski?...

Odpowiedziano im:

— Tu nie zajechał, ale do Czerwonej karczmy...

Czerwona karczma stała na rynku, na przeciwniej stronie. Trzeba było przejść przez plac, przez sam środek. Można było obejść kołem, po pod domostwa, albo nawet po za domostwa, i zapewne przewodnicy byliby tamtędy Kuźmę poprowadzili, lecz na ich nieszczęście, karczma została wyraźnie palcem wskazaną i bohater nasz prosto ku niej się puścił.

Poszła za nim i eskorta. Kuźma szedł prędko; żydzi truchtem, oglądając się na około, pospieszali.

Było już ciemno. Na środku rynku błysnęło, jakby po niebie przebiegła błyskawica, i w ślad za nią rozległ się huk wystrzału. Gdzieś daleko słyszeć się dał świst kuli, jakby duży jaki owad prześmignął powietrzem.

Kuźma się zatrzymał.

Po pierwszym strzale nastąpił drugi, trzeci i dziesiąty. Następowaly po sobie szybko, zabrzmiały jednym ciągiem, niby łomot przełamującego się przez pól drzewa. Cisza nocna rozgłośniami je czyniła, a echo dniestrowe na tysiące rozbiło, a na niebie, niby przelotna zajęła się łuna.

Była to nowość nader dla bohatera naszego ciekawa. To też zatrzymał się i wsłuchał i zapomniał na chwilę i o Czerwonej karczynie i o Aleksandrze Lisowskim.

Chwila ta jednakże wkrótce przeminęła. Łuna zgasła, echa przebrzmiały i skonały, nastały ciemność i cisza. Kuźma przypomniał sobie Lisowskiego, Czerwoną karczmę i — więcej już z przyzwyczajenia jak potrzeby — swoich przewodników. Obejrzał się za tymi ostatnimi, lecz na całym rynku, jak zmiotł—*nikoguteńko nie było*.

Żydzi znikli, jak ten pył, który podmuch wiatru unosi. Za pierwszym wystrzałem wszyscy padli na ziemię a członki ciał ich, niby z febry, zadygotały i natychmiast się porwali i nieścignionym pędem pierzehli w różne strony. Biegli tak, że kulą może by ich dogał, ale koniem — nigdy. Za drugim wystrzałem już ich na rynku nie było. Tylko o odwiedzinach ich świadczyło kilkanaście porzuconych tu i owdzie patynków.

Pierszchnięcia tego ani patynków Kuźma nie widział. Domyślał się tylko, zaśmiał i poszedł wprost do Czerwonej karczmy.

— Tu zajechał pan Lisowski?...

— Tu...—odpowiedziało mu kilka na raz głosów.

Dwóch pacholków podbiegło ku niemu i jeden drugiemu przerywając razem mówili:

— My całe miasto za jegomością zbiegali... Szukaliśmy, pytaliśmy się... Jegomość pan Lisowski sam chodził... Nigdzie wielmożnego pana znaleźć nie było można...

— Jest pan Lisowski?...

— Jest...—odpowiedzieli pachołki i poprowadzili bohatera naszego do gościnnéj izby.

— Co się z waszmością przez cały dzień robiło?... —zapytał go Lisowski, gdy ujrzał wchodzącego.

Kuźma opowiedział swoją awanturę.

Lisowski się zaśmiał. Zaśmiało się kilku szlachty, którzy za stołem nad kuflami siedzieli.

— Przecież Mohylów, to małe miasto...—odezwał się jeden z nich.— Cóż dopiero, gdyby imćpanu Jezowi coś podobnego we Lwowie się przytrafiło...

— Albo w Krakowie...—dodał drugi.

— A w Kijowie...—dorzucił trzeci.

— A ja powiadam...—zabrał głos czwarty — że ani w Krakowie, ani w Kijowie, ale w Wilnie...

— To waszeć chyba zapomniał o Warszawie...—przerwał temu ostatniemu piąty.

— W Warszawie nie tak łatwo zabłądzić jak w Wilnie...—obstawał czwarty przy swoim.— W Wilnie, otóż to, mościpanie, ulic i uliczek... a wszystko ciasne i kręte i jedna do drugiej podobne...

— Niby to w Warszawie ulic i uliczek nie ma...—twierdził piąty. — Taż tam także tak kręte, że nie daj Boże...

— Co tam waść ze swoją Warszawą!... Byłeś waszmość w Wilnie?...—zapytał czwarty z przyciskiem.

— W Wilnie nie byłem...—odparł piąty podniesionym tonem.—Po cóż miałem być w Wilnie!.. Ale Warszawa

jest stolicą całej Rzeczypospolitej, to musi być bardziej krętą, jak Wilno, stolica Wielkiego Księstwa tylko...

— Co waszeć wiesz!...

— Albo to waszeć wiesz coś więcej!...

I zawiązał się ognisty spór, któremu inni przysłuchiwali się i przypatrywali.

Kuźma usiadł obok Lisowskiego i cały w słuch i we wzrok się zamienił.

Lisowski siedział przy węższym boku stoła, rozparł się łokciami, wsparł głowę obiema dłońmi i z lekko-ironicznym na ustach uśmiechem spoglądał na antagonistów, którzy jeden drugiemu za nie ustąpić nie chcieli.

Gdy spór rozwinął się, wszystka obecna szlachta, wyjąwszy Lisowskiego i Kuźmy, którzy zachowali ścisłą, milczącą neutralność, wzięła w nim udział i na trzy części się podzieliła. Jedni wzięli stronę tego co obstawał przy Wilnie, drudzy tego co obstawał przy Warszawie, zrzekając się własnych zdań o Lwowie, Krakowie i Kijowie, trzeci wzięli na siebie obowiązek rozjemców.

— Panowie!... — wołali ci ostatni — o co chodzi!... znajdziemy jakieś *medium optimum*, ażeby nie ubliżyć ani Warszawie, ani Wilnu..

— Jakie tu może być *medium optimum*!... — odpowiadała im strona drugich — Warszawa Wilnu nie może ustąpić!...

— Musi ustąpić!... — odezwał się grzmotowym głosem ten, co najpierwszy Wilno wspomniął, i kułakiem o stół uderzył.

— Nie musi!...— takimże tonem odparł mu antagonyista, giestykując ręką.— W tém nie ma zdrowego rozumu...

— Uciszcie się!...— wołali rozjemce.

Wołanie ich było tém potrzebniejsze, że strony porwały się z za stoła i stanęły w izbie naprzeciw siebie, jak dwa nieprzyjacielskie hufce.

— Nie ma zdrowego rozumu!?...— krzyknął jeden ze stronników Wilna.— Waszeć mi ubliżasz!... waszeć się ze mną rozprawisz!...

I porwał się do karabeli.

Teu sam ruch wykonali wszyscy z obydwóch stron przeciwnicy.

— Panowie!..— wołali rozjemcy. —Zgoda!

I stanęli pośrodku, pomiędzy stronami, a jeden, to ku jednym, to ku drugim zwracając się i ręce krzyżując, upominał ich łacińskim przysłowiem:

— *Concordia res parvae crescunt, discordia magna dilabuntur...* Maż krew szlachecka żydowskie broczyć podłogi!... Zgoda! panowie!... Uciszcie się!... Niech wasz spór po bratersku, kompromissem się skończy!...

Lecz daremnemi były te do zgody wzywania, daremnem okazało się i to, że rozjemcy jedułej i drugieój stronie zupełną słuszość przyznawali. To zaledwie wyjednać potrafili, że nie cała strona ze stroną, ale tylko pierwotny antagonyista z antagonyistą się potykali.

Potykali się natychmiast, przy latarniach, na podsiemniu. Stanąwszy naprzeciwko siebie, jeden i drugi zato-

czył rękawy i splunął w garść, ujął mocno dłoń ręką-
jęsć szabli i krzyżową sztuką natarł na przeciwnika. Cię-
cia padały szybko, uderzając z razu po ostrzach broni i
ogłasząc się szczękiem. Widzowie otoczyli zapaśników
wiankiem i w milczeniu się przypatrywali. Stronnicy tyl-
ko wywoływali od czasu do czasu:

— Górą Wilno!..

albo

— Górą Warszawa!..

Nakoniec pomiędzy widzami rozległ się okrzyk:

— Wiwat Warszawa!..

Powodem okrzyku tego było to; że Warszawa Wilnu da-
ła cięcie przez pysk.

Rozjemcy natychmiast poskoczyli, i tym razem z całą
łatwością przywrócili zgodę. Szlachta ścisnęła się około
ranionego i każdy starał się nieść mu pomoc. Posłano na-
tychmiast po cyrulika, który obandażował mu głowę.

W pół godziny później wszyscy byli już najlepszymi
pomiędzy sobą przyjaciółmi i zasiadłszy w dawnym po-
rządku, nad kuflami za stołem, słuchali opowiadania je-
dnego z pomiędzy siebie, który będąc jeszcze dzieckiem,
przyjechał z ojcem do Lwowa, wyszedł na miasto i za-
błądził.

— Błądziłem tedy, mościpanie— kończył— od rana do
wieczora... I stanąwszy pod jakimś krużgankiem zapłaka-
łem... I słucham, a ktoś z krużganku mówi: dureń, du-
reń... Spójrzę ja do góry, a to mościpanie papuga...

Szlachta serdecznie się śmiała.

V.

Od Mohylowa począwszy, przygody podróżnych naszych przybierają już charakter czysto-wojenny.

Droga ich szła wzdłuż Dniestru, nie samym wprawdzie brzegiem, dla tego że Dniestr wijąc się węzłem, uczyniłby trakt, gdyby ten trzymał się wybrzeży jego, trzy razy przynajmniej dłuższym, ale po trzy, cztery, a czasami i więcej razy na dzień, rzeka to im się pokazywała, to znikala. Raz przeciągali samem wybrzeżem, że aż konie kopyta w Dniestrowej wodzie kąpały, znów pokazywała się im ona w głębokim dole, ścieśniona między jeżącemi się skałami lub zieleniejącemi krzewistym porostem ściankami.

Dniestr bogatym jest w pyszne widoki. Pod tym względem bodaj czy nie pierwsze trzyma on pomiędzy rzekami naszemi miejsce, nie dla tego, żeby żadna rzeka piękniejszych nie posiadała widoków, ale dla tego, że żadna z pe-

wnością nie posiada ich tyle. Od źródła do samego ujścia ciągną się szeregi pejzażów, z których każdy wart płótna. Natura przeprowadza Dniestr śród gór, wprawdzie nie wysokich, lecz tak dziwnie połamanych w garby i rozdoły, tak dziko ozdobnych w wianki i bukiety lasów, w sukienki murów i krzaków, w klejnoty różno-kolorowych skał, w warkocze bluszczów i powojów, w osłony mechów, w barwy obnażonych spadków, że są miejsca niczem nieustępujące najpiękniejszym w Europie widokom. Takich miejsc pomiędzy Mohylowem a Kamieńcem jest kilka, przy ujściu każdej prawie rzeczki do Dniestru wpadającej: Nemii, Ladawy, Kalusza, Uszycy.

Na Kuźmę widoki te mocno działały. On się nimi zachwycał. Jego na hryneńskich bardziej płaskich obszarach karmiona wyobraźnia, nie mogła dość nalubować się niespodziankami, jakich mu każdy zakręt drogi, każda niemal garbatość gruntu dostarczały.

Zachwycałby się on był jeszcze bardziej, gdyby uwaga jego od widoków natury nie była odrywaną ciąglęm natężeniem baczości, spowodowanej tem, że z za każdego zakrętu drogi, z za każdój gruntu garbatości mogli pokazać się Wołochy, którzy z prawego rzeki brzegu często na podróznym naszym probowali doniosłości swoich janczarek. Na lewym brzegu patrolowali Zaporozcy. Kilkakrotnie spotykali się z nimi Lisowski i Kuźma i zasięgali od nich o Wołochach wieści.

— Przeprowadzają się łotry na nasz brzeg... — było powszechną na pytania o tych ostatnich odpowiedzią, po któ-

rzej zwykle następowały opowiadania, wyszczególniające podjazdowe potyczki.

Tam Wołochy zapalili wieś, kozacy wpadli na nich, pobili i przepłoszyli;— ówdzie zachwycili bydło, kozacy im je odebrali;— gdzie indziej, po tatarsku mieszkańców w jassyr zagarnęli i potrafilo ująć pościgu. Zaporozcy skrupulatnie im się odpłacali, wypadając z ogniem i mieczem na ich brzeg.

Podróźni nasi spory już kawał drogi ujechali, nie spotkawszy się nigdzie z nieprzyjacielem. Dymy tylko staniające się po horyzoncie, jakiś dziwny smród pogorzeli w powietrzu się unoszący, rozlegające się od czasu do czasu wystrzały i jakiś nieustanny klekot, jakby tentniących zdaleka koni, znamionowały pogranicze dwóch wojujących ze sobą narodów.

Na jednym zakręcie drogi przedstawiło się podejrzane, sposobne do zasadzki miejsce.

— Bacność!— krzyknął Lisowski, tak głośno, aby i od pachołków mógł być słyszany.

To ostrzeżenie powtarzał on za każdym razem, kiedy przypuszczał możność bycia napadniętym i za każdym razem pachołki przyklusowywali, dobywali szabel i powodowym koniom cugle przykracali, a szlachcie i Kuźma w siodłach się poprawiali i połechtawszy konie ostrogami, do ognia i zwrotności je przysposabiali. To samo, tak panowie jak pachołki i tym razem uczynili, a gdy tylko przygotowania bojowe ukończyli, raptem dało się słyszeć przeciągłe gwi-

źnięcie i z krzaka w którym nic widać nie było, wysunął się zbrojny człowiek.

Kuzma, gdy go ujrzał, natychmiast dobył szabli i zwrócił na krzak konia.

Zbrojny człowiek podniósł rusznicę i wziął go na cel.

— Stój waszmość!...— krzyknął Lisowski— to nasz!..

Na ten okrzyk człowiek wziął rusznicę do nogi, a Kuzma osadził konia w poskoku.

— Co tu robisz, mołojcze?...— zapytał Lisowski człowieka, który był nie kim innym tylko Zaporozcem.

— Zaporozec podniósł palec do ust na znak milczenia i podszedł do Lisowskiego.

— Tędy— rzekł po cichu— przeciągać będą Wołochy ze zdobyczą.... Przeprawili się, psiawiary, tej nocy i zrabowali wieś pod Jaryszowem.... Tu naszych jest więcej.... Zrobiliśmy na nich zasadzkę... Wasze wielmożności mogą nam pomóc... Jedźcie naprzód i zatrzymajcie się na górze przy krzyżu, a gdy usłyszycie strzelanie, nawróćcie i weźcie Wołochów od czoła...

Kilka jeszcze wyrazów zamienił Lisowski z Zaporozcem i odjechał. Kuzma oglądał się. Zaporozec znikł, jakby pod ziemię zapadł. W krzaku, z którego pokazał się, ani go znać było. Krzak stał spokojnie i cicho,— listki tylko na nim drżały, jakby je ledziuchny poruszał wiaterek.

Na górze był krzyż i studnia, a za niemi, w odległości kilkudziesięciu kroków, rozpoczynał się gęsty las, który w parów schodził.

Lisowski przy studni zsiadł z konia. To samo uczynili Kuźma i pachołki.

Odprowadźcie powodowe konie w las i przywiążcie je do drzew...— rzekł Lisowski do pachołków— a sami wracajcie...

Pachołki w mgnieniu oka wykonali rozkaz.

— Przepoprzęćcie konie!...

I ten rozkaz natychmiast został wykonany, i pachołki, trzymając po dwa konie w ręku, poczęli z nimi powoli w kółko chodzić.

Lisowski zaczerpuął w hełm wody i napiwszy się położył pod drzewem. To samo uczynił i nasz bohater.

Widok od krzyża był prześliczny, rozległy, na połyskujący i skręcający się kilkakrotnie Dniestr, na jakieś wioski z błyszczącymi dzwonicami, na bessarabskie stepy, na podolskie góry i lasy, jakieś jakby odymione i ciemno-zielone.

Lecz bohaterowi naszemu nie do widoków teraz było. Z niespokojnym biciem serca oczekiwał on na ruszniczne hasło i był niecierpliwy, jak ten, co na przyjście kochanki oczekuje.

Nareszcie, doczekał się.

Zagrzmiało w powietrzu.

— Na koń!...— krzyknął Lisowski.

Najpierwszym na koniu był Kuźma. Wsiadł, zebrał konia w cugle i ostrogi; koń się skulił i przysiadł na tylne nogi, i raptem, niby strzała z cięciwy wyskoczył.

— Stój waszeć!...— zawołał szlachcic, zajeżdżając mu

z przodu. —Pomału!... Trzymaj się szeregu i rozkazu słuchaj!... jak krzyknę «hurra!» wówczas rwij z kopyta, ale nie wysuwaj się z szeregu!... Szablę doładź i na temlaku ją zawieś, a na mój znak złóż się kopia!...

Po tej insrukcji, sformował szeregi we dwie dwójki. W pierwszej stanął sam z Kuźmą, w drugiej ustawił dwóch pachołków, którym nakazał, aby gdy do natarcia przyjdzie, rozjechali się w prawo i w lewo i z za skrzydeł wypadli, trzymając się jeden jego, drugi Kuźmy.

— Będziemy mieli do czynienia z takimi, co się na nas w rozpaczę rzuca... Tacy dobrze się biją. Trzebaż się dobrze trzymać...

Te były ostatnie wodza tego szczupłego hufca wyrazy, po czem ruszyli.

Jechali żywym stępem. Konie szły rażno i strzygły uszami, bo czuły instywktem bój, bo huki ręcznej broni trwały ciągle, a z niemi mieszały się szczęk i okrzyki, rozlegające się echem po dniestrowych górach i rozdołach.

Na połowie drogi do miejsca bitwy pokazał się na drodze jeździec, czwałem pędzący pod górę.

— Ten już zmiata... — odezwał się jeden z pachołków. Probuje konia, czy się prędko pod górę zadysze...

Jeździec ujrzawszy ich, zatrzymał się, spojrział na prawo i na lewo, nawrócił konia i nazad popędził.

Lisowski niezrozumiałego coś mruknął pod nosem. Może gniewał się, że na uwiadomionych przez tego jezdca Wołochów nie będzie mógł wpaść znieacka. Jakoż nie wpadł znieacka. Wołochy przysposobili się na spotkanie

go. Na drodze ukazało się dwanaście koni, w bojowym postępujących porządku.

— Kłusem!...— krzyknął natychmiast Lisowski.

Kłusem ruszyli jego podkomendni. Kłusem także, jakby jego komendy słuchając, poszli i Wołochy.

— Złóż kopię w toku!... hurra!...

I pochyłili się ku grzywom i jak piorun spadli.

Wołochom chodziło o zatrzymanie ich i odpędzenie, dla ochronienia reszty swoich, którzy się z kozakami ucierali. Dla tego gęsto ścieśnionym szli szykiem.

Lecz to im nie pomogło. Od pierwszego uderzenia szyk ich został złamany. Pancerni przebili go na wylot i obróciwszy konie, wzięli go z tyłu, pacholki zaś z przodu siekli szablami. Trzem czy czterem Wołochom udało się wymknąć pod górę, parę nawróciło na powrót, trzech czy czterech spadło z koni, a reszta cisnęła broń i wołała:

— *Walu!... walu!...*

Kuźma własną ręką położył dwóch, jednego kopią przebódł, drugiemu łeb rozplątał. Cięcia jego były silne i zapamiętałe. W zapamiętałości podniósł rękę na jednego, wołającego o pardon, lecz szabla jego spotkała się z ostrzem Lisowskiego korda.

— Bezbronnych nie zabijają...— rzekł szlachcic.

Nasz bohater, jakby go kto na gorącym złym uczynku złapał, oblał się płomieniem wstydu i opuścił broń.

— Teraz, szykuj się znowu!...— krzyknął szlachcic.

I znów w poprzednim ustawivszy się porządku, ruszył naprzód.

Szczupły jego hufiec w sam czas przybył na pole głównej potyczki, którą na korzyść Zaporozców rozstrzygnął. Wołochy nie tylko całą zdobycz, którą na wozach i jucznych koniach wieźli, postradali, ale wyjąwszy tych, którym konno udało się wymknąć na górę, wszyscy zresztą dostali się do niewoli. Było ich około sześćdziesięciu. Kozacy wiązali ich na smycze, a setnik dziękował Lisowskiemu za pomoc.

— Gdyby nie wasza wielmożność — mówił — to pewno z godzinę jeszcze musielibyśmy się z nimi wodzić i kto wie, czy bylibyśmy im dali radę, bo było ich więcej jak nas i psiawiary okuniem się stawiali... Wasza wielmożność spłoszyłeś ich... Oni ani się spodziewali z pancernymi mieć do czynienia...

W ciągu rozmowy, zapytał Lisowski setnika :

— A co z tamtej strony słyhać?...

— Michaj-woda pod Chocimem leży, tu szturmuje, a Jeremi odcina się mu, jak ten wilk, gdy go psy opadną... Ale — tu nosem i głową pokręcił — nie długo tego będzie, jeżeli nasi nie pośpieszą, bo oni z sobą *galbinami* (dukatami) wojują... Jeremi dobrze płaci, to się trzyma, ale jak galbinów nie stanie, to jego bohaterzy przejdą do Michała, który źle płaci, ale za to dobrze bije... O, ten Michał, to chwat!... Gdyby do nas na Sicz przybył, tobyśmy go zaraz atamanem obrali...

— A wielka pod Chocimem siła?..

—O, wielka!... Jest tam tego, bez mała, ośmdziesiąt tysięcy, ta nie samych tylko Wołochów; są tam Niemcy i Węgry...

—Damy im może radę, przy boskiej pomocy...— rzekł Lisowski...

—Ha, ha!...— odparł setnik— czy to nam pierwszy raz radę im dawać!... Niech-no nadciągnie pan hetman, to się z nimi uparamy...

—A wasza wielmożność, jeżeli wolno zapytać...— dodał— czy nie pod jaką chorągiew ciągnie?...

—Do roty Starościńskiej, do Kamieńca...— odpowiedział Lisowski.— I komu w drogę, to już czas... Bądźcie zdrowi, panowie Zaporozcy, czestni mołojcy...

—Szcześliwej drogi...— rzekł setnik.— Dziękujemy za pomoc w wojennej przygodzie...

—To chleb oddany...— odrzekł mu szlachcic— dzisiaj wam, jutro wy nam...

To rzekłszy, zawołał na Kuźmę, który z dziecinną niemal ciekawością pomiędzy wozy jeździł i jeńcom wojennym się przypatrywał, i pociągnął znów pod górę. Pod krzyżem znów się zatrzymał, aby napić się wody i dać wytchnąć koniom, i po półgodzinnym wypoczynku w dalszą puścił się drogę.

Kuźmie niezmiernie się podobała pierwsza ta próba, ten chrzest krwi, dający mu już prawo powiedzieć:

—Zaglądałem śmierci w oczy...

O, bo niebezpieczeństwo ma w sobie dziwny jakiś dla młodego człowieka pociąg, nieopisany jakiś urok, które-

mu oprzeć się nie sposób. Ciągnie go ono ku sobie, jak śpiew Syreny starożytnego żeglarza. Walka z niem nęci go, głowę mu zawraca. Zkąd to pochodzi?

Na to zapytanie wzruszam ramionami i powiadam :

— Alboż ja wiem...

Nie chcę bowiem wdawać się w analizę psychicznej strony człowieka, w analizę, któraby mi dużo pięknych rzeczy pozwoliła powiedzieć, aleby do żadnego pewnego nie doprowadziła rezultatu. Dość, że tak jest; a że «tak jest» to poświadczy mi każdy młody, w którym młoda krew gra. Bo są młodzi, taką dziwną obdarzeni organizacją, którzy młodymi nigdy nie byli.

Nasz Kuźma rzeczywiście zajrzał śmierci w oczy. Dostał bowiem kilka uderzeń, z których każde, gdyby nie hart zbroi, mogłoby śmierć sprowadzić. Dostał obuchem w łeb i kopią w bok i szablą po karku, ale obuch, kopia i szabla ześliznęły się, pozostawiwszy tylko po sobie znaki: pierwsza i druga wgłębienie na hełmie i pancerzu, trzeci skazę na naramienniku. Pomimo jednakże całego hartu zbroi, mógłby nasz bohater w tém marném spotkaniu zakończyć życiową swoją karierę, gdyby nie uratowało go to, że nabranym z góry pędem szybko się przez szeregi nieprzyjacielskie przebił. Szybkość ta, prawie błyskawiczna, osłabiła siłę uderzeń, jakie na niego spadły, a uderzenia dały powód Lisowskiemu do wypowiedzenia młodemu swojemu towarzyszkowi niektórych prawideł, któremi bojowe rzemiosło się kieruje.

— Nie tylko o tém masz waszeć myśleć, abys nieprzy-

jaciela zabił, ale i o tём także, abys siebie zabić nie dał.

Odwaga wszakże Kuźmy szczerze szlachcica cieszyła.

— Jeżeli będziesz waść się ochraniał— mówił on— to z waszmości doskonały będzie żołnierz; jeżeli zaś nie będziesz się ochraniał, to w pierwszej lepszej potyczce cię zabiją i z tego tylko wrogom urosnie korzyść.

I pokazywał mu sposoby ochraniań się; uczył jak unikając razów, zadawać je przeciwnikowi, jak składać się kopią w szeregu, jak w tłumie rąbać szablą i konia prowadzić. Wyrazy jego i przykłady stawały się ziarnem na dziewiczą ale żyzną padającą rolę. Kuźma zapomniał o domu, o Hrynenkach, o rodzicach, o kochance, o wszystkim, a całą duszą wrósł w rycerską naukę. Pośpieszam jednakże dodać, że zapomniał nie zupełnie i nie na zawsze, a tylko w obec nauki: każda bowiem nauka wymaga pewnej ze strony wtajemniczającego się w nią abnegacyi, wymaga oddalania tego wszystkiego, coby od niej umysł odrywało. Tak zwani «mamusie» albo «tatkowi synkowie» nigdy z żadnych nauk nie skorzystali. Pieszczotliwość rodzinna, ma właściwe sobie porę i miejsce, nie przypadające razem z porą i miejscem nauki.

Lisowski cieszył się ochotą i pojętnością ucznia swego i kilkakrotnie mu powtórzył:

— Ot, z waszmością mało będzie kłopotu w Kamieńcu...

A Kamieniec coraz się zbliżał.

Podróźni nasi opuścili dniestrowe wybrzeże, a z opu-

szczeniem wybrzeża pozbyli się potrzeby zachowywania wojennych ostrożności. Jechali krajem pogarbionym we wzgórza i pokrajanym jarami, dobrze uprawnym i bogatym. Widocznem było, że lud te okolice zaludniający, bezpieczniejszym był jak gdzieindziej od napadów i zniszczeń tatarskich. Powodem tego była bliskość twierdzy, zaopatrzonej w garnizon i potrzeby wojenne i czuwającej nad bezpieczeństwem okolicy.

— Dziś będziemy już nocowali w Kamieńcu...—rzekł pewnego poranku Lisowski do Kuźmy.

Kuźma, od chwili tego powiedzenia, począł wyglądać grodu, który w opowiadaniach hryneńskich mieszkańców grał rolę wielkiego miasta, pełnego dziwów i nadzwyczajności.

O południu w powietrzu unosiło się echo dalekiego dzwonienia.

— Słyszysz?...—spytał szlachcic towarzysza swego.

— Słyszę...—odpowiedział tenże.

— Słyszysz, że dzwonią, ale nie wiesz gdzie...

— A gdzie?...—zapytał Kuźma.

— Nie wiem, w którym kościele...—odparł szlachcic z uśmiechem, igrając znanem przysłowiem—ale wiem, że w kamienieckim...

— To my już niedaleko...—zauważał Kuźma.

— Nie tak to bardzo blisko, ale bliżej jak z Mohyłowa, a jeszcze bliżej jak z Hrynenek...—żartował Lisowski, a po chwili milczenia nagle zapytał:

— Cóż, żal waszmości za Hrynenkami?...

Kuźmę niespodzianie zachwyciło to pytanie. Od chwili wyplakania się, nie miał on czasu zdać przed sobą sprawy ze swoich uczuć. Odnosząc się jednakże do owego płakania, ostatniego żalu objawienia się, odpowiedział:

— Żal...

— To dobrze... — odparł szlachcic—nie należy, abys waszmość zrywał w sercu ten węzeł, który cię do rodziny, do twojej gromady i do kogoś jeszcze przywiązuje...

«Kogoś jeszcze» wymówił z przyciskiem, oznaczającym, że nie nieznanemi mu były serdeczne związki naszego bohatera. Zamilkł na chwilę i ciągnął dalej:

— Wejdiesz waszmość na wielki świat, pomiędzy dworzan i dworne panie; pilnuj się, aby ci się głowa nie zawróciła... Bo wielki świat umie głowy młodym ludziom zawracać... Nigdzie więc i nigdy nie zapominaj waszeć o Hrynenkach i o tych wszystkich których tam zostawiłeś... To jedno będzie cię broniło od omamień wielkiego świata...

Kuźma nie zrozumiał tego wyrażenia «wielki świat.» Jemu się zdawało, że wyjechawszy z Hrynenek, wstąpił w największy jaki być może świat, w świat objęty do koła nieboskłonem i otwarty przed nim na wsze strony tak daleko, jak długo do biegnięcia po nim jego piersi starczy tchu. A tu towarzysz jego, jakby o jakimś innym «wielkim świecie» zagadał.

— Wielki świat?—coż to za świat?... Czy on większy od tego, który Kuźma jedynie jako «świat» uważał, czy inszy?...

Nie umiał sobie tego nasz bohater wytłómaczyć, a nie śmiał się spytać Lisowskiego, z obawy aby z pytaniem nie wyrwał się jak Filip z Konopi. Pozostawił więc czasowi wytłómaczenie tej zagadki.

Czas prędko mu ją wytłómaczył, tego bowiem samego jeszcze dnia bohater nasz dowiedział się, że wielkim światem nazywa się dwór Starosty Kamienieckiego — i zdziwił się.

Zdziwienie jego bardzo było naturalném.

My ludzie, kształcąc się towarzyszeko, ponaprzyjmywaliśmy rozmaitych wyrażen, które się upowszechniły, utarły i wydają się nam właściwe, a w istocie rzeczy są —co najmniej—śmiesznemi.

Przypominam sobie, że raz, w obecności pewnego prawowiernego Muzułmanina, otrzymałem był list, adresowany do mnie po niemiecku. Na czele adresu stało: *Hochwohlgeborene* (wysoko i dobrze urodzony). Turek był ciekawy. Wziął kopertę, przypatrzył się pieczętce, a potem adresowi, a że po niemiecku czytać nie umiał, prosił aby mu przeczytać i wytłómaczyć. —Przeczytałem.— Lecz zaledwie usłyszał Turek znaczenie *Hochwohlgeborene*, począł się śmiać, ale tak gwałtownie, że myślałem iż konwulsyj albo spazmów dostał.

— Czego się śmiejesz?...—zapytałem, gdy nieco mu ulżyło.

— A gdzież można...—odpowiedział—aby na kopercie, na adresie, który wszyscy czytać mogą, takie głupstwo do ciebie pisano!... Wysoko i dobrze urodzony?...

Możnaż być nisko albo źle urodzonym!... Przecież wszyscy ludzie jednakowo się rodzą, a pisać takie rzeczy na adresie, to nawet nieprzyzwoicie...

Tak samo nieprzyzwoitęm wydało się bohaterowi naszemu nazwanie «wielkiego świata» zastosowane do Starościńskiego domu, przyswojenie nazwy takiej obszernej, tyle znaczącej, przez drobne kółko towarzyskie, w zamkowych murach zawarte. Zdziwił się tē m i nie powiem, zgorszył, ale pomyślał:

— Przecież to w rozum ludzi, mających się za rozumnych, nie można ślepo wierzyć...

Z takięm więc krytycznē m usposobienię m ducha stanę ł nasz bohater, najprzō d w obec samego starosty, a potę m w obec starościny, frauceymeru i dworzan, wprowadzony i przedstawiony przez Lisowskiego.

Starosta powitał go, jakby już o nim wiedział.

— A, jegomość pan Kuźma... Nazwisko?... nazwisko?... I począ ł niby przypominać sobie.

— Zdaje się, że nie powiedziałaś mi, panie Lisowski, nazwiska jegomości...

— Jeź...—podpowiedział Lisowski.

— A tak... Przypominam sobie... Pan Kuźma Jeź... Bardzo miło mi powitać waszmości w moich progach, a szczególnie w chwili, w której potrzebnemi nam są rycerskie ramiona i odważne serca...

Kuźma skłonił się i na tē m się skończyło.

Staroście ninie prezentował się wieczorem. Ta zaledwie

na niego spojrzęła i ani jednym nie zaszczyliła go wyrazem.

Przed starostą stawał w zbroi, którą tylko z podróznego kurzu otrzepał—przed starościną w lekkim, turecko-szlacheckim stroju, który jego silne kształty i męzką, młodą a trochę dzikością trącąca piękność doskonale uwydatniał. Dla tego to, chociaż starościina nań nie popatrzała, ale za to panie i panny z jej orszaku skrzyżowały na jego postaci promienie kilkunastu wzroków.

Krzyżowego ognia nie czuł Kuźma na sobie, bo był dziwnie zmieszany. Ta nowa sfera, w której raptem się znalazł, napelniała go uczuciem jakiegoś bojaźni. Nie wiedział jak się znaleźć, ani co ze sobą zrobić. Czuł się niby w jakichś pętach, które zarazem i nakładały mu kaganiec na usta i krępowały swobodę jego ruchów. Ale przy nim był Lisowski i ten go ratował; on za niego przemawiał, za niego odpowiadał, za niego się kłaniał i za niego ruszał. Kuźma tylko niewolniczo go naśladował.

W komnatach starościiny znalazł się tłum dworzan. Ci także, jak panowie i panny, ciekawie od stóp do głowy obejrzeli naszego bohatera, nie z tém jednakże co panie i panny uczuciem. Te bowiem, wszystkie co do jednej, poczuły się od razu sympatycznie do nowego przybysza usposobionemi, a dworzanie poczuli do niego jakąś antypatyę. Pierwsze zcharakteryzowały go wyrazem:

— Zajmujący...

Drudzy wyrazem:

— Prostack...

Pierwsze gotowe były osłonić go swoją protekcją; drudzy radziby byli, aby on w ich grono nie wstępował.

Różnica usposobień dworzan płci żeńskiej i męskiej względem bohatera naszego, pochodziła z osobistego interesu. Kobietom, których sfera działania była odrębną, nie wchodził on w drogę; mężczyznom zaś, nie wchodził jeszcze, ale mógł wejść. I dla tego na pierwsze zrobił wrażenie takie, jakie zwykle robi człowiek świeży, odmienny od innych i wyraźne cechy tej odmienności na sobie noszący; na drugich zaś, dla tych samych powodów, zrobił wrażenie złe.

Kobiety ciekawemi były Kuźmy z jednego szczególnie powodu, który ma tę własność, że ciekawość płci pięknej do najwyższego nastraja stopnia. Posłuchajmy co o nim mówiły ze sobą panie, kiedy on cofnął się w głąb komnaty i usiadłszy na wskazanym sobie przez Lisowskiego stołku, błędnem i niepewnem okiem wodził po paniach i po pannach dwornych, po meblach, po obiciach i ozdobach pokojowych, nie mogąc jeszcze dobrze znaleźć różnicy pomiędzy nieżywemi a żywemi meblami.

— To on?...—szepnęła jedna do sąsiadki.

— On...—odpowiedziała zagabnięta.

— A może nie on...—wtrąciła trzecia.

— O, z pewnością, on...—twierdziła druga—przecież po niego pan Lisowski pojechał...

— I nie można dowiedzieć się, kto on właściwie jest?.. — zapytała jedna, która pilnie przypatrywała się Kuźmie.

Dwie czy trzy wzruszyły na to ramionami, a jedna szepnęła po cichu:

— Hiszpańskiego króla syn...

— I nosi imię Kuźmy!..— podchwyciła inna.— To być nie może...

— Dla czego nie...— tłumaczyła ta, co go o hiszpaństwo posądziła.— *Incognito*... Wychował się na Rusi, na wsi... W tém jest jakaś tajemnica...

Wyraz «tajemnica», chociaż po cichu wymówiony, zasłyszany został przez wszystkie białogłowy i wstrząsnął nimi niby iskra elektryczna. Wszystkie razem, nie wyłączając starościny, spojrzały na Kuźmę.

W téj chwili jakiś dworzanin szarmancko zbliżył się do grona pań i począł je karmić komplementami, które w owych dobrych starych czasach, były jeszcze niedorzeczniejszymi jak w naszych, ale jak w naszych, uważały się jako godziwy sposób porozumiewania się płci męskiej z niewieścią. Panie przestały szeptać o Kuźmie, a tylko rozmawiając z grzecznym kawalerem, puszczały co chwila wzroki w tym kierunku, gdzie nasz bohater zadumany siedział.

— On musi być nieszczęśliwy!...— wymówiła młodziutka jedna blondynka do starszej od siebie szatynki, gdy szarmantujący kawaler zajął miejsce obok jakiejś pani i związał z nią długą rozmowę.

Szatynka przeciągle powiodła wzrokiem po Kuźmie i odszepnęła:

— Może...

— On tak daleko od ojczyzny...— ciągnęła blondynka. Szatynka westchnęła, a po westchnieniu dodała:

— Któż co o jego ojczyźnie wiedzieć może!...

— Powiadają, że to szkocki królewicz...

— Czyż można wierzyć temu, co powiadają!...— prze-rwała szatynka. — Inni mówią, że doży weneckiego, a inni, że turecki sułtanie wykradziony przez Zaporozców z seraju i wychowany na Ukrainie..

— Ach!... jakżebym ja chciała wiedzieć kto on taki... — odezwała się blondynka tonem kapryśnego dziecka.

— Cicho!...— szepnęła szatynka, gdyż inter-lokutorce jęj nieco za głośno wyrwały się z ust ostatnie wyrazy, tak, że aż starościna spojrzała na nią surowym wzrokiem.

Domyśla się przeto czytelnik, co do naszego biednego Kuźmy, któremu w tęg chwili jakieś gwiazdy przed oczyma się unosiły, tak starościńskie dworne rozciekawilo.

Cóż Kuźma na to?

On *primo*, ani wiedział, ani się domyślał, ani przypuszczał, że jest przedmiotem ogólnęj niewieściej ciekawosci; *secundo*, tak spotniał, tak mu się jakoś źle zrobiło, że radby był na skrzydłach ze starościńskiego salonu wylecieć. A tu, jak na toż, Lisowski zajął się rozmową z jakimś dworzaniem i zdawało się, że nie zważał na niego.

Chciał już Kuźma zrobić to, co w naszym czasie nazwalibyśmy *coup d'état* salonowém, to jest: wstać bez ceremonii i pójść sobie precz. Już odetchnął ciężkiem

westchnieniem i oparł się nogami o podłogę w celu wykonania swego zamiaru, gdy Lisowski wstał i rzekł do niego:

— Chodźmy...

Kuźma myślał, że to «chodźmy» oznacza: najkrótszą drogą dostać się do drzwi, a przez drzwi na podwórze i wynieść się. Jakże mu było nieprzyjemnie, gdy zmuszonym się widział krążyć za przewodnikiem swoim i jeszcze raz przed starościną stanąć.

Lisowski żegnał starościnę.

— Czemuż jegomość panowie tak prędko nas opuszczają?...— zapytała pani tonem wymówki. — Czemuż nie raczą z nami zasiąść do wieczerzy?...

Lisowski tłómaczył się znużeniem podróżnym, potrzebą wypoczynku.

— O ile wiem...— odezwała się pani— jegomość panu Lisowskiemu podróż znużenia nie sprawia... Jegomość pan tak zahartowany na trudy!...

— Nie jesteśmy, miłościwa pani, żelazni...— odpowiedział Lisowski— ciało nasze ma swoje prawa, o które się upomina i których mu odmawiać nie można...

Starościina nie zatrzymywała więcej, tylko na pożegnanie oświadczyła, że życzy sobie, aby nasi znajomi, wypocząwszy należycie, przyszli nazajutrz, i dodała, że marszałek ma rozkaz zaopatrywać wszystkie ich potrzeby. Po czem Lisowski i Kuźma skłonili się i wyszli.

Przez cały czas pożegnania, które przeszło minutę trwało, bohater nasz stał przed paniami dwornemi jak na wystawie. Wszystkie wpatrywały się w niego pilnie, jakby

każda z osobna chciała go na wylot przejrzeć. Blondynce błękitne oczy świeciły się; ale te oczy pominę, poprzestając na mimochodnym o nich wspomnieniu, a zarekomenduję czytelnikowi piwne oczy szatynki, która najspokojniej a przynajmniej spokojniej niż inne, patrzyła na hryneńskiego parobka.

Te piwne oczy chodziły po nim od stóp do głowy, zatrzymując się co chwila na twarzy i zaglądając do oczów Kuźmy.

Kuźma, powiódłszy raz wzrokiem po półkolu dam, świetnym jak wieniec różnych kwiatów spotkał się z temi oczami. A gdy się spotkał, to z jego wzrokiem i ze wzrokiem szatynki stało się to, co z dwiema bilami, gdy pchnięte przez graczy uderzy jedna o drugą na środku bilardu: rozskoczyły się. Kuźma się trochę zmieszał i szatynka zmieszała, ale nie bardzo.

Odetchnął nasz bohater, jakby kamień z siebie zrzucił, gdy wydostał się z pod malowanego w kwiaty salonowego sufitu pod błękitne, zasiane gwiazdami sklepienie nieba. Odetchnął i zrobił tak:

— Aa... fu!...

— Cóż, podobało się waszmości w komnacie starościny?... — zapytał go Lisowski.

— A... — odparł Kuźma — mnie się zdawało, że roztopię się jak śnieg na słońku...

— Dobrze!... — rzekł Lisowski wesoło — to śnieg, niby waszmość, a słońko oczy którejs z dwornych pań... Dobrze!..

nie spodziewałem się, abys waszmość komplementa umiał prawić...

— Co to, komplementa?...— zapytał Kuźma w prostocie ducha.

— To głupstwa— odparł Lisowski— które się paniom gadają, a na które one głupstwami odpowiadają...

— To gdzieś musi być niby tak, jak u nas na wsi, kiedy się dziewczęta zaczepia...— zauważał Kuźma.

— Tak samo, tylko głódziej...— tłumaczył Lisowski. — Na wsi, gdy się głupstwo powie, to wyraźnie, i w dodatku uszczypnie się albo szturchnie dziewczynę.... Pomiedzy panami zaś trzeba tak głupstwo mówić, żeby się pani albo panna domyśliła, a nie można jej ani szczypać ani szturchać, tylko się skłonić i uśmiechnąć...

— A jeżeliby mi się śmiać nie chciało... — zarzucił Kuźma.

— To trzeba udać: skrzywić się i zęby wyszczerzyć...

— A jeżeliby mi koniecznie zachiało się uszczypnąć albo pocałować...

— A, od tego niech cię Pan Bóg broni!...— rzekł seryo Lisowski.

— Albo co!... cóżby mi kto zrobił?...

Chciał Lisowski odpowiedzieć mu, że za takie przestępstwo naraziłby się na pojedynek, lecz obawiał się, aby właśnie pojedynek nie zachęcił młodego zucha do popełnienia przestępstwa. Więc mu ogólnikiem odparł:

— A, napytałbyś sobie licha!... To najsurowiej jest przestrzegane... Trzeba z paniami być z daleka i delika-

tnie, bo gdybyś którą z nich po wiejsku zaczepił, toby waszeć z pod chorągwi wygnano.

Kuźma o nic więcej nie pytał, chociaż dziwném mu trochę się wydawało, aby za taką bagatelę taka surowa kara czekać mogła. Pomyślał tylko sobie:

— Niech je bisy porwą!... Będę od nich z daleka i żadnej nie zaczepię...

Wiedzieć należy, że na salon starościny dostał się nasz bohater zupełnie niespodzianie. Lisowski nie uprzedzał go o tem. Przyjechawszy do Kamieńca i zajechawszy wprost do zamku, w którym przemieszkiwał starosta, poprowadził go natychmiast do starosty, a potem, namówiwszy go, aby się przebrał w ten strój, którym go Zaporozce w Humanii obdarzyli, poszedł z nim do starościny, nie mówiąc mu, gdzie i po co idzie.

Dla czego tak Lisowski postąpił? czy, ot tak z fantazyi, czy w jakim widoku to zrobił?— na to nie umiem odpowiedzieć. Prędzej z fantazyi, która w ogóle, często bardzo pojawia się nie tylko w prywatném ale i w publiczném postępowaniu naszej szlachty, bo jakież mógł mieć w tém widoki?... Mógł i siebie i swego pupila skompromitować. Szczęście, że Kuźma, wpadłszy w atmosferę salonową, jak diabeł w święconą wodę, zmieszał się i nie postawił się względem wielko-światowych dam, jak względem dziewczek i kobiet wiejskich. To jego zmieszanie się obydwóm na dobre wyszło.

W zamku Kuźma i Lisowski zajmowali jedną izbę na mieszkanie. Izba ta, umieszczona w jedném ze skrzydeł

zamkowych, zaopatrzoną była ze zbytkiem we wszystkie wygody, jakich żołnierz wymagać może. Miała dwa tapczany ze słomianemi siennikami, stolik, parę stołków, szaragi i pełno dużych ćwieków w ściany wbitych, a w kącie stał drewniany kozioł na siodła i rynsztunki. Izbę poprzedzał mały przedpokój dla pachołków, chociaż dla tych znajdował się w zamku osobny oddział, na wzór kazamatów urządzony. W przedpokoju mieścili się pachołki, bezpośrednio do usługi około osób pańskich przywiązani.

Gdy Kuźma i Lisowski weszli do swojej izby z powrotem z wizyty u starościny, znaleźli tam wszystko uporządkowane. Siodła i rynsztunki na koziołku spoczywały, zbroje, bronie i suknie na szaragach i ćwiekach były rozwieszzone,— na stole, w dużym mosiężnym lichtarzu paliła się łojowa świeca, a obok niej stał duży dzban z wodą; na tapezanach burki były zastępczyniami kołder a siodła poduszek. Pachołki oczekiwali na panów.

Zaledwie ci ostatni weszli i zaledwie zdołali rozpatrzyć się w porządku, jaki ich słudzy zrobili, zjawił się u nich najprzód pachołek zamkowy z zapytaniem, czy natychmiast życzą sobie wieczerzać i otrzymał potwierdzającą odpowiedź, a potem przyszedł marszałek dworu i w ślad za nim przyniesiono jadła i napoje, których obfitość równą była sławnej gościnności naszych praojców. Przyniesiono tyle, że można było nakarmić i spoić nie dwóch ale dziesięciu Lisowskich i Kuźmów. Lisowski jednakże i Kuźma posilili się tylko w miarę, podjedli sobie, ale

nie podpili, a do tego, aby miarki nie przebrać, musieli całemi siłami opierać się naleganiom marszałka, zaklinającego ich na zbawienie duszy i na wszystkie świętości, a dla zachęcenia wnoszącego toasty.

— Oto, czego ani myślałem...— mówił — dla dania waszmościom dobrego przykładu, muszę z wami pić... No, za pomyślność najjaśniejszej Rzeczypospolitej!...

Podróżni wymawiali się zdrożeniem.

— To też właśnie— tłumaczył marszałek— na zdrożenie najlepszym jest stary miód... W ręce waszmościów!... Za zdrowie Króla!...

Lisowski nie mógł się inaczej wymówić, jak tylko połączeniem wszystkich toastów w jeden, a było ich pięć zaproponowanych: pomyślność Rzeczypospolitej, zdrowie Króla, pomyślność wyprawy na Wołoszę, zdrowie starosty i zdrowie starościny.

Wieczera trwała z godzinę, pomimo że Lisowski i Kuzma nie zabawili się ani dziesięciu minut. Załatwili tę sprawę po żołniersku, prędko a skromnie, lecz nie w ich mocy było kazać usunąć misy i półmiski, dzbany, kufle i szklenice, które przynoszono i odnoszono.

— Gdy starosta dowie się, jak waszmoście wieczorzali— rzekł smutnie marszałek— mocno się tém zmartwi... Jeszczeż co się tyczy jegomość pana Lisowskiego, to pół biedy: bo my go znamy, że skromny w jadłe jak piętnastoletnia panienska, je jak ptaszek, a bije jak lew; ale jegomość pan Jeź!.... snadź waszmości nie smakuja

potrawy starosty... snadź waszmość do wykwintniejszych przyzwyczajony... ;

Kuźma otworzył już usta i chciał powiedzieć a w potrzebie i przysiądz , że nigdy w życiu nie tylko nie jadł, ale ani widział nic wykwintniejszego, że wychował się na razowym chlebie, hreczanej kaszy i kluskach na polewce; lecz zaledwie wymówił tylko:

— A gdzież tam...

Gdy Lisowski mu przerwał:

— Przeciwnie , jegomość pan Jeź przywykł do używania po trochę czego dobrego... Gdyby jadł dużo, toby oznaczało, że nie może się doszukać smaku w potrawach pochodzących z kuchni jegomość pana starosty; jedząc mało, znaczy, że od razu znalazł je doskonałemi i uznania tej doskonałości nie chce głużyć przeładowaniem żołądka...

— O... waszmość umiesz wszystko po swojemu wykreścić !...— zawołał marszałek.— Waszmość nie żołnierką, ale adwokaturą powinienbyś się bawić...

I śmiał się, a zapowiedziawszy, że kwestyę tę podda pod światły sąd starosty i starościny, dla gruntownego onej rozpatrzenia, pożegnał naszych podróżnych i wyniósł się, a po nim uprzątnięto wieczernane przybory, z których pozostał tylko dzban miodu, postawiony na stole obok dzbana z wodą.

Nie zasiądziemy u węzłowia Lisowskiego, ani naszego bohatera i nie będziemy ich snem się zajmować. Byli zdrożeni, więc spać musieli smacznie, szczególnie na sien-

nikach. Kuźma, od kiedy się urodził, nigdy na siennikach nie sypiał. Zdarzało się mu spać w słomie, na sianie, na murawie, ale to bywało pod gołębem niebem; w izbie zaś łożem jego były zwykle albo goła ława, albo podłoga. Jakimże mu piernatem wydać się musiał prosty siennik!...

Zamiast zajmować się ich snem, przenieśmy się raczej na zamkowe pokoje i zróbmy ich przegląd.

Nie zapominajmy, że jesteśmy w epoce, której nawet siedemnastym wiekiem nazwać jeszcze nie można; więc nie spodziewajmy się, aby pokoje wielkiego pana przedstawiły się nam jakby nie mówię dziś, ale w bliższej nam epoce, np. za Sasów, kiedy to Polak «jadł, pił i popuszczał pasa.» Jadł on, pił i popuszczał pasa i za Wazów, lecz wówczas nie pociągano go jeszcze do płacenia rachunku za to co zjadł i wypił, ani nawet przewidywał, aby go kiedy ta nieprzyjemność spotkać miała, więc był spokojniejszy i pewniejszy siebie, a więc poważniejszy — a powaga jego, gdy tylko mu na to możność pozwalała, była iście królewską. Pomiędzy wielkim panem polskim, w domowym jego pożyciu, a jakimś udzielnym książęciem, nie wielka była różnica, taka mianowicie, jaka obecnie zachodzi pomiędzy konstytucyjnym a absolutnym władcą. Jeden i drugi jest władcą. Jeden i drugi ma poddanych, jeden i drugi jest istotnym panem, a tylko drugi bezwarunkowym, pierwszego zaś wiążą pewne względem niektórych poddanych względy.

Takiemi, jak ten pierwszy, byli panowie polscy. Zna-

czenie ich bardzo było podobnym do znaczenia udzielnych książąt i Zamojski miał zupełną słuszość, gdy do podpisu swego, umieszczonego obok podpisów książąt Rzeszy Niemieckiej, dodał: *equitus polonus omnibus his par*. Panowie bowiem polscy byli rzeczywiście równi im, tylko władza ich była ograniczoną względami grzeczności względem braci szlachty, posiadającej wielką ochotę i cokolwiek możności upominania się o grzeczność i całą siłą, jak pijany płotu, trzymającej się tego: «że szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie.» Pod osłoną tej równości ukrywała się nierówność, wypływająca z różnic majątkowych. Panowie byli bogaci i jako tacy, istotnie *wielmożni*. Bracia szlachta tytułowała się wielmożną; lecz możność jej tém się tylko objawiała, że mogła wspierać widoki tego lub owego pana. Ztąd, z jednej strony panowie potrzebowali ujmować sobie szlachtę, z drugiej, szlachta potrzebowała garnąć się pod skrzydła panów. Ztąd także i ustroj społeczny Rzeczypospolitej, który w zasadzie opierał się na gminowładztwie szlacheckim, w istocie jednakże rzeczy był oligarchicznym. Panowie byli ograniczonymi co do bezpośredniej władzy, lecz nieograniczonymi co do znaczenia, wpływów i co do sposobów użytkowania onego znaczenia i onych wpływów, oligarchami. Jako tacy, niby złote gwiazdy, świecili oni na tle społeczeńskiego życia Rzeczypospolitej i niby gwiazdy mogli na owém tle błyszczeć, a błyszczeć własnym, nie pożyczanym od tła a równym innym gwiazdom światłem.

Gdzież podobne gwiazdy znajdowały się?— Na Zachodzie

dzie, na tle społeczeństw, których organizacyjną podstawą był feudalizm; w Niemczech — udzielni książęta, grafy, barony; we Francji diuki, markizy, vicomty; we Włoszech — comesy; w Anglii — earle, w Hiszpanii — grandy; — zachodnia Europa pełną była gwiazd, nie złotszych jak polskie, a przecież świetnie błyszczących. Polskie przeto usiłowały być im w błyszczeniu siostrzycami.

Potrzebę ujmowania sobie szlachty połączywszy z usiłowaniem błyszczenia, na wzór zachodni, otrzymamy w rezultacie podstawę, na której uorganizował się dwór pana polskiego. Była to mieszanina swojskości z obczyzną, bigos do którego mieszano razem arystokrację zachodnią i demokrację słowiańską. Wielki pan, poczuwający się do równości z udzielnymi władzcami, poczuwał się zarazem do równości z gminem. Jak pierwsi, na wielką stopę prowadził życie, utrzymywał liczną służbę i wojska i bratał się z drugim.

To bratanie się niektórzy z terażniejszych pisarzy zachwalają, jako wyborną szkołę, «jakięj — wedle stereotypowego wyrażenia — dzisiaj nie mamy; szkołę, w której młodzież praktycznie uczyła się czynnego a pożytecznego żywota....» Zaiste, była to szkoła, ale nie możemy pochwalić się owocami jakie wydała, szkoła która rozkarmiła i rozpoila szlachtę i przyzwyczaiła ją do trzymania się za klamki pańskie, do przechodzenia za pieczęcią od dworu do dworu i podtrzymywania strony tego brata wojewody, którego kuchnia obfitsza, piwnica lepiej zaopatrzona i szerzej otwarta.

— Nie myślę absolutnie twierdzić: że wszystko złe od panów tylko wyszło. Nie wszystko, ale w znaczujszej i ważniejszej części. To się tyczy ogólnego i wychodzącego po za pomieniony zakres na rzeczy poglądu, od którego wchodząc do szczegółów, stawiając sobie przed oczy indywidua i im się przypatrując, to i pomiędzy panami znajduje się nie jedna posągowa, szczególnie pod względem artystycznym, postać, a w sposobie bycia ich znajdzie się nie jedna strona, zdolna rozciekawić, zabawić lub zachwycić.

Mamy uczynić przegląd dworu jednego z panów, a mianowicie Jana Potockiego, Starosty Kamienieckiego.

Starosta mieszkał w zamku, wkluczonym jako część, w całość obronnego systemu Kamieńca. Z tego powodu, cała zewnętrzność zamku nosiła na sobie czysto-forteczny charakter. Mury były wysokie, krenelowane i gęsto strzelnicami poznaczone. Za podstawę im służyły ziemne wały o urwistych spadkach. Na rogach wznosiły się krągłe baszty, także u góry nazębione a na wysokości swojej trzema równo jeden od drugiego oddalonymi rzędami strzelnic otoczone. Wewnątrz, wzdłuż murów, ciągnęły się wały dla piechoty i w rozmaitych miejscach, platformy dla posterunków wojskowych i baterye, z których działa wyłotami patrzyły na okolicę. Z za murów wyglądały dachy, czerwoną pokryte czerepicą i w kilku miejscach szeregi okien i okienek i wyskakujące tu i ówdzie kwadratowe wieżyczki. Zamek wznosił się na górze u stóp której płynął Smotrycz.

Widok - z zamku był rozległy i prześliczny, wymykający się jarami na nierówną, pogarbioną i połamaną okolicę, której kontury ubierała natura w to wszystko, o czem już, przy opisie widoków dniestrowych, wspomniałem. Nie będę się wciąż powtarzał; tylko poradzę ciekawym, aby, gdy zdarzy się im być w Kamieńcu, dowiedzieli się o miejsca gdzie niegdyś stał zamek i poszli tam i popatrzyli na Smotrycz, góry i parowce; jeżeli który z nich malarzem, to niechby odmalował widok z zamkowej góry.

Jak na zewnątrz, tak i na wewnątrz zamek ściśle do potrzeb wojennych był zastosowanym. Z tego powodu było w nim jakoś ponuro. Kilka dziedzińców na krótko tylko we dnie oświecało słońce i to nie całkowicie. Po większej części tonęły one w cieniach, jakie na nie wysokie mury rzucały. Z dziedzińca do dziedzińca przeprowadzały sklepione, długie bramy, pod którymi kroki przechodniów rozlegały się echem. A gdzie tylko nie spojrzeć, wszędzie widziało się zęby i strzelnice. Zamek bowiem służył, jako schron dla fortecy, to jest: gdyby Kamieniec zdobyty był przez nieprzyjaciół, mógł się sam bronić;— lecz i w samym zamku był schron dla zamku, to jest, gdyby zamek został zdobyty, obrońcy cofali się za ostatnie bramy i tam mogli jeszcze stawić nieprzyjacielowi czoło.

Ten ostatni schron był mieszkaniem starosty, do którego, aby się dostać, przez trzy bramy i dwa dziedzińce przejść było trzeba. Pierwszą bramą była główna.

Do tej przez rów, opasujący zamek półkolem, kończącym się w Smotryczowem urwisku, po zwodzonym przechodziło się moście. Po niej następował podłużny dziedziniec, kazamatami otoczony i kilka bram mający. Kto nie znał rozkładu, mógł z łatwością zabłądzić i trafić na dziwnie jakos pokręcone przechody, w których naprzemian to ciemno, to ciasno bywało. Przechody te urządzone były umyślnie na zasadzki na nieprzyjaciela, który, przeforsowawszy wały, dostałby się na pierwszy dziedziniec, na którym wpadał w krzyżowy a rzęsy ogień, z kazamat sypany i nie wiedział w którą ratować się stronę. To samo przygotowaniem dla niego było za drugą bramą, a za trzecią napotykał zamek w zamku, zaopatrzony we wszelkie środki obrony, i musiał nowy, formalny przypuszczać szturm.

Ostatni ten zamek był tém, co technicznie nazywają blokhauzem. Kształt jego jednakże nie był podobnym do nowoczesnych blokhauzów, chociaż warunkami zbliżał się do nich zupełnie, każda bowiem jego strona mogła i bronić się sama i być wspieraną przez pomocne. Do zewnętrznego muru nie przypierał, ale ten mur nad takim wisiał urwiskiem, że z tej strony przystęp był niepodobnym. Z tego powodu, miejsce pomiędzy budynkiem a murem zamienionem było na ogród, reszta zaś otaczającego budynek do koła placu urządzona była tak, że na każdym punkcie krzyżowały się ognie, tak z gotyckich okien jak ze strzelnic, z kruzganków i wieżyczek.

Zabudowanie zamkowe było obszerne, składające się z kilkunastu na dole i z kilkunastu na górze pokoi, nie wliczając w to wieżyczkowych i rozmaitych pobocznych przybudowań. *Summa sumarum*, można było naliczyć w niém przeszło pięćdziesiąt większych i mniejszych komnat, pomiędzy którymi było cztery obszerne sale, z galeryami dla kapeli, zwiastujące, że pod zamkowemi sklepieniami nie same tylko surowe, chrapliwe wojenne rozlegały się odgłosy.

Wewnętrzne umeblowanie i ubranie, sądząc o niém wedle dzisiejszych wyobrażeń, nazwalibyśmy prostém, dla tego, że nie składało się z filigranowych kanapek, kozetek, fotelów, etc.; ale jak na siedemnasty wiek, na tę porę, w której jeszcze Ludwik XIVty nie przyszedł był na świat, było ono pyszném. W niém bowiem nad gustem przemagało bogactwo. Mahonie, hebany i palisandry grubo były ociosane, ale były to zawsze mahonie, hebany i palisandry, a na nich złoto i perłowa macica nie w cieniutkich blaszkach, lecz massif były inskrustowane, a pokrywały je perskie tyftyki i grube aksamity, ozdobione prawdziwie złotemi frenzlami i kutasami. A jeżeli gdzie jaki kamień był umieszczonym, to nie w imitacyi, lecz w istotnej swojej postaci i naturze. Naprzykład, poręczce niektóre osypaue były w esy i floresy rubinami i turkusami; więc nie były to naśladowania, ale najprawdziwsze drogie kamienie.

Nad ozdobami ścian nie będę się rozwodził. Obra-

zów na nich było nie wiele, tylko po największej części familijne, albo z historyi świętej, ale za to przeciążały je ozdoby architektoniczne: gzymsy, rzeźby, sztukaterye, mozaikowe wykładania i malowania.

Jednym słowem, wewnątrz zamku Kamienieckiego było co widzieć, było na czem usiąść, było się na czem położyć. Zamek ten dałby się nazwać piękną, wyłoczną, wyczyszczoną i zaopatrzoną we wszystkie wygody klatką, w której ludzie-ptacy mogli sobie jak w rajach przemieszkwać.

Przemieszkujący wszakże w nim ludzie nie byli wcale ptakami. Ani starosta bowiem, ani staroscina nic ptasiego nie mieli w sobie. Starosta był poważnym, statecznym i nie pierwszej już młodości człowiekiem; staroscina była poważną, stateczną i nie pierwszej już młodości niewiastą. Ptaszkiem jedną chyba starosciankę możnaby nazwać, a staroscianką była owa młodziutka blondynka, której tak się zachciało poznać tajemnicę, jaka otaczała naszego bohatera.

Ze starostą poznamy się bliżej w okolicznościach, które go lepiej uwydatnią. Teraz zaś, dla scharakteryzowania go, dodamy tylko, że był to mąż rycerski, dobry— jakbyśmy dzisiaj powiedzieli sposobem— jenerał, ale jenerał-obywatel, albo raczej, jenerał-polityk, umiejący i wojsko i interesa prowadzić. Dowodem tego było to, że Zamojski, osadziwszy przed pięciu laty na multańskim gospodarstwie Mohylę, starostę Kamienieckiego wybrał dla doglądania multańskich spraw. Do-

glądał ich Potocki przez cztery lata, w przeciągu których szczęśliwie piórem i orężem na przemian wojował. W 1599 roku nie powiodło mu się wprawdzie z Michałem, lecz nie on temu był winien. W cztery tysiące ludzi nie mógł oprzeć się kilkudziesięciotysięcznemu wojsku, prowadzonemu przez takiego jak Michaj-woda wodza. Doznał porażki, cofnął się, rzucił garnizon do Chocimia i urządził obronę onego, a z resztą przeprawił się przez Dniestr i wszedł do Kamieńca, który także do obrony przysposobił, i w którym oczekiwał na dalszy rozwój sprawy mołdawskiej.

Powiadają, że o ludziach nie źle można sądzić wedle ich uczynków. Z tego przeto pobieżnego przeglądu czynów Jana Potockiego można o nim dobre powziąć wyobrażenie— przynajmniej nie daremnie pędził żywot. Obecnie, po trudach i znojach dyplomatyczno-wojennej pracy, wypoczywał na łonie rodziny.

O starościnie powiedzić można, że ona przez całe swoje życie wypoczywała. Możliwy ją chwalić temi ogólnikami, które do każdej bogatej pani w podeszłym wieku zastosować się dadzą: zacna matrona, poważna pani, wzorowa małżonka i matka. Ale każda pani, gdy podstarzeje, staje się zącną, gdy nabierze tuszy, której starościnie nie brakło, poważnieje, gdy grzeszyć nie może, wzorowieje jako małżonka, a gdy wszystkie te cnoty zdobędzie, wzorowieje i jako matka. Wszystkie więc te cnoty posiadała starościna naturalnym, że tak się wyrażę, sposobem, samo przez się, z tego tylko powo-

du, że była bogatą, niemłodą i dobrej tuszy. Wydatną jednakże, cechową właściwością jej charakteru było ciągle, ani na chwilę nie ustające wypoczywanie.

Wszystko ją męczyło. Przeszła przez pokój— i wypoczywała; poszła do kościoła— i wypoczywała; przejechała się w wygodnej kolebce— i wypoczywała; zjadła co— i wypoczywała; wstała ze snu— i wypoczywała,— wszędzie i zawsze ta pani wypoczywała, a spytać się po czém?... Wielkim byłby ambaras dla tego co na to zapytanie chciałby odpowiedzieć, a odpowiedzieć prawdę. Bo gdy odpoczynek weźmiemy tak, jak on się brać powinien, to jest jako nagrodę po pracy i zapytamy: a czy pracowała?...— to na to wypadaloby zmilczeć i wzruszyć ramionami, ale nieznacznie, aby się wielka pani nie obraziła. Jak boży dzień, od rana do wieczora, starościna nic a nic nie robiła, wyjąwszy tych godzin, w których zajęta była toaletą, ale i to nie ona, lecz około niej służebne robiły. Ona objawiała tylko wolę swoją, a te ostatnie wykonywały.

A w objawianiu woli posiadała starościna pewien sobie właściwy sposób. Była surową. To podnosiło jej powagę, która w równej mierze, tak w alkowie, jako też na recepcjonalnych pokojach się utrzymywała. Z tego powodu dworzanie i dworne panie z wielkiem byli dla niej uszanowaniem.

O starościance nic nie powiem: ona bowiem, chociaż znakomitą na zamkowych pokojach grała rolę, ale w po-

wieści naszej tak mało zajmie miejsca, że wolę o niej przemilczeć.

Ledwiebym się nie założył, że gdy przy opisie pierwszego wystąpienia Kuźmy na salonie, wspomniałem o rozciekawionej do niego blondynce, nie jednej z czytelniczek wydało się, iż ta blondynka nie bez kozery rozciekawiła się do Kuźmy; a gdy jeszcze w następstwie pokazało się, że ona starościanka, to romansowa awantura była już gotowa,— i awantura niepospolita, wielkiej pani z prostym chłopem.

Owoż, uprzedzić muszę, że jeżeli i nastąpi jaka awantura, to w niej starościanka żadnej, nawet biernej roli nie odegra. Pozostanie ona na stronie, a na scenę wystąpi ta szatynka, co to ze wszystkich pań naj-obojętniej na bohatera naszego spoglądała. Ona bo nie tylko obojętnie spoglądała, ale, po odejściu Kuźmy, obojętnie o nim mówiła, i to wówczas, kiedy wszystkie panie tak się rozgadały, że aż rumieńców dostały.

Przedmiotem rozmowy był rozumie się Kuźma. Toczyła się ona pomiędzy dwiema pleciami, zgromadzone-
mi w komnacie, w ten sposób, że pleć piękna była bro-
niącą, a pleć niepiękna napastującą. Obrona i napaść
tyczyły się osoby naszego bohatera.

Dworzanie nie wiedzieli kto on taki, utrzymywali jednakże, że najmniejsza nie otacza go tajemnica.

— Cóż w tym może być tajemniczego?...— powiadał jeden.— Jakiś szlachcic z głuchego kąta Ukrainy, zadomowany i sprostaczały, przyjechał na dwór staro-

sty, w celu zaciągnięcia się do jegomości pana starosty roty... Czyż to jeden szlachcic przyjeżdża, teraz szczególnie, kiedy rozpoczyna się wojna!... Cóż w tém tajemniczego!...

— Ale, kto on taki?..— spytała jedna z pań.

— Kto?..— odparł dworzanin— szlachcic, jak wielu innych, z tym tylko dodatkiem, że niekatolik...

— Niekatolik!..— powtórzyły panie niedowierzająco i nieco niechętnie, i umilkły na chwilę.

Wrażenie to jednakże wypadło snadź na korzyść naszego bohatera, bo jedna z nich westchnęła i rzekła:

— Cóż on temu winien!...

A druga dodała:

— To nie przeszkadza, aby do niego coś zagadkowego nie było przywiązaniem...

A trzecia wtrąciła:

— Po nim to widać, że on jakieś nadzwyczajne przechodzić musiał koleje...

— Ach! jakże o tém chciałabym wiedzieć!..— odezwiała się starościanka.

— Jeżeli jejmość panna starościanka rozkaże, natychmiast się dowiem...— oświadczył z grzecznym ukłonem za hiszpana przebrany dworzanin.

— Jakże się pan dowie?..— zapytała panienska.

— Jak?.. najłatwiej w świecie... Pójdę do pana Jeża i zapytam go...

Na te słowa, z ust wszystkich pań padło jedno chóralne:

A!..

A starościna odezwała się:

— Byłoby to niedyskretnie... Może pan Jeź potrzebuje tajemnicy...

I odetchnęła i poczęła wypoczywać.

— Taką rzeczą nie będę o niej wiedziała... A takbym chciała wiedzieć!..— rzekła starościanka.

— Odkryje on ją sam.,— wtrącił inny, z zawieszonym wąsem w węgierskiej bekieszy dworzanin i chrząknął, z miną, jakby on przez połowę posiadał ową tajemnicę, albo przynajmniej pewnym był posiadania jej.

— Co tu za tajemnica!..— odezwał się znów ten sam, co powiadał, że nie ma żadnej.— Przecież Jmć pan Lisowski przedstawił go publicznie...

— Przedstawił!.. przedstawił!..— przerwało kilka pań. tonem takim, jakby chciały powiedzieć:

— To cóż z tego!.. to jeszcze nie dosyć!..

Szatynka nie odezwała się.

Była to młoda i bardzo przystojna kobieta, ale już kobieta, nieprzejrzała wprawdzie, lecz do młodziutkich liczyć się nie mogąca. W powierzchowności jej, w układzie, w stroju, widać było coś odmiennego jak w innych, coś takiego, co uderzało powagą i smutkiem. Inne strojnemi były w kwiaty i jasne barwy: ona jedną tylko różę we włosach miała, która dziwnym jakimś kontrastem odbijała od czarnego czepca, który więził bujne jej warkocze, wpółrozwinętą, dziewiczą różę, a smukłą, wyniosłą jej postać okrywała ciemna suknia,

krojem nieco do zakonnój zblizona. Było w niej coś pociągającego. W naszych czasach oznacza się to francuzkiem *interessante*, co jest technicznym wyrazem, który nie da się dosłownie na polskie przetłómaczyć, a który znaczy, że popatrzysz na nią raz, wzrok mimowolnie przykuwał się do niej i ciągle chciało się na nią patrzeć.

Zajmująca ta niewiasta nazywała się Imćpani Barbara Wolska, z domu Kuropatwianka.

Więc nie była panną. Nie była jednakże mężatką: mąż jęj bowiem, porucznik husarskiej roty starosty Kamienieckiego, zginął przed czterema laty w potrzebie z Wołochy, przeżywszy z nią niespełna pół roku. Ledwie za niego wyszła, aliści już się go pozbyła. Ze ślubnego prawie kobierca zeszedłszy, wsiadł Wolski na koń i nie powrócił więcej do swojej Basi, która go szczerze kochała, i raz zaprzysięgłszy mu wierność, dochowywała wierności pamięci jego. Imćpani Wolska była ładna, młoda i nie uboga. Parę wiosek w Bracławskiem województwie liczyło się na nią. Miała więc dużo takich, co się o jęj rękę ubiegało; ale obdarzwszy w początkach kilku koszykami, potem już i koszyków rozdawać nie potrzebowała, bo nikt nie odważał się jęj oświadczyć. Mężczyźni nazywali ją »niezdobytą fortecą« i nie kusili się o nią, a kobiety wielce cenily jęj rady, bo słynęła z dowcipu i rozumu i stojąc na stanowisku neutralném, to jest, nie mając żadnych małżeńskich widoków, umiała nader trafnie osą-

dzieć męzkie zalety. Z tej przyczyny pannom na wydaniu, których nie mała liczba na dworze starosty przebywała, służyła jako ogólna doradczyni. Z tej także przyczyny starosta i staroscina chętnem okiem obok córki ją widzieli. Niechętnie na nią spoglądali dworzanie, lecz musieli ją nie tylko tolerować, ale nadskakiwać jej, a niektórzy z nich, w tajemnej głębi przekonania swego, przez wzgląd na jej ukraińskie wioski i na zachowanie u starosty i starosciny, żywili tę słodką nadzieję, że:

— Podda się kiedyś forteca ta...

Ta nadzieja szkodziła nie jednej pannie na wydaniu. Nie jeden bowiem kawaler, usposobiony dostatecznie do zawarcia związku małżeńskiego, zamiast zawiązywać go z panną, czekał na wdowę, myśląc sobie:

— Poczekam..... doczekam się... Przyjdzie, powiadają, kreska na Matyska: tak przyjdzie i na Jmępanią Wolską ochota do powtórnego związku, a wówczas, mnie wybierze...

I było takich kilku, co pocieszali się myślą:

— Mnie wybierze...

Tajemnie o tem myśleli, a jednakże raz zdradzili się, wszyscy od razu.

Było to przy marszałkowskim stole, kiedy podpiwszy sobie z powodu jakiejś okazji, o jaką (powiedzmy nawiasem) wcale trudno nie było, wszczęli rozmowę o

dwornych paniach. Ten wychwalał tę, ów owę, albo też ten i ów przekąśliwie o tej i owej się odzywał. Znalazło się, że wszystkie posiadały i zalety i wady.

— Ot, jedna Wolska nie ma żadnej wady...— odezwał się jeden.

— Tak się waszmości zdaje, dla tego zapewne że Wolska...— odparł mu któryś.

To »dla tego zapewne że Wolska« powiedzianem było z tej przyczyny, że ten co objawił piękną wdowę bez wady nazywał się także Wolskim.

— O, to nie nie znaczy!...— podchwycił Wolski.— Ona mi żadna pokrewna... Nieboszczyk jej mąż był nawet innego herbu... On był Junosza a ja Kozlerogi... Wolscy są dziewięciu herbów w dziewięciu rodzinach... Gdybym chciał Jmćpanią Wolską poślubić, to nie potrzebowałbym żadnej dyspensy...

— Tylko od niej samej...— wtrącił któryś— a ta zda się najtrudniejsza...

— Oho!...— krzyknął Wolski, mający nieco w czubku.— Komuś się może zdawać, że najtrudniejsza, ale nie mnie!..

— Ani mnie!..— dodał ten sam, cośmy go w hiszpańskim stroju na pokojach widzieli, a który nazywał się Piotr Słupski herbu Topór.

Wolski z ukosa, jak powiadają, basem spojrział na Słupskiego i bąknął sobie pod nosem:

— *Nie dla psa koubasa...*

A tymczasem trzech jeszcze innych oświadczyło, że nie myślą, aby dyspensa na małżeństwo miała być nadér trudną, ze strony pani Wolskiej. Jeden nawet taką w tym względzie wyłożył teorię:

— Każda białogłowa przeznaczoną jest albo do klasztoru, albo do stanu małżeńskiego... Pani Wolska głośno i otwarcie o tém mówi, że do klasztoru nie pójdzie, a więc pójdzie za mąż, tém bardziej, że w krótkim pożyciu z nieboszczykiem, nie miała czasu nasyć się słodyczą tego stanu... Teraz ona się droży, bo jest jeszcze młoda i bardzo piękna; lecz niechno młodość pocznie przemijać, a lata pierwszym zmarszczkiem czoło naznaczą, to sama będzie się za kawalerami oglądać... A wówczas...

— A wówczas!..— krzyknął Wolski, uderzając się dłonią po piersi— ja mam najpierwsze prawo, bo ze mną dla niej niby w dalszym ciągu pierwsze małżeństwo!... I ona Wolska i ja Wolski!...

— Cha, cha, cha!..— odpowiedziało mu cztery piersi szyderezco, a jeden ze śmiejących się odezwał:

— Dobra racya!...

Powstała zwada. Pięciu wielbicieli pani Wolskiej skłócili się najprzód ze sobą, a potem porąbali.

A gdy się oni kłócili i rąbali, z boku, w milczeniu, przypatrywał się im Włoch, harfiarz, który na dworze

starosty grywał i śpiewywał. Przypatrując się ruszał ustami, jakby coś cicho sam do siebie mówił. On powtórzył ułożony przez siebie siedmiowiersz, w którym pierwszy wiersz zaczynał się od litery B, drugi od A, trzeci od R, czwarty od B, piąty od A, szósty od R, a siódmy od A.

VI.

Przez całych cztery tygodnie bawił nasz Kuźma w Kamieńcu, podejmowany jako gość w starościńskim zamku, i czas ten wystarczył mu na oswojenie się z wielkim światem. Wszakże to oswojenie się jego było więcej negatywnem jak dodatniem. Kuźma potrafił nie czynić tego, co wielki świat zabrania, nie umiał jednakże czynić to, czego on wymaga. Dla tego starał się być zawsze w cieniu: nie mieszał się do zabaw i rozmów, trzymał się z daleka, przypatrywał się i przysłuchiwał i przez to postawił się w roli spektatora, przed którym odegrywało się wielkoświatowe widowisko.

Taka rola była dla niego wygodną i niewygodną.

Wygodną: bo nie narażała go na kompromitacye, których, gdyby sam był aktorem, nie mógłby uniknąć.

Nie wygodną: bo oderwawszy go na stronę, nie zupeł-

nie osłoniła cieniem, a to z tój przyczyny, że osobistość jego okrywała zagadkowość. Z powodu więc tój zagadkowości, on sam stał się widowiskiem dla całego wielkiego świata; będąc postrzegaczem, był zarazem postrzeganym, a stosunek jego jako postrzegacza do postrzeganego był taki, jak jeden do mnogości. Sam jeden wystawionym był na nieustające kilkudziesięciu par oczu śledztwo, tём dla niego przykrzejsze, że ciekawością zaprawione.

Jako postrzegacz, nie od razu potrafił on w tłumie pojedyncze wyróżnić postaci. Z początku wszystkie osoby, wraz z meblami i pokojowemi ozdobami, przedstawiały się mu jako jedna mętna całość, -zupełnie tak, jak od pierwszego oka rzutu przedstawiają się nam obrazy na wystawach. Wszystko to kręciło się przed nim, przesuwalo, ruszało, a on nie umiał sobie z tego wszystkiego zdać sprawy. Widział panów i panie i chętniej patrzył na te ostatnie, ale nie wiedział jeszcze, która ładniejsza, a która brzydsza, która młodsza, a która starsza, i gdyby przyszło się mu wybierać, to powiedziałby komplement, który od czasu jak są komplementa w użyciu, byłby pierwszym niesklamany: powiedziałby bowiem, że

— Wszystkie młode i ładne...

Zabawy i rozmowy żywo go interesowały, chociaż pierwszych wcale nie, a drugie mało co rozumiał. Język nie był mu obcym, lecz sposobu wyrażania się nie mógł myślą pochwycić, bo nie mógł jakoś przypuścić,

że w salonach mówi się o niczym. Kiedy np. o kochaniu toczył się dyskurs, długi i szeroki, to jemu w głosie pomieścić się nie mogło, aby o takiej rzeczy można było tak długo gadać.

«On z kochaniem nie żartował, kiedy kochał to całował»—a tu gadali, gadali, rozprawiali, rozwodzili się, oglądali miłość, to z téj to z owéj strony, bawili się z nią niby kot z myszą, jedni jéj bronili, drudzy na nią napadali, wdychali, śmieli się i oczy zawracali,— i kończyło się na niczym.

Chciał już Kuźma splunąć i powiedzieć:

— Tfu! cur z nimi!.. mieli o czym tak długo bałakac!..

Lecz pamiętny na przestrogę Lisowskiego, tylko odsapnął (może westchnął na wspomnienie Jerynki) i zmilczał.

Nie zawsze milczenie było mu na rękę. Nieraz tak szczerze chciało mu się odezwać i—jak mu się zdawało—coś na rozum tym wielkim paniom i panom powiedzieć, że mu aż język z po za zębów wyskakiwał i ślina do ust napływała. Milczał jednakże, a najchętniej wówczas, kiedy wszyscy milczeli, bo wówczas kiedy wszyscy milczeli, bez dystrakcyi przyglądał się wielkoświatowym postaciom, niby lalkom na wystawie i odróżniał twarze od twarzy.

Takie milczenie zdarzało się bardzo rzadko, ale się zdarzało. Hasłami na nie były chwile, w których się instrument harfjarza odzywał. Damy zasiadały zwykle półkolem, mężczyźni, jedni stawali za dam krzesłami, drudzy cofali się w głąb komnaty. Środek pozostawał wo-

lnym i na środku pojawiała się harfa a obok niej Włoch. Włoch siadał na stołku, stawiał harfę przed sobą i puszczął po niej palce. Tony zrazu się mąciły, potem zlewały się w akordy melodyi. Słuchacze poschylali głowy i milczeli. Czasem z piersi Włocha wypłynęła pieśń, zawsze rzewna i tęskna. Jużto ten Włoch nigdy nie wesołego nie grywał ani śpiewywał. Czasami coś skocznego mu się wyrwało; lecz to bywało tylko preludium, skoczne dla tego, aby to co nastąpi tém smętniej się wydało.

Kuźma lubił Włocha słuchać, a słuchając, lubił mu się przypatrywać. Z tego powodu, w całym towarzystwie, jakie pod dachem starostwa gościło, jego jednego najlepiej i najpierw z powierzchowności znał. I jakąś sympatyę czuł do jego powierzchowności. Podobał mu się czarny, aksamitny jego ubiór, nafałdowany a krótki, odbijający od białych jak śnieg pończoch i białej, malutkiej kryzki, szyję mu otaczającej. Podobały mu się czarne, lśniące się, w pierścienie na barki spadające włosy. Podobała mu się blada, naznaczona wyrazem boleści czy melancholii twarz i czarne, wyraziste a ogniste oczy. I lubił patrzeć na śpiewaka, jak na jakąś istotę niezwykłą, jak na jakoweś dziwo; dziwném bowiem bohaterowi naszemu wydało się to jego pieśniarstwo, to chowanie się za harfę, to—że się tak wyrażę—uharfianie się człowieka. Pieśniarz i mężczyzna: dwa te pojęcia, nie zdawało się mu, aby mogły zlać się w jedno.

— Pieśniarzem-mężczyzną—myślał sobie—można być chyba na starość, gdy człek zaniemoże i pracować nie

zdola, więc bierze lirę i rusza pomiędzy ludzi... śpiewa a ludzie mu, ten grosz rzuci, ten kawałek chleba do torby włoży... Ale być pieśniarzem z professyi, młodym i zdrowym!..

Tego nie mógł Kuźma pojąć. I dla tego zawsze ten Włoch z harfą wielce go interesował, i dla tego zawsze pilnie mu się przypatrywał.

Co on śpiewał, tego bohater nasz nie rozumiał. Polubił jednakże tęskną jego pieśni nutę a przypatrując się mu, dostrzegł, że zawsze usiada jednakowo: nieco ukośnie do półkola dam, od których zakrywa się harfą, przytula do harfy głowę i w jeden punkt wlepia wzrok.

Powtórzyło się to razy parę. Za trzecim razem, Kuźma mimowolnie powiódł okiem w kierunku wzroku śpiewaka i spotkał postać pięknej wdowy.

Nazajutrz powtórzył to samo i znów ta sama postać była punktem wpatrzenia się dla Włocha.

— To samo powtórzyło się w następnym dniu i zawsze,—i zawsze śpiewak tak siadał, że zakryty harfą od wszystkich pań, jedną tylko Barbarę Wolską miał przed oczyma.

Postrzeżenie to stało się powodem, że bohater nasz drugą w tłumie starościańskich dworzan, począł wyróżniać postać. Zaczął się pani Wolskiej przypatrywać.

Ta od razu więcej i inaczej podobała mu się niż Włoch, i nawet zdziwił się, że dotychczas jej nie widział. Wdowa miała w sobie coś ujmująco-dobrego. Lecz przeniółszy uwagę swoją ze śpiewaka na nią i powracając

często oczami od niej do śpiewaka, mimowolnie w wyobraźni swojej ożenił dwie te istoty w taki sposób, że piękna Barbara wydała się mu wcieleniem Włocha w pieśni. Pieśń ta była melancholijna i jakaś powiewna, i wdowa była melancholijna i jakaś powiewna, i tak jak coś w piersi drżało mu, gdy melodyjnym pojękiem dźwięczały tony włoskich nut, tak samo drżało mu coś w piersi, gdy promieniami wzroku oblewał postać pani Wolskiej. Pomiedzy nim a nią i pieśnią Włocha urodziła się czy odezwała jakaś tajemna sympatya, przeciągnęła się jakaś pajęcza nitka, która ich troje—Kuźmę, wdowę i pieśń—opłatała spólczuciem. Końce tej nitki—rozumie się—były w sercu samego tylko Kuźmy. Czy ją—tę sympatyczną nitkę—czuła wdowa na sobie?—o tém jeszcze nie wiemy. A co się tyczy pieśni, to ta dźwięczała dla wszystkich, chociaż może dla jejdnej Barbary była śpiewaną.

W ciągu postrzeżeń nad Włochem i wdową, przyszło na myśl Kuźmie zapytanie:

— Czy ta piękna pani spogląda na Włocha, a jeżeli spogląda, to jak?..

Przypatrywał się jej pilnie i nigdy nie dostrzegł, aby wzrok jej dłużej nad przelotne mignięcie spoczął na harfiarzu. Ale za to co innego dostrzedz mu się udało, a mianowicie: że wzrok pięknej pani często bardzo z jego spotyka się wzrokiem. Z początku, po każdym takiem spotkaniu, nie wiedział co się stawało: powieki mu spadały, jakby od spojrzenia na słońce, wzrok mu się rzęsami zasłaniał i po niejakiem dopiero czasie, nieśmiało

podnosił się, a zawsze na wdowę. Po takim spotkaniu w uszach mu głuchło, nie słyszał pieśni. Lecz powoli wzrok jego, jakby hartu począł nabierać. Powieki coraz rzadziej spadały. W końcu przyszło do tego, że Kuźma i wdowa, bez znużenia powiek, patrzyli na siebie po kilka minut wciąż.

— Czego ona tak na mnie oczy wyszczerza?..— spytał raz Kuźma sam siebie.

— Czego on się mnie tak pilnie przypatruje?..— spytała raz wdowa sama siebie.

— Niczego kobieta....— powiedział sobie Kuźma.

— Jest w nim coś, co go od tłumu tych napuszonych lalek odróżnia...— powiedziała sobie wdowa.

Ale Kuźmie stanęła w myśli Jerynka, wdowie nieboszczyk jej mąż i skończyło się na tem — że coraz śmiej i śmiej w oczy sobie patrzyli.

A signor Gerolamo Buonacorsi wzdychał, grał i śpiewał.

A gdy nie grał i nie śpiewał, to wzdychał, ale gdzieś w kącie. On także, jak nasz Kuźma, był ciągle na stronie, z tą jednakże różnicą, że nikt na niego nie zważał. Więc stawał, opierał się o gzyms komina lub o jakąś kolumnę, przybierał postawę głęboko zadumanego i wpatrywał się w przedmiot swoich westchnień, którym i przy harfie i bez harfy była zawsze pani Wolska.

Czasami zdarzało się, że harflarz z nią rozmawiał.

— O, signora...— mówił — nie wiesz, ile serce moje zawiera wdzięczności dla ciebie...

— Za co?...— pytała piękna.

— Za natchnienie... Póki ciebie, signora nie znałem, póty byłem śpiewakiem z rzemiosła... Bóg niby ptaka obdarzył pierś moją głosem, ludzie mi płacili, i śpiewałem... Dziś śpiewam z natchnienia...

— Pan pięknie śpiewa...—mówiła wdowa, tym zimnym pochwały tonem, którym powiada się szewcowi np.

— Dobrze kochanku robisz buty...

— Moja pieśń jest tobą, o signora...—odpowiadał na to Włoch z westchnieniem.—Jeżeli ona piękna, to dla tego, żeś ty piękna...

Barbara odwracała się wówczas i oddalała. Harfiarz ścigał ją oczami i wzdychał.

Raz, po podobnej rozmowie, zirytowana trochę pani Wolska, bo ona lubiła pieśni Włocha, ale nie myślała aż sercem wynadgradzać za nie pieśniarza, o co ten bardzo wyraźnie się dobijał, raz zirytowana, odwróciła się i postąpiwszy kilka kroków, spotkała się z Kuźmą, który stał we framudze okna. Ona ku temu samemu właśnie szła oknu, w chęci odetchnienia świeżem powietrzem i rzucenia okiem na okolicę. Kuźma ustąpił jej miejsca, lecz nie odszedł.

Wdowa popatrzyła na okolicę i raptem, zwracając się do Kuźmy, w ten sposób go zaczęła:

— Lubi pan piękne widoki?...

— O, bardzo...—odparł nasz bohater, splątany nieco językiem.

— Widział pan piękniejsze od tych?..

— Widziałem...

- Gdzie?...
 — Na Rusi...
 — W którym miejscu?..
 — W mojem rodzinném...
 — Doprawdy, piękniejsze!.. — rzekła wdowa z akcentem niedowierzania czy zdziwienia.

— Piękniejsze...—odrzekł Kuźma — Bo te, gdy je opuszczę i znów się z nimi zobaczę, do łez mnie nie poruszą, a na tamte, gdy je ujrzę z powrotem, to już teraz czuję, że zapłacę...

Wdowa spojrzała mu w oczy, popatrzyła przez chwilę, pomilczała i powiedziała, niby do siebie:

— To prawda — bo nie to piękne co ludzie pięknem nazywają, ale to co nas wzrusza...

Bohater nasz kiwnął głową, lecz nic jej nie odpowiedział, bo gdzież jemu wdawać się było w rozmowę estetycznej treści.

— Pan taki milczący!...—odezwała się wdowa.—

— O czém że będę gadał!..—pochwycił Kuźma.

— Nie ma o czém... Pan masz słusność...

Tu przerwał rozmowę za hiszpana przebraay Słupski który gładząc hiszpankę i zlekka poprawiając mocno nawoskowane wąsy, oznajmił pani Wolskiej, że wielką jedną odkrył tajemnicę.

— Jaką?...— spytała wdowa od niechcenia.

— Niech jejmość pani raczy się pofatygować, to jej pokażę...— z zawieszistym ukłonem wygłosił pan Słupski.

— Jakieś zapewne niedorzeczństwo... — szapnęła piękna wdowa.

Grzeczność jednakże kazała usłuchać takiego uroczego wezwania. Więc poszła.

Kuźmie jakoś słodko i miło się zrobiło.

Wyrazy wymówione do niego przez panią Wolską, niby tony archanielskiej jakiejś kapelli, w uszach mu brzmiały. Ona mówiła takim srebrzystym a czystym, a nawskróś przenikającym głosem. Już mu się zdawało, że żadna włoska muzyka, żeby była najcudniejszą, już mu się podobać nie w stanie.

Ze strony pani Wolskiej było prawie to samo, w mniejszym tylko stopniu.

— Ten, to co innego... — mówiła sobie, — ten to nie sroka, pochylająca się według zwyczaju na tę lub ową stronę i powtarzająca same wyuczone rzeczy... Jest w nim coś swego, coś oryginalnego... Nie ma tego nieznośnego nadskakiwania, którem nas mężczyźni niby jałmużną obсыпају... Lisowski pierwszego sprowadził, ale wybrał po swojemu... O, ten Lisowski! w nim także czuć człowieka, a reszta...

Nie dopowiedziała pani Wolska ani nawet myślą, kiwnęła ręką i oglądała się za Kuźmą, ale go nigdzie nie było.

— Pani z nim mówiła?... — zapytała Wolską jedna z dwornych pań.

— Mówiłam...

— No, jakże?... —

— Wydaje się być lepszym od wszystkich którzy nam hołdują...

— Pani z nim mówiła?...— zapytała druga.

Takie same i tym podobne zapytania zadawały jej kolejno wszystkie dworne panie i wszystkim piękna wdowa zarekomendowała bohatera naszego, jako człowieka większej od wszystkich dworzan razem i każdego z nich z osobna wartości. Mówiła to śmiało i otwarcie, spuszczać się w dziewięciu dziesiątych częściach na trafność kobiecego swego przecucia: bo w tej ostatniej— jednej dziesiątej— na czém ona oprzeć się mogła?— Na dwóch czy trzech odpowiedziach Kuźmy?... Były to słabe bardzo i niepewne wiadome dane, aby z nich z pewnością wywnioskować było można wiadome. Pod tym jednakże względem kobiety są tak: czego nie wiedzą, tego się domyślają— i jakkolwiek pani Wolska wyższą była od pospolitych papug, które kobietami nazywają, przecież spuściła się na domysł i domysł ten za rzeczywistość wzięła. W jej przekonaniu, Kuźma był bardzo porządnym młodzieńcem, wiele na przyszłość obiecującym. A to jej przekonanie stało się ziarnem, które zapadłszy w przekonanie wszystkich dwornych pań, rozmaicie kielkować poczęło, łechcąc z różnych stron serduszka, te tak delikatne organa niewieściego życia. Parobek hryneński ani mógł się domyślać, na jaką on w salonowej sferze urósł raptem znakomitość. Nawet starościna raczyła postrzegać go z daleka, chociaż każde postrzeżenie męczyło ją i po każdym biedaczka musiała wypoczywać.

Ta dystynkcyja, jaką Kuźma został zaszczyconym, nie uszła uwagi dworzan, równie też, jak nie uszło mimo wiedzy ich to, że powodem onęj była pani Wolska.

— Oho!...— rozeszło się pomiędzy niemi— nowe to sitko na koleczku nie dozna losu wszystkich nowych sietek... Jejmość pani Wolska nikogo nie raczyła tak polecić powszechnym względem...

To postrzeżenie zafrapowało szczególnie adoratorów pani Wolskiej.

— Niezdobyta forteca poczyna okazywać takie symptomata, jakby chciała kapitulować...— było treścią ich myśli.

— Ale w czyje ręce skapituluje?..— było zapytaniem, które twardym stało się sękiem.

— Potrzeba ten sęk przerąbać.

— Oh! potrzeba!...— śpiewało im w duszy, ale wątpliwym jakimś głosem.

— Ten przybysz z za świata, ten mruk gotów ją mnie z przed nosa zabrać!...— tak mówił sobie pan Wolski i pan Słupski i trzej inni panowie.

I każdy z nich z osobna wziął przed się postanowienie, rycerskim sposobem dobijać się pięknej rączki— pięknej rzeczywiście: rączka bowiem i nóżka pani Wolskiej tak były małe i zgrabne i delikatne i śliczne, że od postaci niby drogie kamienie odbijały.

Jeden signor Gerolamo Buonacarsi nie nie mówił, a układał romanse i sonety i myślał wywalczyć piękność śpie-

wem. Dobrze on myślał: to sposób wcale nie zły i nie zawsze bezskuteczny.

Lecz za panem Wolskim, za panem Słupskim i za trzema innymi przemawiało starszeństwo. Im się zdawało, że w miłości to zupełnie tak jak w służbie wojskowej, gdzie za wysługę lat rozdają rangi.

Wolski, herbu Kozlerogi, polską łapą kręcił uwęgrzony swój wąs, chrząkał, spluwał i po cichu myślał a nawet głośno powiadał:

— Na tabakę starłbym tego, ktoby ośmielił się rękę po nią wyciągnąć!... Proszę kogo!... ja od tylu lat, od samej śmierci nieboszczyka... Oho! nikomu ani powąchać nie dam...

Słupski, herbu Topor, po cichu myślał i głośno powiadał to samo prawie co Wolski, tylko innemi trochę wyrazami, a to z téj przyczyny, że pierwszemu za narzędzie do « starcia na tabakę » służyć miała węgierska szabla, drugiemu zaś hiszpańska szpada.

Trzej inni także w tym guście myśleli i wyrażali się. A że oni pięciu głośno o tém odzywali się, więc pomiędzy nimiż pięciu spółzawodnictwo, a z niem i nieprzyjaźń zdeklarowały się.

Na spółzawodnictwie najwięcej cierpiała pani Wolska. Bo raptem oskoczona się ujrzała przez kilku argusów, którzy ją poczęli śledzić krok w krok i na każdym kroku drogę jej zastępywać. Nie mogła ruszyć się aby jeden przynajmniej z nich nie był przy niej; nie mogła ust otworzyć, aby który nie narzuczał się jej z odpowiedzią lub komple-

mentem, nie mogła oczu obrócić, aby na nią kilka par oczu nie patrzyło.

Niecierpliwiło ją to, z tego szczególnie względu, że pięciu tych panów zabarykadowało jej zupełnie swobodny przystęp do Kuźmy, którego chciała bliżej poznać i może sprawdzić to pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobił.

Niecierpliwiło ją to z tego także powodu, że wystawiało jej osobę na przedmiot rozmów, w których przypuszczenia, domysły i kombinacye zaczepiały o nią zębem salonowej krytyki, której ona przez lat tyle, z wielkiem dla siebie zadowoleniem, nie doznawała. Radaby przeto była, aby to tak i nadal pozostało, aby jej nie nagabywano, ba swatami, ba radami, ba protekcyami, a szczególnie temi ostatnimi.

Bo na dworach panów polskich, jak niegdyś na królewskich, stała małżeńskie w sferze dworskiej kojarzyły się za wysokim wpływem. Pan, a jeżeli pan ważniejszem był zajęty sprawami, to zwykle pani, była ogólną swachą, sprowadzającą tego z tą lub owego z ową. A ten i ów, ta i owa garnęli się pod jej skrzydła, bo przy tém można było jakąś krepłą łaski się pożywić, jakąś donacją lub dożywocie schwycić. Wierność służby i zasłużoność służyły w tej mierze jako pewien rodzaj regulatora: wierniejszym i zasłużeńszym dostawało się więcej, mniej wiernym i mniej zasłużonym, mniej. Oczewiście, jak zwykle u panów, miarą zasługi było pańskie upodobanie, do rozbudzenia którego potrzeba było— podchlebiać. Pod-

chlebstwo więc było rzemiosłem, w którym przedewszystkiem ćwiczyli się dworzanie.

Pochlebstwo, po dworach było rozmaitem, stosownie do tego, jakiego temperamentu był pan. Jeżeli on był uczonym, to dworzanie wertowali księgi i co słowo popisywali się z erudycją; jeżeli był nabożnym, to produkowali się przed nim modlitwami, postami, spowiedziami; jeżeli był rozwiązłym, to oddawali mu tego rodzaju przysługi, których wymieniać wyraźnie nie mogę; jeżeli był artystycznego humoru, to grali, śpiewali malowali; jeżeli był wesół, to weselili się, — smutny, to smucili się, — zawadyk, to rozbijali ludzi a buta granic nie miała.

Pan Potocki był dyplomatyczno-wojennym mężem, więc wszyscy dworzanie jego dyplomatyczno-wojennym przejęci byli duchem. Pani Potocka zaś wypoczywała po trudach: więc wszyscy dworzanie byli strudzeni, wzdychali do wypoczynku, a nie wypoczywali dla tego jedynie, że jejmość pani starościna usług ich potrzebowała a oni życie swoje na usługi jejmość pani poświęcili. Przytém pani Potocka lubiła wystawność, dobry ton, muzykę, śpiew i różne rozrywki, w których dla niesfatygowania się brała udział przez patrzenie i słuchanie; dworzanie sadzili się na elegancję, byli galantami i zachwycali się muzyką.

Gdy rzeczy stanęły tak, że wydało się, jakoby pani Wolska zwolniła nieco z anti-miłośnej surowości i że upadła nieprzystępność jej serca, natychmiast wszyscy dawni a przyczajeni pretendenci do jej ręki, najprzód posu-

nęli do niej, a potem zgarnęli się pod protekcyjne skrzydła starosty i starościny.

Ze starostą trudna była sprawa. Wręcz nie można mu było mówić, bo on czém inném a ważniejszém zajęty, miał na to taką znaną w dworskiej tradycyi odpowiedź:

— Waszmość wiesz, jak się zdobywają twierdze:.... fortelami i przemocą... W tém masz waśc wzór do zdobycia serca imćpani (albo) imćpanny... Ja przeszkadzać nie będę, ale sukursu nie dam, dla tego, że moje zbrojne siły inne mają przeznaczenie...

Po ślubie dopiero, jeżeli mu się spodobało, podpisywał dotacyę lub dożywocie, dla zdobycia których, tak jak dla zdobycia serca imćpani lub imćpanny, potrzeba było podstępów i fortelów używać,— ale tylko podstępów i fortelów, bo przemoc w tej mierze na nie się nie zdała.

Przemoc także nie zdała się i w obec pięknych serc. Bo jakże ją było wykonać?... Chyba moralnie, a pod moralnym względem, przemoc na fortele schodziła, na fortele, jakich miłość i bez porady starosty używała od wieków i używa.

Ze starostą więc nie było co robić.

Ze starościną było łatwiej, ale także nie bardzo łatwo. Z nią, z tém jej znużeniem nie mały był kłopot. Namówić ją na to, aby się trudziła, było niezmiernie trudnem do rozwiązania zadaniem, do rozwiązania którego potrzeba było tak rzecz urządzić, aby trud jej był jak najmniejszym. Potrzeba było dotrzeć z bliska do serca pa-

ni lub panny i mając już je prawie po sobie, udać się po ostateczne onego skłonienie do starościny, do której przechodziło się przez pośrednie wstawienie się panny Zatorskiej, stariej panny, zauszniczy, powiernicy i rówieśnicy starościny. Panna Zatorska przysposabiała grunt i dopiero kawaler przystępował do starościny, klękał przed nią na jedno kolano i tak zwykle wyrażał się:

—Wielmożna i wielce miłościwa jejmość pani starościno... U nóg jejmość pani składam powinne służby moje, ściele się do jej stópek i dłoniom wielmożnej a wielce miłościwej mojej pani powierzam sentymenta i affekta moje... Oto, bożek miłości, Kupido, ów syn Afrodyty greckiej, przeszył piersi moje strzałą i serce moje zajęło się ogniem miłości, której przedmiotem jest jejmość panna (lub pani) N... Owóz, pragnąc połączyć się z nią węzłem dozgonnym, klękam przed wielmożną a wielce miłościwą jejmość panią starościna, ściele się z powinnemi usługami i z hołdem u jej stópek i proszę wielmożnej a wielce miłościwej jejmość pani, abys raczyła jejmość pannie N... słówko za mną rzeknąć..

Starościna na to krótko:

— Dobrze... Wstań waszmość...

Kawaler wstawał a starościna dodawała:

— Tak jestem znużona... Ach!... — i oddawała się wypoczynkowi.

Kawaler wówczas przemówić musiał o tém, jak on głęboką przejętym jest wdzięcznością za tę łaskę, jaką mu jejmość pani starościna ma wyświadczyć i jak on za

jój trudy będzie trudami całego wylanego na jój usługi życia odpłacał.

Do starościny «dobrze» dodać należy mały komentarz. Oznaczało ono, nie tyle przemówienie dobrego słówka w interesie konkurującego dworzanina, ile poparcie jego sprawy dotykalnieszym niż słówko sposobem, mianowicie jakąś dotacyjką, skutkiem której piękne usta nie miałyby nie imépanu konkurentowi do zarzucenia.

— Nie do zarzucenia!... gotów kto z czytelników zdziwionym tonem zagadnąć— A jeżeli konkurent podobał się, to wszelkie możliwe zarzuty same przez się upadają...

O! i w owych wiekach piękności oglądały się nie tylko na to, co się podoba, ale także i na to, co użyteczne, i nie jedna tego była przekonania, że użyteczność męża zależy najprzód od majątku, a potem dopiero od innych zalet. Bywały wyjątki; zdarzało się— częściej może jak dziś— że miłość nie poddawała się materyalnym widokom; często jednakże poddawała się, i tak w stadłach kojarzonych pod szlacheckimi strzechami, gdzie częstokroć narzeczony dopiero w czasie zamiany pierścionków po raz pierwszy narzeczoną oglądał, jako też po pańskich dworach, wielką na majątek zwracano uwagę. Trzeba było coś mieć, ażeby módz podbić secce niewieście; a owo «coś mieć» przedstawiało się pod postacią wioski, gruntu, kapitaliku, lub zresztą na stałych jakich fundamentach opierającej się łaski pańskiej. Kawalerowie wprawdzie pocieszali się przysłowiem:

—«Słomiany chłopiec złotej wart panny»;— i na fantazyę powtarzali sobie z przyspiewkiem:

—«Wąs barabański, czupryna czerkieska,
Nie uważaj mościa panno, choć fortuna kiepska.»

Pomimo to jednakże panny i panie po większej części, a panowie ojcowie i panie matki zawsze, mniej zważali na wąs i czuprynę, a więcej nierównie na fortunę.

W duchu takich ogólnych wyobrażeń o związku małżeńskim, i przytém, wedle prawideł zastosowania tych wyobrażeń, przyjętych na dworze starosty Kamienieckiego, rozpoczęły się starania o rękę pani Wolskiej.

Staraiń tych było równocześnie pięć. Trzy jednakże z góry wykluczamy, jako takie które najmniejszej nadziei powodzenia za sobą nie miały i pozostawimy dwa: imię pana Wolskiego, rodowitego Polaka za Węgra przebranego, i imię pana Słupskiego, rodowitego także Polaka, za Hiszpana przebranego. Do tych wszakże dwóch dodać musimy trzeciego, signora Gerolamo, nie zadającego ubiorem kłamu swojej narodowości Włocha, poetę, harfiarza, śpiewaka, postępującego inną od dworzian drogą. Pozostanie więc nam trzy starania do rozpatrzenia. Kuźma zaś pozostaje na boku: on bowiem, nie tylko się nie starał, ale ani wiedział, jakiego jego obecność ruchu powodem się stała.

Imiępanowie Wolski i Słupski jednakowe prawie mieli za sobą prawa i nadzieje. Wolski był dawnym sługą, dworzaninem, walecznym w boju, skłonny do hałaburdy, dyplomatyżującym tak jakby szablą rąbał, co wywo-

ływało nieraz uśmiechy na usta starosty, uśmiechy, które dla Wolskiego były nieoszacowanymi oznakami zadowolenia, o które całemi duszy swojej siłami się starał. Starościna zaś przywykła do niego, jak się do codziennie widzianej figury przywyka, i była dla niego łaskawą, a on usiłował podbijać jej względy węgierskiem, zamaszystem nastawianiem się, w którym upatrywał najwyższy szczyt elegancyi.

Słupski nie tak jako dworzanin był dawnym, lecz za to posiadał dawniejszy od dawności przymiot, bo był jakimś dalekim samą starościny pokrewnym. Pokrewieństwo to wprawdzie dziesiątym— jak powiadają— było kołem w płocie; było jednakże zawsze pokrewieństwem, do którego imiępan Słupski mógł odwołać się w potrzebie. Wspierało je jego salonowe zachowanie się. Pod tym względem był to skończony kawaler, któremu, wedle owoczesnych o szarmanteryi pojęć, niczego nie brakło. Sama starościna, nie zważając na zmęczenie, mawiała o nim:

— Jakto zaraz widać, jaka w nim krew płynie..

Słupski chodził w trzewikach z klamrami, nosił dużą kryzę i kapelusz z piórem, starannie włosy, wąsy i brodkę układał, nosił cienką szpadę i z gracyą a powagą umiał się ukłonić, chodzić i przemawiać.

Ci dwaj, lieząc z pewnością na powodzenie, przypuścili szturm razem, a przypuścili go wprost do pięknej wdowy, bo wedle zwyczajów w starościńskim dworze zaprowadzonych, ją trzeba było skłonić pierwój a potem do-

piero za panny Zatorskiej pośrednictwem, pod wysoką udawać się protekcyę.

Szturmowali przez cały tydzień rozmaitemi sposobami, dobierali fortelów najsubtelniejszych.

Wolski przysiadł się i chrząkał i dowodził, co to za dziwna rzecz kiedy lew u nóg nimfy leży, a ta go delikatną dłonią po grzywie głaszcze. Lew mruczy a nimfa tylko się uśmiechnie i on król zwierząt mruczeć przestaje i staje się jak baranek łagodnym.

— Czy waszmość chciałbyś być lwem?...— zapytała go wdowa, kiedy on właśnie nad barankową lwa łagodnością się rozwodził i czule pięknej Barbarze w oczy spoglądał.

— O! hm!...— odpowiedział Wolski prostując się i sroząc— ale gdyby jejmość pani...

Chciał dodać:

— była nimfą ową...

I chciał coś jeszcze dodać i podobno u nóg nimfy się położyć; lecz pani Wolska przerwała mu:

— Czy waszmość chciałbyś być zwierzęciem?...

— O!...— odpowiedział Wolski i zmarszczył się i pomyślał:

— Gdyby to nie baba, tożbym jej odpowiedział, aźby jej sto jasnych świeczek w oczach stanęło!

Lecz mając do czynienia z płcią piękną, a do tego z przedmiotem konkurencyi swojej, po «o!» pomilczawszy przez chwilkę, dodał co następuje:

— Jejmość pani raczy żartować...

— Nie, jegomość panie Wolski, nie żartuję... Widzi mi się tylko, że waszmość chcesz być zwierzęciem, kiedy chcesz być lwem, bo lew, chociaż nazywają go królem zwierząt, ale jest zawsze zwierzęciem, a królewski tytuł, o którym on z pewnością nic nie wie, nic tu nie pomaga...

— Hm!...— chrząknął szlacheć mocno; zrobiło mu się jakoś nijako; nie wiedział co odpowiedzieć, a co najgorzej, tak się zbił z kontynansu, że nie mógł na dalszą zdobyć się rozmowę.

— Do kroć-set-milion-fur beczek!...— myślał sobie— gdyby to nie baba, tożbym jej odpowiedział!...

I milczał, a po chwili taką wymyślił konkluzję:

— Poczekaj ty trefniarko!... Zatrefnowałaś teraz ze mnie; ale niech-no ja z jejmości zatrefnuję, gdy będziesz już moją... O, będę jejmość w rękach mocno trzymał!..

I zaciskał kułaki, i usiłował zdobyć się choć na słów parę przemówienia, ale— ani rusz... Chrząkał tylko, marszczył brwi i wąs pokręcał.

— Waszmość wyrusza na wołoską wyprawę z jegomości panem starostą?...— zapytała pani Wolska.

— Oho! ot o co chodzi...— sam do siebie powiedział Wolski— pozbyła się na Wołoszy jednego Wolskiego, a teraz lęka się, aby nie pozbyła się drugiego...

I głośno odrzekł:

— To jest... jegomość pan starosta tego sobie życzy... Ale ja zawsze mówiłem, że z tymi Wołochami dobrocią nikt nie trafi do końca... Ja radziłem wyciąć wszystkich w pień

i dopiero kraj się uspokoi... Bo to, co to!.. E! nie słuchają mojej rady i ot, znów niepokój... Ja radziłem: w pień wszystko, to będzie...

W zapale zakrztusił się i pani Wolska dokończyła:

— Spokój... Prawdziwie, mnie nie pomału to dziwi, że tacy przecie rozumni ludzie, jak Hetman Zamojski, jak Starosta Kamieniecki, takich mądrych jak waszmościne rad nie słuchają.. Cóż może być nad to mędrszego: wyrznąć w pień i będzie spokój?... Zaprawdę... musi być spokój, gdy nikogo nie będzie do robienia niepokoju.... Zaprawdę, waszmość jesteś nader mądry człowiek... Czemu waszmości hetmanem nie zrobią...

— O!.. gdybym był hetmanem...— podchwycił Wolski— tobym tu natychmiast...

I machnął wyraziście ręką.

Wdowa się uśmiechnęła, tym uśmiechem, co to mieści w sobie zarazem i ironię i litość.

Wolski nie spostrzegł uśmiechu, ale spostrzegł się, że się wdał w niewłaściwą z białogłową rozmowę. Uciał więc na machnięciu ręką i pomyślawszy, że u białych głów »długie włosy, ale krótki rozum«, postanowił wznowie wynurzenie miłosnych afektów. Więc, westchnął i zakrył sobie gębę szeroką dłonią. Stało się to z tego powodu, że westchnienie zmieniło się na ziewnięcie: gęba szlachcica raptem się otwarła i wydarło się z niej coś nakształt:

— Abia....

Potem chrząknął i wasy podkręcił i chciał mówić,

ale tu właśnie trafił na sęk, którego ani sposób mu było rozrąbać językiem. Szablą to jeszcze możeby potrafił, i zapewne żeby potrafił— ale językiem ani rusz.— Co się nachrzakał i co się wąsów nakręcił,— natchnienie do wymówienia najtrudniejszego pierwszego wyrazu nie przychodziło, a jak na złość ciągle mu po głowie kręciło się o lwie i nimfie. Snadź, że jak student oracyi, wyuczył się na pamięć tej przemowy i nią sobie łeb zaćwiekował, i tak *ex-abrupto*, bez przygotowania, nie umiał zdobyć się na nic. Aż zgniewany, głośno krzyknął, splunął i zaklął do kroćset-fur-beczek...

— Czego waszmość tak klniesz, panie Wolski?...— zapytała piękna wdowa.

— Hum!...— odparł Wolski i w tej chwili, niby jasny z nieba promień, przyszło mu na myśl, że pani Wolska pytała się go o wyruszenie na wołoską wyprawę. Więc odpowiedział:

— Niech jejmość pani nic o tem złego nie trzyma... To mnie ta wołoska wyprawa tak guiewa... Wiem z góry, że i teraz mojej rady nie posłuchają i dla tej przyczyny z pewnością nie pójdę... Bo, czegoż mam isć tam, gdzie widzę, że źle czynią, a nie mogę temu zaradzić i na złe niepotrzebnie zdrowie moje mam tylko ryzykować... Niech jejmośćpani będzie spokojną: mnie nie spotka ten los, w tej przynajmniej potrzebie, co nieodżałowanej pamięci jejmość paninego nieboszczyka... Świeć panie nad duszą jego..

Wspomnienie o mężu wydeło pierś wdowy westchnie-

niem. Wolski to westchnienie wziął do siebie i jeszcze raz powtórzył:

— Niech jejmość pani, co się mnie tyczy, będzie zupełnie spokojną...

Pod tym względem zupełnie jestem spokojną...— odparła wdowa.— To tylko nie wydaje się mi dobrém, że waszmość odmawiasz pomocy swego ramienia...

— Obejdzie się tam bezemnie jednego...— podchwycił Wolski.

— Obyłoby się i bez pana Starosty...— odrzekła wdowa— a jednakże pan Starosta idzie i zapewne wydaje się mu, że go jego dworzanie nie odstąpią, a szczególnie tacy jak waszmość, co tak długo łaską jegomość-pana Starosty żyją... Może pan Starosta rady waszmościnej nie potrzebuje, ale ramienia potrzebuje, bo waszmość jesteś jeden z najwaleczniejszych... Są ludzie, których cała wartość w ramieniu: może i waszmość do rodzaju takich należysz...

Była to znów gorzka dla Wolskiego do zgryzienia pigułka. Nie było to już trefnowanie, ale coś daleko gorszego, jakaś nauczka, a taka, że mu gębę zamurowała.

Znów więc rozmowa się urwała. Wolski milczał i wdowa milczała, i milczeli oboje póty, póki harfiarz nie uderzył w struny. Wówczas Wolski chrząknął, podkręcił wąsa i rzekł:

— Ot, zaczynają się włoskie trele...

Włoch usadowił się, jak zwykle. Zasłonił się od

słuchaczy harfą i czarne oczy swoje utopił w Barbarze i puścił palce po strunach. Sklepienia zamkowe zabrzmiały czystym, męzkim, mocnym, śpiewem, który kręgami jakowéjs tęsknoty ścisnął piersi słuchaczy.

Wdowa się zamyśliła. Nie tajemem jéj było, jakie znaczenie miały nedorzecznosci przez Wolskiego wypowiedziane. Nie mogła jednakże domyślić się przyczyny, dla której adoratorowie jéj tak raptem natarczywymi się stali. Pogrążona w zadumie, ani spostrzegła jak w czasie śpiewania Włocha, zbliżył się po cichu pan Słupski i zajął miejsce opróżnione przez Wolskiego. Dowiedziała się o tém ze wzdychania, które mieszało się od czasu do czasu do akordów śpiewu i wraz z niemi unosiło się pod sklepienia.

Włoch skończył, odszedł i upozował postać swoją na przeciw pięknej Barbary. W komnacie wszczął się gwar rozmów, do których i rozmowa niewzajemnie w sobie rozkochanej pary się przymieszała.

— Jak ten Włoch ślicznie śpiewa...— rzekł Słupski.

— Cudnie...— odrzekła pani Wolska.

— Jejmość pani lubi śpiewy?...— zapytał Słupski.

— Bardzo, a szczególnie tego Włocha...— odpowiedziała pani Wolska.

— Wszelako ten Włoch nie potrafiłby wyśpiewać uczucia, którem moje serce przepelnione...— rzekł Słupski drżącym niby od wzruszenia głosem.

— Nie dziw....— zimno odparła wdowa— bo on wyśpiewuje swoje własne uczucie...

Gdyby Słupski wiedział o tém, o czém pani Wolska pod względem Włochowego uczucia wiedziała, byłby zrozumiał, że Włoch dobrze śpiewa. On jednakże o tém nie wiedział i wziął to za ogólnik na wiatr wypowiedziany. Ogólnik ten wszakże pomieszał mu szyki. Trzeba go było związać z przepelniającém serce jego uczuciem, co nie było tak łatwém jak się zdaje. Zdecydował się więc na:

— Ach!...

A do tego »ach« dodał co następuje:

— Włocha uczucie a moje uczucie, jakaż w tém wielka różnica!... Ja...

Tu wdowa mu przerwała:

— Niech mi waszmość wierzy, że uczucie pieśniarza jest silniejszém...

— Muszę jejmość pani wierzyć...

— To znów, nie...— przerwała jeszcze raz wdowa, usiłując wyraźnie zagadać konkurenta i nie dać mu przyjść do wymówienia tego wyrazu, który w miłości stanowi próg, albo raczej Rubikon, po przekroczeniu którego pół słówka, allegorye i przenośnie ustają, a rozpoczyna się coś nakształt otwartej wojny, kończącej się bądź dozgonną nieprzyjaźnią, bądź dozgonnym sojuszem.

— To znów, nie...— przerwała wdowa.— Nie rozumiem dla czego waszmość musiałbyś mi wierzyć... Kobieta jak mężczyzna względnie tylko na wiarogodność zasługuje...

— Przepraszam jejmość panią!...— przerwał Słup-

ski.— Kobiocie, przez samą grzeczność płci białej należną, wierzyć potrzeba...

Z tego powiedzenia wielce była uradowana pani Wolska, bo to dało jej sposobność odwrócić rozmowę od afektów do grzeczności i utrzymać ją w oddalonej od uczuć sferze. Słupski ciągle próbował nawrócić ją, ale wdowa ciągle odwracała i potrafiła taki jej nadać obrót, że przekroczenie Rubikonu nie mogło mieć miejsca. Ze Słupskim nie można było być bez ceremonii jak z Wolskim, bo chociaż i on prochu nie wynalazł, ale przecie bardziej wyrazy trzeba z nim było w bawełnę obwijać, nie był bowiem, jak tamten, tak głupio-zarozumiała. Z ludźmi bowiem głupimi, a zarozumiałymi można być bez żenady, z głupimi zaś a nie zarozumiałymi trzeba ostrożnie. Pierwszym najdotkliwszą powiedz niegrzeczność i pogłaszcz ich miłość własną, to niegrzeczność prześliznie się im mimo uszu, a pogłaskanie serce im rozkoszą nadmie. Są to najłatwiejsze do prowadzenia zwierzęta.

Rozmowa ze Słupskim skończyła się tém, że ją przerwano. Wmieszał się do niej ktoś trzeci, dalej czwarty, piąty i rozpląnęła się w rozprawę o wiarogodności płci pięknej. Słupski westchnął, poprawił sobie czuprynę i wąsy, wstał, przechodząc przez salon rzucił okiem na postać swoją, odbitą w zwierciadle, uśmiechnął się uśmiechem zadowolenia i zmieszał się z tłumem.

Pani Wolska odetchnęła. Powiodła okiem po komnacie i zatrzymała wzrok na téj samej framudze okna,

w której przed kilku dniami zamieniła słów kilka z Kuźmą. We framudze stał Kuźma, zajęty żywą jakąś z Lisowskim rozmową. Piękna wdowa zatrzymała na nich wzrok i przypatrywała się im przez czas jakiś, z pewnym jakimś wyrazem zadowolenia. Potem wstała i zrobiwszy koło po komuacie, niby przypadkiem zbliżyła się do nich i zatrzymała. Lisowski powitał ją zawieszonym ukłonem.

— *Jegomość pan Lisowski* takim rzadkim u nas gościem... Zaledwo się pokazał i natychmiast znikł; teraz znów się pokazał i zapewne nie na długo...

Zapomniałem w swoim miejscu powiedzieć, że Lisowski, na drugi dzień po przybyciu z Kuźmą do Kamieńca, wyjechał i powrócił w dniu przytoczonych przez nas rozmów pięknej wdowy z dwoma konkurentami. Gdzie on jeździł?— o to się ani pytać można. Jego przejażdżki i wycieczki pokrywała zwykle tajemnica. O podróży z Hrynerek do Kamieńca nicbyśmy nie wiedzieli, gdy nie była się ona odbyła w towarzystwie Kuźmy.

— Trzeba jeździć...— odrzekł Lisowski z uśmiechem— człowiek nie grzyb, żeby rósł i gnął na jednym i tém samym miejscu... Każdy z nas jeździ, rusza się...

— Tylko że nie każdy jednakowo...— przerwała wdowa— Jeden ma siłę ruchu w samym sobie, drugiego trzeba popędzać... Mnie się zdaje, że waszmość, panie Lisowski do pierwszego rodzaju ludzi należysz...

Lisowski na to odpowiedział:

— Nie potrafię tym samym sztrychem ułożyć dla jej-

mość pani odpowiedź... Jejmość zaczęłaś mnie komplementem...

Na te słowa silny rumieniec okrył twarz pięknej Barbary. Jakby zmieszana, milczała przez chwilę.

— Przykro mi...— rzekła— że tacy jak waszmość, panie Lisowski, podejrzewają mnie o komplementa... Jakby już białogłowa nie była w stanie ocenić ludzi!... Nie każdemu mówię ja to, co waszmości, panie Lisowski...

Lisowski skłonił lekko głowę na znak potwierdzenia. Wdowa dalej ciągnęła:

— Zaczynam być nieszczęśliwą, zaczynają mnie ludzie nierozumieć... napastują mnie!..

Ostatnie te wyrazy takim przenikającym głosem wymówiła, a ten głos takim brzmiał prawdy akcentem, że Kuźmę głębokie jakieś na wskroś przejęło społeczenie. Czuł, jak mu krew podchodziła do góry, a z nią razem rósł gniew na napastników pięknej, skarżącej się kobiety. Lecz, kto ci napastnicy? gdzie oni?— Kuźmie, gdy te pytania przez głowę mu przemknęły, stanął przed oczyma signor Gerolamo.

Dla czego ten mianowicie w oczach mu stanął, to bardzo naturalne. Kuźma, nie znając się na zewnętrznych formach konkurencyi, wedle których przeprowadza się ona w salonach, nie wiedział, że panią Wolską oskoczyli szlacheccie. On czytał tylko w oczach harfiarza i pięknej wdowy i wyczytał w nich: w pierwszych włoską, ognistą, namiętą miłość, w drugich wyraźny do tej miłości wstręt. Więc, gdy z ust pani Wolskiej

dowiedział się, że ją napastują i dowiedział się w taki wzruszający sposób, natychmiast pomyślał sobie:

— To nikt inny tylko ten śpiewak.

A głośno odezwał się:

— Gdybym ja wiedział, kto to napastuje...

— Oto, masz jejmość obrońcę, w osobie jegomości pana Jeża... — rzekł Lisowski z uśmiechem, ukazując na bohatera naszego.

Wiedział on, jakiego to rodzaju napaści na które wdowa się uskarżała. Nie wydały się mu one straszne.

— Waszmość żartuje... — rzekła pani Wolska — a mnie doprawdy nie do żartów... Waszmość znałeś nieboszczyka mego męża?...

Lisowski kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Owóż ja chcę pozostać mu wierną... Taki ślub sobie uczyniłam i chcę go dotrzymać. Wszyscy o tém wiedzą.. Zkądże ten nieszacunek dla moich ślubów!... Czy myślą, że białogłowa, dla tego że białogłowa, nie może ich czynić i nie w stanie dotrzymać!...

Lisowski zrobił giest głową, oznaczający:

— Dla czego nie!...

Wdowa zamilkła na chwilę i po chwili:

Ale ja waszmości prawie o sobie... — powiedziała — a waszmość czem inném, ważniejszém zaprzętnioną masz myśl...

— Chociażby i tak było... — przerwał Lisowski — to to bynajmniej nie przeszkadza, abym, jeżeli jejmość tego potrzebujesz, stał się jejmości użytecznym...

— Nie... — przerwała wdowa — Ja tego nie potrzebuję... Wygadałam się przed waszmością, dla tego tylko, żeby wygadać się przed człowiekiem...

To powiedziawszy, odwróciła się i odeszła.

Kuzma ścigał ją wzrokiem po komnacie, a gdy usiadła w szeregu pań, widział, jak zwróciła na niego oczy. Stawszy się niechęący powiernikiem jej uczuć, zdawało mu się, jakoby wziął na siebie jakiś względem pięknej wdowy obowiązek.

Jaki to obowiązek? — o tém on nie wiedział.

W skutek jednakże bezimiennego obowiązku tego, począł kogoś szukać wzrokiem po komnacie i pod kolumną znalazł upozowanego Włocha, którego błyszczące oczy z pod nasuniętych, szerokich, czarnych brwi strzelające, utopionemi były w postaci pięknej Barbary.

— Poczekaj, ty!... — przemówiło mu coś w duchu.

Równocześnie z tém «poczekaj,» objawił się w salonie niezwykle ruch. Gwar rozmów ucichł raptem, mężczyźni odstąpili od pań i zszeregowali się w pewien rodzaj szpaleru, przed którym przesuwała się powoli poważna, wyniosła, mężka postać, poprzedzająca dwóch młodych ludzi, których powierzchowność nosiła na sobie piętno jakowéjs pańskości, ale rycerskiej, ale jakiejś pięknej, mężkiej, oznajmującej jakoby w piersiach tych młodzieńców herkulesowy mieszkał duch.

Byli to: Jan Potocki, starosta Kamieniecki i dwaj rodzeni bracia, Alexander i Jan Karol Chodkiewicze. (1)

Imiona tych ostatnich poszeptem przebiegły z ust do ust podawanę. Kobiety się prostowały, mężczyźni stawali z uszanowaniem. Były tylko cztery w całym zgromadzeniu osoby, które nie zmieniły naturalności swoich postaw, a to: Lisowski, nasz bohater, pani Wolska i signor Gerolamo. Sama nawet starościna, bez względu na znużenie, jakie to jej sprawić mogło, ruszyła się ciałem i poprawiła się w siedzeniu.

Młodzi panowie nie byli osobiście znanymi starościnnie. Starosta zaprezentował ich żonie i prezentował tak donośnym głosem, aby wszyscy dworzanie i wszystkie dworne panie słyszały.

— Pan Alexander Chodkiewicz...— wymówił najprzód i po chwilce, zwracając się w drugą stronę, dodał:

— Starosta Żmudzki, pan Jan Karol Chodkiewicz... Wielmożni panowie Chodkiewicze przybyli dla podzielenia z nami trudów wojennych i w przejeździe zaszczyli bytnością swoją naszą strzechę... Drogiemi i wielce pożądanemi są nam gośćmi...

Młodzi panowie skłonili się starościnnie i zamienili z nią po kilka wyrazów pozdrowienia, zawartego w nic nieznaczących komplementach. Starościna wynurzyła uciechę, z powodu, że ma zaszczyt takich zacnych gości

(1) Jan Karol Chodkiewicz miał już 39 lat. W owych czasach był to jeszcze młody wiek.

w domu swoim posiadać; goście wynurzyli radość, z powodu poznania tak zacnej pani. Szmer uwielbienia cicho gwarzył pomiędzy dworzanami i dwornemi paniami. Lisowski szepnął do Kuźmy:

— Przypatrz się waszmość temu co po prawej stronie, temu trochę wyższemu... To Starosta Żmudzki, młody latami i sercem, ale stary głową...

Kuźma i bez podpowiedzenia Lisowskiego już się przypatrywał Janowi Karolowi Chodkiewiczowi i coś go ku niemu pociągało.

To «coś», był to instynkt ludzki, skutkiem którego, po raz pierwszy widziane przez nas osoby wywierają na nas pewne złe lub dobre wrażenie, ściśle zastosowane do naszej własnej moralnej wartości. Sympatyzujemy z nimi od razu, stosownie do tego jakimi sami jesteśmy. Jeżeli jesteśmy źli a one dobre, to coś nas roztrąca;—jeżeli jesteśmy dobrzy, a one złe, to także nas coś roztrąca;—lecz jeżeli jesteśmy jednacy—my źli i one złe, lub my dobrzy i one dobre—to obudza się w nas od razu jakiś wzajemny pociąg. Łacinnicy mają rację, powiadając *similis similibus gaudet*. Lecz to zastosować się da do odrazowego tylko poznania się, do najpierwszego w życiu spojrzenia sobie oko w oko. Później, nierzadko, gubi się gdzieś to najpierwsze wrażenie i w następnych zastępuje je naciągane prawidła towarzyskiego pożycia, głuszące pierwotny ów instynkt, owo mimowolne wynurzenie się moralnej strony człowieka.

Przybycie Chodkiewiczów zwiastowało zbliżający się czas wyprawy na Multany.

Zwiastowanie to było dla wszystkich hasłem do przyspieszania przygotowań, a dla konkurentów pani Wolskiej, do naglenia pięknej wdowy. Żaden z tych ostatnich, wyjąwszy jednego harfiarza, nie mógł wymówić się od wyprawy. Każdy z nich przeto chciał, jeżeli nie jako małżonek—co, z powodu krótkości czasu, było już niepodobnem—to przynajmniej jako rycerz pięknej damy, ze wstążką na hełmie i z pierścionkiem na palcu wystąpić. O to szczególnie chodziło Słupskiemu, który nie miał jeszcze sposobności czytać Don-kiszota i z tego powodu nie był od tego, aby się w paladyna zabawić.

Wolski chodził z klinem w głowie. Radby był kogoś się poradzić, a nie miał kogo, bo wszystkich podejrywał o interesowność, wyjąwszy Lisowskiego i panny Zatorskiej.

— Pogadam ja z Lisowskim.....—pomyślał sobie.

I jak pomyślał, tak uczynił.

Poranki zwykle spędzanemi były w zamku na ćwiczeniach wojennych. Ujeżdżano konie, strzelano z samopalmów i łuków, goniono do pierścieni, potykano się samowtór lub komunikem. Wszyscy prawie dworzanie brali udział w tych ćwiczeniach, a pomiędzy wszystkiemi (powiedzmy nawiasem) i nasz bohater, którego na to zdaje się tak zawczasu przywiózł Lisowski do Kamieńca i w zamku zostawił.

Po jedném z takich ćwiczeń zaprosił Wolski Lisowskiego na stronę i tak do niego przemówił:

— Mam waszmości w ważnej poradzić się rzeczy... Jeżeli tedy waszmość zechcesz mi dać ucha, to proszę ze sobą do mojej izby... Tam nikt nam nie przeszkodzi...

Izba Wolskiego niczem nie różniła się od tej, którą zajmowali Lisowski i Kuźma. Było w niej tylko więcej porządku, a mówiąc «więcej», źle się wyrażam, był w niej bowiem ultra-wzorowy porządek. Każdy przedmiot miał swoje miejsce i każdy błyszczał oczyszczony, wychuchany i wyglansowany. Czystoty i porządku przestrzegał Wolski jak najpilniej, nudził pacholków, często się gniewał i wielkiej doznawał przykrości, gdy mu kto co z miejsca na miejsce przestawił lub tylko ruszył. Z tego powodu niechętnie widział gości w swojej izbie i układając plany swojej przyszłości, mającej mu upłynąć na jakiejś dotacyi pod strzechą małego domku, projektował takich tylko sąsiadów przyjmować, którzy mu nic ruszać nie będą i tak żonę ułożyć, aby mu ona jako pomocnica służyła. Smutnym więc miał być los jego żony. Tacy ludzie zdolnymi są najzdrowszą zamęczyć kobietę.

— Hm! ho!..—zaczął Wolski posadziwszy gościa swego na stołku, obok stolika i zmarszczywszy się, gdy Lisowski odsunął stołek od ściany.—Oto taki mam do waszmości interes.

Tu rozwiódł się przed nim szeroko nad koniecznością, jakiej każdy śmiertelnik uledz musi, związania się, szczególnie pod starość, ślubami małżeńskimi, i z kolei, prze-

tykając rzecz rozmaitemi nienależącemi do rzeczy epizodami, przyszedł do tego, że zamierza żenić się z panią Wolską i wynurzył potrzebę poradzenia się, jakby do tego przystąpić...

— Trzeba—ciągnął—rozumie się, oświadczyć to imé-pani Wolskiej...

— Nie inaczej...—wtrącił Lisowski, który dotychczas milczał i słuchał — bez tego nie ma co o ożenieniu myśleć...

— Owóż, hm!.. Udaję się z prośbą do waszmości, a-bys pan zechciał łaskawie w tym interesie pośredniczyć...

— Najchętniejbym to uczynił... — odparł Lisowski — gdybym z góry nie był pewnym, że waszmości czeka harbuz...

— Co!.. jaktol!.. — krzyknął Wolski zalterowany. — Mnie... harbuz...

— Nieinaczéj—spokojnie odrzekł Lisowski.—I z tego powodu, z łatwością waszmośé zrozumiesz, jak niestosowném byłoby moje swatowstwo... Z góry bowiem mogé waszmości powiedzieć, jakiby koniec wzięło...

— Wolski począł z niecierpliwością wasy kręcić i po izbie chodzić, a zatrzymując się raptem przed Lisowskim, zapytał:

— Dla czego?..

— Dla tego, że imépani Wolska ślubowała wierność pamięci nieboszczyka...

— Tra-la-la... — przerwał Wolski ze źle tłumionym

gniewem.— Znamy się na takich ślubach... Czemu nie idzie do klasztoru?...

— Nie ma zapewne powołania...— odrzekł Lisowski.

— Ho-ho!... powołania!...— Ma ona powołanie, ale do czego innego!... Wiem ja, co to się święci, ale nie da się stary wróbel na plewy złapać!...

A podnosząc głos coraz mocniej:

— Rozmówię się ja z nią sam!... ale niech nie prosi pana Boga, jeżeli Wolskiemu da harbuza!... Wolski nie przyzwyczajony do takich przysmaków, na tabakę zetrze tego, kto mu się harbuzem przysłużył... O! tak!... na tabakę!... Jak mi Bóg miły!... Nie pozwolę, aby mi kto w kaszę pluł!... Nie zniosę, aby mi lada gołowasy młodzik z przed nosa miód podbierał!...

Rozsierdził się i aż spąsowiał. Lisowski zaś nie rozumiał o jakim to on młodziku mówi, i nie mając najmniejszej chęci ani potrzeby dowiadywać się o tém, wstał i zapytał zapęrnzonego dworzanina:

— Czy waszmość nie masz mi już nic do powiedzenia?..

— Przepraszam waszmości najuniżeniej... — odrzekł Wolski, zmuszając się do spokojnego zachowania.— Przepraszam, żem waszmości fatygował... Już ja sam sobie poradzę...

— Więc, żegnam waszmości...

Scena ta miała swoją paralellę, w innej części zamku odbywającą się — w innej części zamku i w innym zupełnie charakterze. w drugiej téj scenie aktorami byli Słupski i harfiarz.

Harfiarz siedział w izbie swojej, wsparł dłonią czoło i dumał. A izba jego nie podobną była do tych, jakie dworzanie zajmowali. W niej od razu dało się rozpoznawać siedlisko artysty. Instrumenta muzyczne, noty, książki, papiery, rozrzucone były bezładnie. Na stoliku leżała Jeruzolima Wyzwolona, otwarta, widać świeżo czytana; ale czytanie zostało przerwane przez natłok myśli, które oderwały czytelnika od książki, kazały mu sięgnąć ręką po uschnięty bukiet róż i cisnąć ten bukiet do ust. Na ścianach wisiało kilka większych i mniejszych sztyletów.

Słupski zastał harfiarza z bukietem zeschniętych róż w ręku.

— Dobry-dzień, signor Gerolamo...— rzekł wchodząc.

Włoch skłonił się szlachcicowi a powstawszy, nie usiadł i gościa siedzieć nie prosił.

— Signor samotnie przepędza poranek, zamknięty u siebie; myślałem, że błądzisz po Kamienieckich górach...

— Jeżeli błądzą, to samotnie...— odparł Włoch— Ja zawsze samotnie... Lubię samotność...

— Ależ to tak smutno...

— Nie zawsze... — przerwał Włoch. — Bywa czasem wesoło... Schodzą się do mnie goście i samotnia moja zaludnia się... I w ówczas się bawimy...

— Mam signorze prośbę do ciebie... — przerwał mu Słupski.

— Jaką?...— zapytał Włoch.

— Chodzi o to, aby wyprawić serenadę damie moich myśli; aby na jej cześć ułożyć kantatę i do tej kantaty

muzykę, i w ciszy nocnej, przed jej oknem wyśpiewać..
Czy nie zechciałbyś się podjąć tego, signor Gerolamo...

— Serenada, na polskiej ziemi... to wcale nowa rzecz...
U nas dają serenady; ale tu?... o tem jeszcze nie sły-
szałem... Ostatnią słyszałem w Wenecyi... Cudnie dzwoni-
ły harfy na kanale... Ale i tu, w nocnej ciszy, powinny-
by dzwonić nie gorzej, wspomagane przez echo gór...

I zamyślił się na chwilę, jakby strojąc sobie wyo-
braźnię do zaproponowanej serenady.

— Dobrze...— rzekł raptem — dobrze, spróbujemy...
To będzie oryginalnie... Ale powiedzić mi musisz, *signo-
re polaco*, dwa imiona: imie twojej damy i twoje.

Słupski okazał coś nakształt wahania się.

— Nie wahaj się...— rzekł Włoch.— My śpiewacy do-
chowujem tajemnicy jak księża, gdy im tajemnice na spo-
wiedzi się powierzą...

— Moje imie, Piotr...— rzekł Słupski— a mojej damy,
Barbara...

— Barbara!..— powtórzył Włoch zdziwiony, i zamy-
ślił się i zapytał po chwili:

— A które jej okno?..

— Okno jej wychodzi na ogród zamkowy i jest piąte
od lewego węgła...

Gdy Słupski wymawiał te wyrazy, Włoch począł drzeć
całym ciałem. Zęby stukały mu o zęby, a muszkuły kon-
wulsyjnie się ściągaly. Uspokoił się wnet jednakże i wy-
ciągając rękę, rzekł cichym głosem:

— Cicho... Nie mów nic więcej... Ja znam to okno...

Och! nieraz późnym wieczorem, kiedy wy spaliście albo pijanemi okrzykami napelnialiście niższe pokoje zamku, patrzyłem w to okno i na firance jego widziałem narysowaną cudną sylwetę...

— Cudną!...— zawołał i wznosił ręce i oczy do góry.

— Ale...— dodał surowym, suchym tonem, uspakajając się— ja nie będę śpiewał ni grał pod tém oknem serenady...

— Czemu?..— zapytał Słupski, który w tych wyrazach i ruchach trochę teatralnych widział excentryzm poetycki i nie jeszcze więcej.

Włoch jednakże ani zważał na jego «czemu?» Wstał, przeszedł się kilka razy po izbie, a zatrzymując się raptem przed Słupskim, zmierzył go surowym wzrokiem i rzekł:

— U was, *signori polacci*, są w modzie tak zwane honorowe rozprawy... Rąbiecie się w pałasze, potem pijecie, a na końcu godzicie się i ze łzami w oczach zaprzysięgacie sobie przy kufiu braterstwo, które za lada powodem zrywacie... U was taka moda, a u nas inna... U nas honorowa sprawa na trzeźwo od początku do końca się prowadzi... U nas honor na tém zależy, ażeby wroga zwalić... jakkolwiek... byle go zwalić... U nas dla dwóch wrogów ciasno na świecie, jeden drugiemu musi ustąpić, a schodząc ze świata pozostawia po sobie zemstę, która przechodzi na dzieci, wnuków i prawnuków... U nas wrogami są rywale... Rywale?... czy rozumiesz to, *signor polaco?*...

I wpatrywał się Słupskiemu w oczy, i ciągnął dalej:

— Ja z tobą przy kufiu nie zasięde ani w karabelle
brzękać nie będe... Ja mam dla ciebie, ot co... patrz!...

Tu zdjął ze ściany malutki sztylet, wyjął go z pochwy, silnie nim się zamachnął i zatrzymał przy samém sercu Słupskiego.

Słupski się cofnął i sięgnął ręką do szpady.

— Nie lękaj się... Nie ci teraz złego nie zrobię... Wy
gościnni i wspaniałomyślni... Za gościnność waszą i wspa-
niałomyślność ja ci oto teraz radą płacę...

Tu zniżył głos do wyrazu modlitewnej prośby:

— Nie wchodź mi w drogę, *signor polaco*... Ty nie
możesz tak kochać jak ja, bo ty twoje uczucie miodem
i tokajem zalewasz... Ty pijak trunkowy, ja uczuciowy...
Ty miłość swoją rozdzielasz potrosze pomiędzy ojczyznę,
kufel, sławę, misę, kobietę; ja moją całą na nię, ach!
na nię ześrodkowuję... Nie zachodź-że mi w drogę... Bo
jeżeli zajdziesz...

Tu wznosił do góry rękę ze sztyletem, nasrożył się,
niby lew grzywą długimi wstrząsnął włosami i mocnym
głosem zawołał:

— Ja ciebie zwalę i przez twój trup przekroczę!...
Idź! idź mi z oczu!... Precz!..

Słupski wyszedł wpół odurzony i nie umiejący sobie
zdać sprawy z tego co widział i słyszał. Nie zląkł się
on signorowego sztyletu, który mu się wydał właściwszym
na kury, niż na ludzi. Nie mógł jednakże pojąć, co się
Włochowi stało.

— Zwaryował...— powtarzał— zworyował!...

Nie rozumiał wyrazu «rywale» w tém znaczeniu, w jakim wymówił go harfiarz, ani przypuszczał bowiem, aby ten za przedmiot uczuć swoich mógł wybrać piękną wdowę. A dla czego nie przypuszczał?— to dla niego samego nierozwiązalną było zagadką.

— Nie ma więc innej rady...— rzekł sam do siebie— tylko rozmówić się z nią stanowczo, żeby przed wyruszeniem na Wołosze wiedzieć, czego się trzymać...

«Czego się trzymać» miało u Słupskiego czysto palla-
dyńskie znaczenie: oznaczało wstęgi i kolory.

Skutkiem tych dwóch rozmów— Wolskiego z Lisowskim i Słupskiego z harfiarzem— spadły na panią Wolską dwa na raz oświadczenia i obydwu w ogrodzie, w cieniu rozkwitłych i pachnących bzów. Kiedy Wolski się oświadczał, to Słupski stał z daleka, oczekując na odprawę swego spółzawodnika; a kiedy Słupski się oświadczał, to Wolski stał z daleka, ale nie oczekując już na nic.

— Jéjmość pani...— przemówił Wolski, zachodząc wdowie drogę i przyklękając przed nią na kolana.— Ja w bawełnę obwijać nie umiem... powiem więc ot tak po prostu... Życzę sobie wejść z jéjmością w dozgonny związek... i... i... w tym celu... i... hm...

Krzuszył się i nic więcej nie mógł wykrztusić.

Wdowa zrazu zbladła, jakby z przest్రachu; lecz przyszedłszy do siebie, w te słowa przerwała Wolskiemu krztuszenie:

— Przykro mi, że muszę waszmości powiedzieć, że

— pomimo iż życzenie jego wielki mi czyni zaszczyt, jednakże żadną miarą ziszczoném być nie może...

To wymówiwszy odeszła i zostawiła Wolskiego w osłupieniu, ogłuszeniu i oszołomieniu. Gdy uszła kilkanaście kroków, zaszedł jęj drogę Słupski i przyklęknął przed nią.

— Aniele!... bóstwo!... zwróć oko na sługę twego, który ci się u nóg ściele i zawyrokuj o jego losie... Rzeknij słowo, a zapalą się dla nas owe słodkie hymenu pochodnie... Pani! serce moje rzucam pod twoje stopy... Pauli, racz mnie na dozgonnego przyjąć przyjaciela...

— Nie mogę...— odrzekła wdowa z lekkim w głosie i obliczu sarkastyczném odcieniem.— Za nic nie mogę...

— Pani!...— próbował jeszcze Słupski.

— Za nic...— powtórzyła piękna wdowa i odeszła.

Słupski pozostał osłupiony, ogłuszony i oszołomiony.

Za chwilę potem złoszczęśni współzawodnicy zeszli się. Jak się oni zeszli i o czém ze sobą mówili?— tego domyślny czytelnik niech się z łaski swojej domyśli.

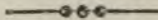
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



SPIS ROZDZIAŁÓW

Tomu 1-go.

	<i>Stronica.</i>
WSTĘP... ..	5
ROZDZIAŁ I.	17
— II.	60
— III.	104
— IV.	148
— V.	191
— VI.	235



032
Form 1-20
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143
144
145
146
147
148
149
150
151
152
153
154
155
156
157
158
159
160
161
162
163
164
165
166
167
168
169
170
171
172
173
174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-230 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1245

1